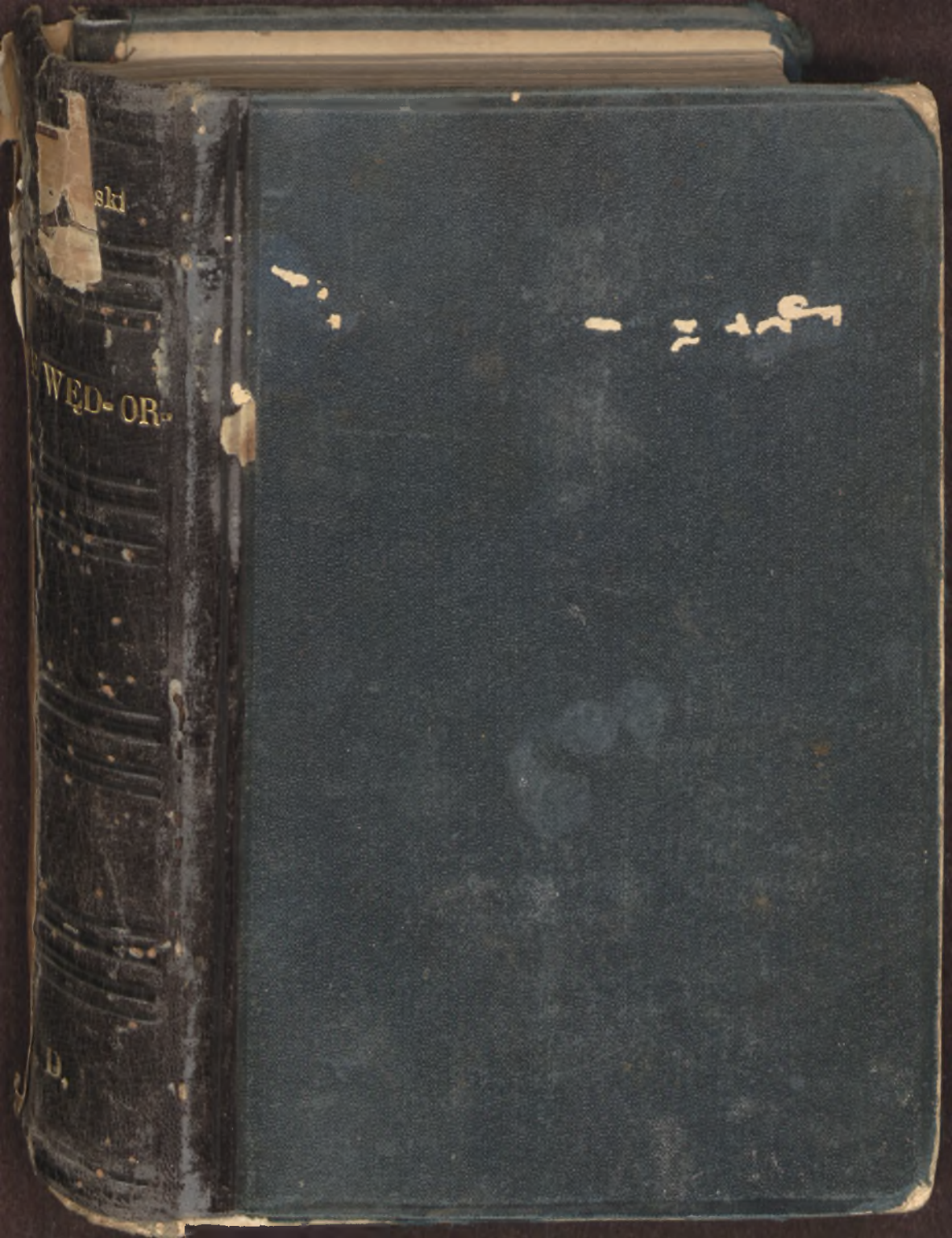

NOWE WĘDRÓWKI ORYGINAŁA.

NOWE WĘDRÓWKI ORYGINAŁA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

Tom II.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA,
Nowy Świat, Nr. 39.

1883.

Дозволено Цензурою.
Варшава 31 Марта 1883 года.

XIV.

Smutno i straszno się zrobiło Helenie, gdy się ujrzała w swoich pokojach. Z jednéj strony trup męża, którym się jeszcze nikt nie zajął, z drugiéj strony oczekiwanie zapowiedzianéj wizyty, trwożyły ją i niepokoiły naprzemian. Żałowała teraz niebacznéj odwagi, z jaką sama naraziła się na tę podejrzaną znajomość, a słowa biletu: *dobrowolnie i z własnego natchnienia*, zdawały się okazywać, iż on się sam dziwił, że ktoś mógł dobrowolnie oddawać się w tak złe ręce, i szukać tak zgubnych związków. Śród téj trwogi i niepokoju, chodząc po ozdobnym salonie, zdawała się tak samą, tak opuszczoną, że przychodziło jéj na myśl natychmiast wyjechać, i wśród ludzi i ich zgiełku szukać jakby obrony i bezpieczeństwa. Lecz w téjże chwili wszedł marszałek z zapytaniem, komu poruczy zajęcie się pogrzebem, i jakie jéj w téj mierze rozkazy. Przyzwoitość nakazywała zostać i dopełnić téj ostatniéj powinności dla człowieka, który, chociaż nie dał jéj szczęścia, jednak kochał ją, i wszystko co miał, jéj zostawił.

Helena miała odwagę, miała moc postanowienia, i po-

konawszy w téj chwili swoje obawy, zajęła się urządzeniem pogrzebu sama. Zatrudnienie to dało jéj rozrywkę, i uspokoiło cokolwiek imaginacyą, rojącą ciągle scenę spodziewanego spotkania z jakąś nadprzyrodzoną istotą. Lecz im bardziéj, wśród kłopotów, przyrządzań i dyspozycyi, pierwsze wrażenie przestrachu zacierało się, tém mocniéj niedowiarstwo brało górę, przychodziła na pomoc perswazya, zastanowienie się nad porządkiem rzeczy, i stopniami ugruntowało się w niéj przekonanie, że to jakiś oszust zręczny i biegły, który z ciekawości i niedoświadczenia kobiet chce korzystać. Tą drogą Helena przyszła do zwykłego prawie stanu umysłu, i z całą przytomnością rozpisywała zapraszające listy do celniejszych osób z sąsiedztwa, podpisywała przygotowane do innych, dysponowała żałobę dla siebie i dla dworu, konferowała z proboszczem, jakich księży i jakie konwenta ma zaprosić, i z panem Strzembskim, rządzcą swoich dóbr, jakie ma na to fundusze. Zatrudnienie to zajęło ją silnie do późnéj nocy. Gdy noc nadeszła, zmęczona i przejażdżką, i wrażeniami, których doznała, i trudami, które podjęła, rzuciła się na łóżko i spała twardo i spokojnie aż do rana.

Cały dzień następny przeszedł w przygotowaniach i urządzeniu na dole pokoju, który obijano czarnym kirem, i gdzie miał stać wspaniały katafalk. Wszakże, ile razy Helena znalazła się w pokoju sama, a drzwi się z nienacka otwierały, spoglądała ku nim ze drżeniem, czy gość zapowiedziany nie wchodzi. A gdy natomiast wchodził marszałek, lub kamerdyner, lub Karlina, ruszała ramionami, i z własnéj w duchu naśmiewała się trwogi.

Trzeciego dnia już ciało hrabiego leżało na katafalku, otoczone rzęsistém światłem; księża śpiewali przy zwło-

kach, służba ze wstążkami zwieszonemi z ramienia, z białą tasiemką przy frakach, zwijała się, a oficyaliści dworscy i włościanie z licznych jego wiosek przychodzili odwiedzać zgasłego pana, któremu ani złorzeczyć nie mieli powodu, ani błogosławić nie mieli za co. Wszyscy go już prawie odwiedzili, tylko żona jeszcze nie widziała, jak też po śmierci wygląda ten, dla którego jéj każdy kaprys był prawem, a jéj uśmiech szczęściem i nagrodą. Przyzwoitość jednak nakazywała jéj dopełnić i tego obowiązku. Po obiedzie więc, przespacerowawszy się wprzód po ogrodzie, weszła do tego miejsca żałoby, przystrojonego okazale i po pańsku. Nie było tam wówczas nikogo, tylko braciszek z blizkiego konwentu kapucynów siedział z boku przy stoliku i mruczał modlitwę. Cały pokój, kirem wybity, pochłaniał liczne światła, któremi katafalk był otoczony; po rogach jego paliły się wonne kadzidła, dla zneutralizowania téj woni, jaką zaczynał wydawać rozkładający się trup wielkiego pana, przekonywając obecnych, że najlepiéj i najgorzéj urodzeni z jednakowéj są gliny, i tenże sam czeka ich koniec. Hrabia Janusz leżał wysoko, wszakże widać było nawet ode drzwi ręce jego wyschłe i zapóźno do modlitwy złożone, twarz bladą, zapadłą na policzkach i skroniach, a na któréj, jakby dla przestrogi obecnych, oczywistą była przedwczesna zgrzybiałość i leżały wyraźne ślady zmarnotrawionego życia.

Helena stanęła z boku z opuszczonemi rękami, z pochyloną głową i w odzieniu czarném i żałobném. Widok ten pokrył chwilową bladością jéj piękną twarz, która na tém tle ciemném, przy blasku świateł, otaczających katafalk, jeszcze piękniejszą się wydawała. Brakowało tylko spektatora, któryby ją admirował w téj postawie, któryby

śledził na tém pięknem czole, jakie myśli zajmowały jéj głowę, jakie wrażenie czyniły obraz starości i śmierć na tém sercu, pełném życia, dopominającém się jeszcze od ziemi o szczęście, jakiego dotąd nie miało, i mającém dopiéro zacząć swój zawód uciech i używania od stopni tego katafalku, na którym leżał ten, którego usta blade, zaciśnięte i zapadłe, zdawały się jéj mówić: idź już, jesteś wolną, już ci nie przeszkadzam.

Poszła więc, odbywszy tę powinność, i usiadłszy w najmniejszym saloniku, zaczęła marzyć o przyszłości. Wtenczas znikł z jéj myśli ów czarny i kirem okryty pokój, światła katafalku usunęły się i pogasły, brzydkie oblicze zmarłego uciekło gdzieś i nie wracało więcéj, a miejsce tych obrazów żałoby i niedołężnéj starości, zajęły wyobrażenia uciech życia, miłość ze swemi czarami, i Gabryel z cudném licem, pełném zdrowia, młodości i tego niewysłowionego szczęścia, jakiém go zapewne napełnił przesłany mu obraz jéj twarzy, i dowód, że zyskał miłość takiéj, jak ona, kobiety. Wśród tych marzeń rozkoszy i uciech, jakie ją czekały, przychodziła jéj na myśl poważna postać Firleja, jego słowa pełne prawdy, jego widoki tak szlachetne i wystawiające z innéj zupełnie strony zawód bogacza na ziemi. Ale rozkołysana jéj imaginacya odsuwała je prędko, jako zbyt trudne, jako przechodzące siły, jako przeciwne temu swobodnemu użyciu wszystkich dóbr ziemskich, które były jéj własnością, i któremi z tym tylko dzielić się chciała, kogoby jéj serce wybrało. Ona postanowiła być szczęśliwą, a jéj szczęściem za domem był przepych, były zabawy, a w domu miłość Gabryela. Takie były myśli, które snuły się po głowie téj pięknéj i interesującéj kobiety, gdy wróciła od

zwłok męża; a tymczasem księża zaczęli śpiewać na dole wieczorne modlitwy nad umarłym, i głosy ich rozlegały się przez okna otwarte, i dochodziły w niewyraźnych nutach aż do niéj.

Już było dość późno, gdy weszła Karlina, zapytując, czy nie będzie się rozbierać?

— Nie chce mi się spać — odpowiedziała Helena, niekontenta, że jéj sługa przerwała to złote pasmo, które imaginacya jéj snuła.

— Niech-że pani da przynajmniéj ubrać sobie głowę na noc — rzekła Karlina, poziewając — i zdejmie ten czarny habit. Już u nas i tak czarno.

Poszła więc Helena do swego sypialnego pokoju, zrzuciła z siebie żałobną suknię, i ubrawszy się w lekki szlafroczek, rozpuściła długi i gęsty warkocz i usiadła przed źwierciadłem, w którém odbiła się jéj śliczna postać, i jéj twarz obrzucona malowniczo kruczemi włosami.

— Niech pani zgadnie — rzekła Karlina, ubierając jéj głowę — kto odwiedzał, po wyjściu pani, zwłoki pana hrabiego?

— Nudzisz mnie — odpowiedziała Helena — nie mam teraz głowy do zgadywania.

— Jeżeli pani nie chce, to nie powiem.

— No, i któż? — mówiła znowu Helena — czy nie doktor Szmulicki przyjechał przekonać się o dzielności swojéj sztuki?

Karlina zaczerwieniła się, a uśmiech pokazał się na ustach Heleny, która w źwierciadle rumieniec sługi swéj dostrzegła.

— Czy zgadłam?

— Wcale nie — odpowiedziała Karlina, z minką nie-

ukontentowania. — Był ten pan, któregośmy pozawczoraj w zamku widziały. — Tu nawzajem Karlina uśmiechnęła się, a Helena odwróciła twarz od zwierciadła.

— Widziałaś go?

— Mówiłam z nim — odpowiedziała sługa.

— I cóż? — rzekła Helena z tonem rozkazu, aby odpowiedziała.

— A cóż, proszę pani, poszłam tam posłuchać, jak księża śpiewają i zmówić pacierz za duszę pana. Bo choć on był stary i czasem nudny, ale był jednakowo dobry pan i szczodry dla nas. Otóż stałam tam z boku, aż patrzę, wchodzi jakiś mężczyzna słuszny, przystojny i ubrany jak na wizytę. Poznałam go zaraz, bo to twarz taka wyrazista i znacząca, i coś bardzo rozumnego jest na jego czole. — Czyje to zwłoki? zapytał marszałka. — Pana hrabiego Tumierskiego, odpowiedział stary. — Pana hrabiego? powtórzył z zadziwieniem. A kiedyż on umarł? — Pozawczoraj. — Pozawczoraj? — powtórzył znowu z większém zadziwieniem. — O któréj godzinie? — zapytał jeszcze. — O jedenastéj z rana — była moja odpowiedź. Wtedy uśmiech jakiś dziwny pokazał się na jego ustach, jak gdyby to było coś osobliwego, że ktoś umiera o jedenastéj. Ale wkrótce uśmiech ten zniknął i twarz jego zrobiła się smutna i surowa. Przybliżył się do katafalku i tak stał długo, zamyślony i z pochyloną głową. Ja wyszłam wtedy i stanęłam sobie we drzwiach, bo mi się chciało obaczyć, czy téż sobie przypomni, że mnie widział z panią. A potém pewna byłam, że on o panią zapyta się i bałam się, żeby który z naszych nie powiedział, że pani nie przyjmuje.

— A dla czegoż sądziłaś, że była-bym go przyjęła? — zapytała Helena.

— Alboż to ja nie zmiarkowałam, że to pani było-by przyjemnie? — odpowiedziała Karlina. — Gdy wychodził, spojrzał na mnie, zatrzymał się, jakby chciał coś powiedzieć, ale potém namyślił się i chciał iść, nie kiwnąwszy mi nawet głową. Wtedy ja powiedziałam: Może pan życzy sobie odwiedzić panią? — On nachmurzył czoło i rzekł: Nie chcę uprzykrzać się pani hrabini w tak świeżym jéj smutku. — I wsiadł do ładnego kocza, i pojechał.

— Idź sobie — rzekła Helena, powstając — a na drugi raz nie proteguj mnie, i nie zapraszaj mi gości, których widzieć nie mam wielkiéj ochoty.

Karlina wyszła, a Helena, przeszedłszy się parę razy po pokoju, usiadła niekontenta i z siebie, i ze zdarzenia, które jéj opowiedziano.

Są ludzie wyżsi, którzy przy pierwszém zaraz poznaniu wrażają się głęboko w umysł tych, co się do nich zbliżyli. Szacunek takich ludzi staje się niejako potrzebą i dobrem, którego utrata przykrą jest i bolesną. Helena czuła to, że straciła szacunek Firleja. Jego zapytania przy zwłokach męża, jego zadziwienie, jego uśmiech, a nadewszystko ironiczne słowa, któremi zbył Karlinę, przekonywały, że tak jest istotnie. Bo i cóż mógł człowiek tak poważny, tak szlachetny, tak wysoko ceniący wszystkie obowiązki życia, pomyśléć o kobiecie, która w parę godzin po śmierci męża pojechała zwiedzać ruiny, była tak spokojną, tak ciekawą i wesołą? Widziała nadto Helena, że go zajęła; a chociaż nie miała względem niego żadnych zdobywczych planów, bo myśl i serce ciągnęły

ją gdzieindziéj, jednak żal jéj było téj straty, żal, że może już więcéj go nie obaczy, i wytłómaczyć mu nie zdoła, jaki miała powód być tam, gdzie ich przypadek sprowadził i z sobą zapoznał. W takich myślach przebyła z godzinę. Sen jeszcze bardziéj odbiegł od jéj oczu, i obrazy, to męża na katafalku, to ruin zamku, to mówiącego tam Firleja, to Gabryela przypatrującego się jéj miniaturze, to nareszcie tego jeźdźca na karym koniu, którego ogniste spojrzenie prześladowało ją, snuły się i plątały w jéj głowie. Wtém zdało się jéj, że słyszy czyjeś kroki w przyległéj sali. Jak mignienie błyskawicy przeleciała przez jéj głowę myśl, że tenże dziwny jeździec odwiedzić ją przyrzekł. Przestraszona i wybladła poskoczyła do dzwonka, i na głos jego, gwałtownie powtarzający się, wbiegła Karlina.

— Tam, w sali, ktoś chodzi — rzekła stłumionym głosem Helena.

Karlina podniosła portyerę i uśmiechnęła się, spostrzegłszy starego marszałka dworu. Stał przy wnijściu do sypialnego pokoju, ten sługa dawny i przywiązany, ale nie słysząc głosu rozmowy w pokoju pani, wahał się czy wejść, czy nie wejść. Gdy wszedł, widać było na jego twarzy zmieszanie. Miał na tacy srebrnéj pakiet spory i czarną pieczęcią opieczętowany.

— Zkąd to? — zapytała Helena, przychodząc prędko do siebie.

— Nie wiem, jak to jaśnie pani powiedzieć — rzekł stary — ale opowiem jak było.

— Opowiadajże — rzekła, wziąwszy w ręce pakiet, który do niéj był zaadresowany nieznaną jéj ręką.

— Przed kwadransem — mówił marszałek — wsze-

dłem do pokoju, gdzie zwłoki ś. p. pana mego leżą, aby obaczyć, czy wszystko tam w porządku, i czy światła palą się, jak należy. Nie było nikogo wówczas, ani w tym pokoju, ani w sieniach. Dwóch tylko zastałem braciszków od księży Kapucynów, z których jeden drzemał, a drugi czytał cicho modlitwę. Pół godziny wprzód byłem także w tym pokoju, alem nic nie widział. Teraz gdym wszedł, aż patrzę, na katafalku leży coś białego. Zbliżam się, biorę w rękę, — papier z pieczęcią i adres do jasnéj pani. Pytałem się braciszka, kto to położył? zdziwił się, ruszył ramionami i powiada, że nikogo nie widział, bo od tego czasu, jak wyszedłem, nikt nie był.

— Jużci musiał ktoś położyć — rzekła Helena, krzepiąc się — kiedy się to tam znalazło.

— Tak się zdaje, jaśnie wielmożna pani — odpowiedział z ukłonem — ale ktoby to położył, dopytać się nie mogłem.

— Dobrze, dobrze, idź już — rzekła Helena, rozpieczętowała i spostrzegła kilka arkuszy ściśle zapisanych. Na czele pierwszéj stronicy były te słowa, większemi literami, ale zawsze nieznaną jéj ręką napisane: Przeczytaj to, Heleno! i strzeż się!

— Coby to mogło być? — rzekła sama do siebie, a potém, obracając się do sług, dodała: — Zostawcie mnie, ale nie kładźcie się spać. Jak zadzwonię, przychodźcie.

Gdy słudzy wyszli, zaczęła dochodzić, zkąd ta przestroga? czy mąż z tamtego świata przesyła jéj tę długą i może nudną perorę, czy ten, co bilet wrzucił jéj do karety, tajemniczym sposobem ją położył? I jedno i drugie wydało się jéj niepodobném. Przyszło więc jéj na myśl, że Firlej mógł zostawić ten pakiet tak, że nikt z razu nie

uważał, że może wié więcéj, niżby sobie życzyła, i zająwszy się nią szczerzéj może i głębiéj, niż się jéj wydawać mogło, chce ją ostrzedz, chce wpłynąć na jéj dalsze życie, i do swojéj podnieść ją wysokości. To przypuszczenie uspokoiło ją, ucieszyło i zaostrzyło jéj ciekawość. Ułożywszy się więc wygodnie na szezlongu, zaczęła czytać co następuje.

1.

„Przenieś się myślą, piękna Heleno, w tę przestrzeń nieograniczoną, która leży między niebem i ziemią; wzbij się tam nie do takiéj wysokości, jak Mont-blanc lub Dawalagiry, ale jak dziesięć razy najwyższy grzbiet łańcucha Himalaja wznosi się nad powierzchnią morza. Tam patrz i słuchaj — a może obaczysz i usłyszysz, co cię zajmie i da ci do myślenia. Niezabawnie tam wprawdzie i niewesoło; ale tyle już nabawiłaś się w swojém życiu, tak długo jeszcze gonić będziesz za rozrywką i uciechą, że nic na tém nie stracisz, jeżeli chwilkę natężeniu temu myśli poświęcisz.

Jeśliś się już wzniosła w te odległe od ziemi krainy, widzisz bezwątpienia, iż tam nie ma przemiany pór roku. Tam zima nie ściska mrozem, lato ciepłem nie rozwiązuje tych lodowych kajdan. Tam zawsze jednostajna temperatura, chłodna, sucha i do oddechu dla śmiertelnéj piersi niezdatna. Nie ma tam także zwyczajnéj kolei dnia i nocy, poranku i wieczoru; ale zawsze i wiecznie ani zupełnie ciemno, ani zupełnie widno, jak w téj chwili na ziemi, kiedy wieczór przechodzi w noc, a z nocy ma się pierwsze wyrodzić świtanie. Żaden głos nie rozlega się w téj stra-

sznéj samotności, a jeżeli ze świstem przemknie się jaki aerolit, jeżeli jaki kometa z szumem, któregoby śmiertelne ucho nie zniosło, przesunie się, odbywając odwieczną drogę, to zdarza się w lat pięćdziesiąt, w lat sto lub więcéj, i znowu przez pół wieku, przez wiek lub półtora panuje cisza zupełna, głęboka, przerażająca, któréj żaden rozum pojąć, żadne pióro opisać nie zdoła.

W tym-to Oceanie bez miary i granic, bez burz i nawałności, ale i bez życia i ruchu, w téj pustyni głuchéj i nieskończonéj, znajdowała się przecież istota drobna, żywa, z duszą i ciałem, zostawiona tam i przymocowana nie dla pokuty i wybawienia, ale na karę długą i okropną. Był to potępieniec, który pychą zgrzeszył na ziemi, który dla przekroczenia granic, naznaczonych słabemu rozumowi człowieka, wezwał pomocy ducha pychy i ciemności. Chciał on wszystko widzieć, wszystko słyszeć, wszystko módz; i za to od trzechset blizko lat tkwi tam, gdzie nic nie widzi, gdzie nic nie słyszy, gdzie wisi bezwładnie na tymże samym punkcie przestrzeni, oczekując co chwila, aż się urwie i spadnie do piekła.

W okropnym stanie, którego końca nie przewidywał, nieszczęśliwy ów potępieniec wzywał już nieraz pomocy tego, który mu służył na ziemi, który go wyniósł do téj wysokości, i tam samotnym i opuszczonym zostawił. Ale widać, że jeszcze czas jego nie przyszedł, bo wezwania te wysłuchane nie były. Niedawno przecież, przyprowadzony do rozpaczy, z jękiem głębokim, któremu żadne echo nie odpowiadało, i który zdawał się przepadać w téj ciemnéj i głuchéj pustyni, zawołał: — Duchu ciemności! synu pychy! ty, coś mi służył na ziemi, któremu oddałem się dla tego, żem się zobowiązał słowem szlacheckiém,

któryś mnie tu wyniósł i zostawił na niewysłowioną męczarnią nudy i samotności, przybądź i uwolnij mię z tych więzów! Wolę piekło, niż jego ciągłe oczekiwanie; wolę żar twoich płomieni, niż ten chłód niezmienny i przenikający; wolę blask twoich wiecznych ogniów, niż tę mgłę bez granic, co nie jest ani światłem ani ciemnością; wolę trzask rozpalonych skał, które tam padają z hukiem po nieskończonych twoich przepaściach, ryk płynącéj lawy, która w ognistych leje się kaskadach, niż to głuche milczenie, które od dwóch przeszło wieków morduje moje ucho natężone i żadnym nie przenika go grzmotem. Przybądź! daj mi ruch i ból, każ działać i cierpieć; ale uwolnij mię ztąd, gdzie nic widzieć nie mogę, gdzie nic nie słyszę, gdzie czekam tylko od wieków na karę, na którą-m z twojego podszeptu zasłużył.

Zaledwie to zaklęcie wymówił, gdy z dołu dał się słyszéć huk, jakby odgłos oddalonego piorunu. I wkrótce z szumem, z jakim stuarmatni okręt, zrzucony z palów, na których go budowano, zsuwa się w morze i potężną piersią swą rozdziera jego głębiny, zbliżyła się do potępieńca postać ogromna, olbrzymia, i obok niego zawisła. Przeraził się on na chwilę i oniemiał; a gdy spojrzał na towarzysza, którego obecności wzywał; gdy obaczył to straszliwe lice, zeszpecone przez dumę, gniew i zawziętość; to czoło szerokie, śladami piorunu, który w nie uderzył, poryte; te oczy przenikające, ogniste, których każdy promień rodzi złe chęci, pamięć najlżejszéj krzywdy rozbudza i zemstę podnieca; gdy objął wzrokiem całą jego ohydną postać, dziwną jakąś skórą okrytą, uzbrojoną w szpony straszliwe i unoszącą się na skrzydłach, złożonych z tkanki, któraby dla stu tysięcy nietoperzy wystarczyła, pomyślał so-

bie, że lepiéj było milczéć i spokojnie przeznaczenia oczekiwać. Ale już było zapóźno.

— Mistrzu Twardowski! — zawołał wówczas szatan głosem, który rozlegał się jak grzmot po nieograniczonéj przestrzeni — wezwałeś mnie i przybywam. Znudziłeś się w téj samotności i przenosisz nad nią piekło. Pójdź więc! jesteś w mojéj mocy i wolno mi teraz postąpić z tobą, jak mi się podoba. Ale ty drżysz i oglądasz się, czy cię kto z rąk moich nie wyrwie? Obejrzyj się, gdzie jesteś i czy możesz miéć jaką nadzieję ratunku. — Twardowski rzucił okiem w około siebie i włosy mu na głowie powstały, a szatan tak daléj mówił: — Opamiętaj się, mistrzu! i słuchaj mnie. Dałeś dowód rozumu i biegłości za życia, długoś nas wodził, nim cię w nasze dostaliśmy ręce; teraz, wzywając mnie, abym cię ztąd uwolnił, wyrzekłeś, że chcesz ruchu i bólu, działania i cierpienia. Usłyszałem te słowa twoje, zjednały ci one moję życzliwość i wniosłem z nich, że możesz mi być użytecznym. Daję ci więc do wyboru: czy chcesz być ofiarą piekła, czy jego sługą. W każdym razie będziesz miał ból i cierpienie — dodał z rykiem, od którego krew zastygła w żyłach Twardowskiego — ale jeśli rozumnie wybierzesz, będziesz miał przynajmniéj ruch, będziesz działał, będziesz widział i wiedział; co wszystko nie jest żadnego potępieńca udziałem. Odpowiadaj więc i wiedz o tém, że mam dosyć władzy i woli, czy temu, czy owemu żądaniu twemu zadość uczynić.

Twardowski, któremu nie nowina była rozmawiać ze złym duchem, chociaż go w tak straszliwéj postaci nigdy jeszcze nie widział, przyszedł wkrótce do siebie i wspomniawszy męczarnie swojego obecnego stanu, a także gorszy jeszcze los prostego potępieńca, niedługo się namyślał

i rzekł: — Potężny szatanie! ponieważ zasłużyłem na to, abym był w twoich rękach, poddaję się twojéj woli. Mam więc do wyboru, czy wolę być ofiarą piekła, czy jego sługą? Z dwojga złego, potężny szatanie! wybieram ostatnie.

— Chcesz więc być djabłem — odpowiedział szatan. — Dobrze, pojmuję w tobie tę ambicyą i mam nadzieję, że ją usprawiedliwisz zasługą, jakiéj wprzód od ciebie wymagać będę. — Tu machnął potężnemi skrzydłami i przytulił je do siebie, jak jastrząb', który wisi czasem w powietrzu na rozpostartych piórach i zwija je nagle, gdy ma się spuścić na swoję zdobycz. Ten ruch skrzydeł jego rozwiał nieskończone fale mgły, która pod nimi leżała, i w przerażającéj głębokości odkryło się światło, pokazały się oblane niém miasta, porozrzucane wioski, zielone pola, lasy kwitnące i rzeki, które jak jasne wstążki przesuwały się w tym rozmaitym i pełnym powabu widoku. — Patrz, — mówił daléj szatan — oto ziemia, któréj już przeszło dwa wieki nie widziałeś. Tam pójdziesz i działać będziesz dla mojéj chwały i swojego wyzwolenia. Są tam jeszcze dusze zatwardziałe w tak nazwanéj cnocie; są takie, przy których obaczysz stróża z jasném licem, z białém skrzydłem, który czuwa nad ich myślami i odwiewa od nich podszepty zmysłów, pobudzając do ustawicznéj z niemi wojny. Nie bój się go. On im ciągle każe kochać to, co trudne, co boli, czego nie widzą i dotknąć nie mogą. Ty poddaj im to, co łatwe, gładkie i łechcące, przywiąż ich do teraźniejszéj chwili, wejdź w przymierze z ich ciałem, a oni sami odpędzą od siebie tego natręta, coby ci zawadzał. Nie oznaczam ci czasu twego terminowania, ale oznaczę ci liczbę dusz, które masz

sprowadzić do piekła i wskażę niektóre, co mają być wieńcem i koroną twojéj zasługi na ziemi. Nie wyobrażaj sobie, że będziesz miał do czynienia z takiemi, jak ty, mistrzami. Wszystko się już zmieniło na ziemi, i dziś na wędkę mądrości, nauki i sekretów natury nie zwabisz nikogo do piekła. Dziś każdy chce tylko posiadać, aby użył, i szuka nie tajemnic przyrodzenia, ale sposobów, jakby lekko i bez pracy przyjść do grosza, który się stał potęgą i mądrością ziemi. Dla tego więc, jako środek działania daję ci pieniądz; a żeby ci bardziéj jeszcze trud twój ułatwić, posyłam cię do tego kraju, w którym urodziłeś się. Tam zaszczepiaj chęć pieniędzy bez pracy w tych, co ich nie mają; rozwiń ten szczęśliwszy dla nas zaród w tych duszach, w których on jest, ale nierozbudzony i przykołysany ręką tego stróża z białém skrzydłem, co nad niemi czuwa. Zdejmuję z twojéj duszy niewiadomość i z twojego ciała ciężar cielesności. Znaj wszystkie nauki, które rozum ludzki wymyślił, i używaj ich w razie potrzeby dla mnie; gadaj takiemi językami, które ziomkowie twoi więcéj jak swój kochają, i przywabiaj ich tą ponętą, któréj się oprzéć nie mogą. Miéj na swoje zawołanie złoto i brylanty, ekwipaże i pałace, i używaj tego środka, aby serca ich rozmiłowały się w pieniądzach i zbytkach, i napoiły ich wstrętem do nabywania ich w pocie czoła i przez uczciwą pracę. Daję ci przenikliwość, chytrość i zatwardziałość, daję moc przenikania wzrokiem odległości, zgadywania myśli, przenoszenia się w mgnieniu oka z miejsca na miejsce, przybierania wszelkich postaci, jakie ci będą potrzebne. Jako prawo i ograniczenie przepisuję ci tylko, abyś działał nie przymusem, ale pokusą, nie siłą na ciało, ale sztuką i chytrością na wolę, aby ona sama pokochała

grzech i z jego objęcia wyrwać się już nie chciała. Potępieńcze z duszą i ciałem! — dodał piorunującym głosem — idź w imię moje na ziemię rodzinną i wracaj z niéj prawdziwym djabłem, jeżeli na to zasłużysz.

To powiedziawszy, wyciągnął do niego ręce, wziął go w swoje szpony, wyrwał z tego gniazda, gdzie tkwił przez dwieście kilkadziesiąt lat, i rozmachnąwszy odurzonym i trzymającym się oburącz za głowę, rzucił go z całéj siły na ziemię. I znowu w tém miejscu zrobiło się pusto i cicho. Szatan w inną poszumiał stronę, a Twardowski pędem rybołowa, spadającego ku jezioru, leciał na dół i na dół, ku temu światłu, które coraz żywszym jaśniało blaskiem, ku tym miastom, co się coraz wyraźniéj rysowały, ku tym polom i łąkom, które się coraz piękniéj zieleniły. Stanął wreszcie na ziemi, obejrzał się wokoło, znalazł się na drodze bitéj, równéj, przy któréj był słup w żółte i czarne pasy pomalowany. Przystąpił Twardowski do słupa i na ręce wyciągniętéj na prawo obaczył te słowa: *Nach Lemberg.* Uśmiechnął się więc po szatańsku i udał się w tę stronę.

Czytaj daléj, Heleno! i strzeż się.“

Helena opuściła papier na kolana. Zimno jakieś mimowolnie ją przeszło, i dziwna myśl przebiegła przez jéj głowę. Porwawszy się więc z miejsca, poszła do swego biurka i wyszukała bilet, który jéj do powozu jeździec ów rzucił. Pismo było zupełnie odmienne, ale podpis T. dał jéj do myślenia, że dziwaczny ten obraz, który tylko co przeczytała, może mieć dla niéj więcéj interesu, niż się jéj z razu wydało. Tém zachęcona, wzięła znowu rękopism i czytała daléj, co następuje:

2.

„W ogrodzie Jezuickim we Lwowie, na ławeczce głównéj ulicy, gdzie wszyscy przechodzili, siedziała młoda i piękna kobieta. Ubranie jéj było skromne, ale powabne. Widać, że lubiła myśléć o tém, ubierając się, aby było jéj do twarzy i ładnie. Przy niéj znajdowało się dwoje dzieci, między dziewiątym i siódmym rokiem. Chłopczyk był dobrze zbudowany, żywy, silny i miał twarzyczkę wiele obiecującą, dziewczynka zaś była tak nadzwyczajnie piękną, że nikt z przechodzących nie minął ławeczki, żeby się nie zatrzymał, i cudnym jéj rysom i prześlicznym błękitnym oczom nie przypatrzył. Między innymi przechodzącymi, których zwabiła do zatrzymania piękna dziewczynka, znajdowała się bogata dama, ubrana paradniéj, niżby tego wymagał spacer, i mająca za sobą suto wygalonowanego lokaja. Wracała ona z wizyty od pani gubernatorowéj; a że przejeżdżała mimo ogrodu, wstąpiła na chwilę, aby świeżém odetchnąć powietrzem.

— To pani córeczka? — rzekła dama do matki.

— Moja — odpowiedziała Hortensya. Tak się nazywała owa matka tych dwojga pięknych dzieci.

— Co za prześliczne dziecko! — rzekła dama, nachylając się i podnosząc ręką twarzyczkę dziewczynki, żeby jéj zajrzéć w oczy. Ale gdy się nachyliła, szal, którym była okrytą, odgiął się, i pokazała się przy jéj piersiach brylantowa brosza, na którą padły oczy Hortensyi.

— Dobre dziecię — odpowiedziała matka, przypatrując się téj bogatéj ozdobie.

— Ile ma lat? — zapytała dama.

— Siódmy rok — odpowiedziała matka z roztargnieniem, patrząc na te ognie tęczowe, które biły od drogiego kamienia.

Dama, widząc roztargnienie matki, skłoniła jéj się głową i poszła, myśląc o prześlicznéj dziewczynce; a Hortensya została na miejscu, nie słyszała pieszczotliwego głosu swego dziecka, i myślała o prześlicznéj broszy.

Niedaleko był świadek téj sceny, który słyszał rozmowę dwóch kobiet, widział jak oko matki utonęło z żądzą w pięknéj ozdobie damy, jak myśl jéj odwróciła się od błękitnych oczu córki, a przylgnęła do tych ogniów i barw, któremi ją drogi kamień olśnił. Na twarzy jego, młodéj jeszcze, ładnéj, ale odpychającéj, pokazał się uśmiech, który przystojne rysy wykrzywił szyderstwem, a czarne oko jego błysnęło jakąś zgubną radością, któraby każdego, coby ją dostrzegł, zimném przejęła drżeniem.

Hortensya była żoną jednego ze znanych adwokatów Lwowskich. Wychowana przez matkę ubogą i uczciwą, pięknością swoją i skromném ułożeniem potrafiła zyskać przywiązanie już niemłodego, ale jeszcze pełnego czerstwości i siły człowieka. Pokochał on ją nadzwyczajnie, otoczył wszystkiemi staraniami, jakie mu tylko miłość i oddanie się zupełne natchnąć mogły. Pracował dzień i noc, aby jéj na niczém nie zbywało, a wdzięczny za te prześliczne dzieci, które mu dała, o tém tylko marzył, aby ubóstwianéj przez siebie kobiecie jaką sprawić przyjemność, jaką przysposobić rozrywkę, jaką zrobić siurpryzę, którąby jéj pokazała, jak ją kocha, jak nią jedynie zajęty, jak pragnie, aby mu wzajemną odpłacała miłością. Hortensya była dobrą, uczciwą i wdzięczną. Chociaż nie kochała męża z tém upojeniem, do jakiego czasem kobiety są

zdolne, i przez które ze złymi nawet mężami bywają szczęśliwe, — ale szanowała go, ale ceniła jego przymioty i pracowitość, uznawała jego przywiązanie, ale kochała go tą tkliwą przyjaźnią, jaką każda zacna kobieta ma dla ojca swych dzieci i wiernego młodości swéj opiekuna. Była Hortensya szczęśliwą w swojém położeniu, i nigdy jéj nie przyszło na myśl żądać zmiany swego losu. Czasem tylko, gdy przechodziła ulicą, a mimo niéj przejeżdżała młoda jakaś dama w pięknéj karecie, i głowa jéj strojna cudnie wyglądała przez kryształową szybę; gdy w loży pierwszego piętra oko jéj spotkało bogatą kobietę, któréj wdzięki podnosiły gustowne stroje, z któréj szyi jaśniały drogie perły, w uszach błyszczały kolce, ogniami swemi aż do niéj na drugie piętro ciskające; myślała sobie: jakie one szczęśliwe! żebym to ja była na ich miejscu! Ale te przelotne zachcenia prędko mijały i nikt ich nie dostrzegał. Nieszczęściem, ostatnim razem, gdy patrzyła na broszę téj damy, która pieściła się z jéj dzieckiem, taka sama myśl jéj przyszła, dłużéj niż zwykle zajmowała ją, i dostrzeżoną i wyczytaną została przez tego świadka, który niedaleko stał oparty o drzewo i korzystać z odkrycia swego postanowił.

I zaraz nazajutrz po tym spacerze w ogrodzie Jezuickim, gdy Hortensya siedziała w swoim pokoju i szyła, a dzieci bawiły się przy jéj nogach na rozesłanym tam kobiercu, wszedł mąż uradowany i ściskając żonę, rzekł:

— Patrz-no, Hortensyo! co ci przynoszę. — To mówiąc dobył pudełko, otworzył je i pokazał broszkę, niezmiernie zgrabną i misterną, obsypaną w koło drobnemi perełkami, a we środku mającą drogi kamień, który lśnił się i rozmaitemi ogniami migotał. Rumieniec wystąpił

na piękne lice Hortensyi, oko jéj zaiskrzyło się i na ustach pokazał się uśmiech radości i szczęścia.

— Czyje to, Pawle? — zapytała.

— Twoje, mój aniołku — odpowiedział, patrząc na nią z miłością. — Książę Karol, którego mam interesa, dowiedziawszy się, że dobrze stoją, że je wkrótce do pomyślnego doprowadzę ukończenia, przysłał ci z Wiednia ten podarunek z grzecznym do mnie liścikiem. Przypnij ją do sukni i obacz, czy ci będzie ładnie.

Hortensya przypięła, przejrzała się w lustrze, a potém obracając się do męża, który czekał zapłaty, rzuciła się w jego objęcia i serdecznie go ucałowała. W téj chwili zdało się jéj, że go inaczéj jakoś kocha, niż dawniéj.

W tydzień potém hrabia Bronisław, którego plenipotent ważną sprawę adwokatowi naszemu powierzył, dla zachęcenia go do gorliwości, przysłał znowu dla żony jego dwa sznurki drogich pereł, związanych zapięciem brylantowém, tak pięknem, tak kosztownem, że sam pan Paweł zdumiał się nad szczodrością daru. Ale że mógł znowu zrobić taką siurpryzę ukochanéj żonie, ucieszył się niezmiernie i otrzymał jeszcze serdeczniejsze uściski i pełne miłości pieszczoty. Hortensya téj nocy zasnąć nie mogła. A gdy nad ranem sen skleił jéj powieki, marzyły się jéj perły, kosztowne kolie, kolczyki błyszczące i rzucające w około iskry ogniste. Potém zdawało się jéj, że była na jakimśćiś balu w atłasowéj sukni, ozdobionéj koronkami, że przy piersiach jéj tkwił bukiet z drogich kamieni, a na głowie grzebień, od którego blask padał na salę i ćmił ozdoby wszystkich pań, które na nią spoglądały z zazdrością, a jednak znajomości jéj szukały. Tancerzów miała mnóztwo. Wszyscy ją otaczali, i orderowi panowie, i naj-

wykwintniejsza młodzież na wyścigi prezentowali się jéj, i każdy odchodził kontent, gdy go jakiém słówkiem uraczyła, lub powitała uśmiechem. Obudziła się Hortensya nagle, i obaczywszy skromny swój sypialny pokoik i śpiącego obok męża, odwróciła się, zamknęła znowu oczy, aby rozkoszny sen na nowo przywołać; ale sen znikł, a z ostała tylko rzeczywistość mierna, choć nie uboga, bez blasku, i utrzymująca się tylko pracą, pracą ciągłą i niezmordowaną. Wstała więc smutna, zniechęcona, i wśród zajęcia domowego zaglądając do szufladki, gdzie były jéj klejnociki, porównywała je z westchnieniem z temi, jakiemi sen zbudził jéj serce, przesiąkające coraz mocniéj próżnością i zamiłowaniem przepychu.

Część wszakże znaczna jéj snu sprawdziła się. Tego samego dnia odebrali zaproszenie na jutrzejszy wieczór tańcujący od jednego z konsyliarzy Gubernium, człowieka bogatego, lubiącego żyć wystawnie i u którego nawet wielcy panowie bywali i bawili się. Mąż rad-by był przysłużyć się nową suknią, ale jakoś tym razem nie był przy pieniądzach, i mocno go to zmartwiło. Właśnie gdy Hortensya, którą przepraszał prawie ze łzami, że nie może jéj nic nowego sprawić, odeszła niekontenta i przerzucała swoje dawniejsze stroje, myśląc jakby się ubrać, i do jakiéj sukni przystałyby najlepiéj nowe ozdoby, w których pierwszy raz wystąpić miała, gdy przepatrzywszy wszystko przekonała się, że i ta i tamta sukienka była już noszona i nieświeża, a medytując nad tém smutném ograniczeniem środków, usiadła zakłopotana, i już postanowiła nie iść; weszła jéj sługa i przyniosła spory karton, cienkim sznureczkiem obwiązany, przypieczętowany, z biletem pod jéj adresem.

— Co to jest? — zapytała Hortensya zadziwiona.

— Nie wiem, proszę pani — odpowiedziała służąca. — Jakiś lokaj w galonach przyniósł i kazał to pani oddać.

— Czyj? nie mówił.

— Nic nie mówił, proszę pani, i zaraz odszedł.

Gdy Hortensya rozpieczętowała bilet, znalazła w nim te słowa: „Szanowna pani! Dawny klient, którego mąż „pani swoją gorliwością i znajomością prawa postawił na „nogi, i od ruiny majątku ochronił, pamiętny na tę wielką „i nieocenioną przysługę, jaką odebrał, prosi i zaklina, „abyś pani od niego przyłączoną tu bagatelę przyjąć ra- „czyła.“

Podpisu nie było, i ręka jéj nieznana. Z razu chciała Hortensya zawołać męża i jemu to pokazać. Ale niecierpliwość ją wzięła obaczyć, co jéj przysłano. Rozcięła więc sznurek, odjęła wieko, i jakież było jéj podziwienie, gdy obaczyła prześliczną blado-różową suknię, z najpiękniejszego atłasu, ozdobioną wielkiéj wartości koronkami, kolczyki brylantowe niezmiernie zgrabne, grzebień złoty, pięknemi bardzo perłami osypany, i bransoletki prawie takie, jak dawniejsza kolia, i mogące służyć za garnitur. — O! co za szczęście, pomyślała sobie, mieć takiego męża, którego pracę ludzie tak cenią i pamiętają. Czy tylko przyda się na mnie! — i czém prędzéj zamknęła się i przymierzyła suknię. Suknia leżała jak ulana, żaden fałdzik nie okazywał, żeby nie dla niéj była robioną. Gdy potém założyła we włosy grzebień, w uszy kolczyki, gdy dawniejszemi perłami ozdobiła szyję, bransoletami ręce obnażone, i zapiąwszy broszę przy gorsie, stanęła przed zwierciadłem, nie poznała sama siebie, tak była nadzwyczaj piękna, tak strojna, tak uderzająca bogactwem i gustem.

— Tyle odebrałam siurpryz od poczciwego Pawła — mówiła sama do siebie — niechże teraz ma choć jednę ode mnie. Nie pokażę mu tego, aż jak będziemy wyjeżdżać, jak już będę ubraną.

I zamknęła starannie podarunki, prosząc męża, aby się nie kłopotał jéj ubraniem; że ma ładną dawniejszą sukienkę i prosi tylko o białe trzewiczki i rękawiczki. — I znowu Hortensya całą tę noc źle spała, a gdy przyszedł dzień, z niecierpliwością wyglądała wieczoru, żeby się już ubrać, żeby się pokazać w kole znajomych, w tak przepysznem ubraniu, które wszystkich zadziwi i zjedna jéj hołdy i uwielbienie.

Przyszedł nareszcie wieczór. O w pół do dziewiątéj dała znać mężowi, że już ubrana i na niego czeka. Gdy pan Paweł wszedł, i obaczył ją jaśniejącą takim strojem i elegancyą, ozdobną tak kosztownemi przyborami, tak dziwnie piękną w ubraniu, w jakiém jéj jeszcze nigdy nie widział, zdumiał się najprzód i w głowę zachodził, zkąd to wszystko się wzięło. Żadna zła myśl przyjść mu nie mogła, bo znał swoję żonę. A jednak coś go ubodło i zabolało. Wspomniał o dawnych jéj sukienkach, tak skromnych i powabnych, i nie wiedzieć dla czego, wspomniał także o dzieciach, jak gdyby w tych brylantach, które świeciły na matce, widział coś zgubnego, coś grożącego sieroctwem tym aniołkom, które już spały i których dziś prawie nie widziała. Bilet dawnego klienta uspokoił go, choć ręki nie poznał i nie mógł się domyśleć, który to tak wdzięczny i pamiętny. Pojechali więc na bal: Hortensya szczęśliwa i wesoła, pan Paweł dość smutny i zamyślony.

Bal ten był jakby powtórzeniem czarodziejskiego snu,

który ją poprzedniéj nocy złudził. Jakoż była ona prawie jego królową, tak pięknie wyglądała, tak wszyscy admirowali jéj ubranie, jéj gracyą, jéj dowcip, jéj zgrabność w tańcu. Najpierwsze damy, które były obecne, starały się o jéj znajomość, a mężczyźni wyrywali ją sobie do tańca, szeptali jéj grzeczności, i nie było żadnego, który się do niéj zbliżył, żeby jakimkolwiek znakiem nie dał jéj poznać swojego uwielbienia. Odurzona swém powodzeniem, z zawrotem głowy wróciła do domu. — Niedarmo nazywają te kamienie drogiemi kamieniami — mówiła sama do siebie — rzeczywiście są one drogie. Bez nich nikt-by mnie nie widział. Szczęśliwy, kto je posiada.

Gdy się rozbierała, a mąż zamyślony chodził po pierwszym pokoju, postrzegła na toalecie swojéj ładny bilecik, który zamykał te słowa: „Piękna Hortensyo! dziękuję „ci na kolanach, żeś drobne dary moje przyjąć raczyła, „i w nich pokazała się światu. O! jakżeś była piękną! „jaką radością i uniesieniem napełniło się moje serce, „gdym cię obaczył. Nie śmiałem zbliżyć się i podzięko„wać ci. Ale czuję twoję łaskę. Nie gniewaj się, jeżeli „ci znowu co przyślę. Jabym chciał, żebyś pierwszą tu „była bogactwem i gustem, tak jak pierwszą jesteś powa„bem rozumu i czarami swych wdzięków. Jabym dla „ciebie wybudował czarodziejski pałac, jabym... ale dla „czegoż mam się próżno łudzić, gdy mi się nawet spodzie„wać nie wolno, abyś jedném wejrzeniem, jednym uśmie„chem zapłaciła za to poświęcenie, do jakiego gotów je„stem dla ciebie. Jutro śledzić cię będę. Jeżeli przy „twym białym kapeluszu obaczę różową wstążkę, pomy„ślę, ośmielę się... ale nie, tak wielkie szczęście nie dla „mnie.“

I ten list był bez podpisu, a ręka taż sama, co i poprzedni kreśliła. Więc te wszystkie wdzięczności dla męża, to udanie? więc to jakiś utajony czciciel, i taki, który może czarodziejski pałac wystawić, przesyła jéj tym sposobem dary swojéj miłości? Hortensya schowała bilecik i mąż nie widział go wcale. Bo i na cóż jego pokój zatruwać niebezpieczeństwem, które nie groziło mu bynajmniéj? Wszakże myśląc o tym tajemnym kochanku, przechodząc pamięcią wszystkich, którzy się do niéj zbliżali na balu, nie śmiała nawet sługi zapytać, kto bilet ten przyniósł. Ale sen zniknął z jéj powiek, i nazajutrz wstała blada i znękana. Mąż milczał przy śniadaniu, i ona milczała. Tak pod ten dach dotąd cichy i szczęśliwy, wszedł wraz z drogiemi kamieniami przymus wielkiego świata, i jego podejrzenia wygnały szczerość i swobodę.

Kilka razy wśród dnia brała ją ochota wyjść, ale zawsze coś jéj szeptało: — Co robisz, nieszczęśliwa? gubisz się! — Lecz, im bardziéj zbliżał się wieczór, tém słabiéj odzywał się ten głos ostrzegający — i nareszcie o godzinie szóstéj wieczorem, znalazła się sama, bez dzieci, w ogrodzie Jezuickim, a przy białym jéj kapeluszu była — różowa wstążka.

Widział ją przechodzącą i oglądającą się na wszystkie strony ten sam młody człowiek, który wówczas wysłuchał jéj rozmowy, i jéj usposobienie do próżności i ozdób światowych przeniknął. Taki sam uśmiech, jak i pierwéj, wykrzywił jego usta, gdy obaczył różową wstążkę, i jakaś złośliwa radość błysnęła w jego oczach. Hortensya przeszła przez ogród, nikogo nie spotkała, i smutna i zawstydzona wróciła do domu. Męża nie było, dzieci swywoliły i uprzykrzały się jéj, poszła więc do pokoju i za-

mknęła się. Dla odpędzenia złych myśli, które ją dręczyły, dla przywołania napowrót tego spokoju duszy, który był tak długo jéj dobrem, a teraz przekonała się, jak wielkiém był dobrem, chciała Hortensya wziąć książkę do nabożeństwa i pomodlić się. Sięgnęła więc ręką za zwierciadło, gdzie zwykle leżał Złoty Ołtarzyk i Naśladowanie Chrystusa; ale zamiast tych zbawiennych zbiorów świętego natchnienia, znalazła tam spore pudełko safianowe, bronzowemi kruczkami zapięte. Ze drżeniem i ciekawością otwarła je, i z zadziwienia i prawie przestrachu zakryła oczy, spostrzegłszy skarb, który tak niepojętym sposobem do niéj się dostał. Była to kolia brylantowa, ale z kamieni tak drogich, tak wielkich, tak kunsztownie zrobiona, że chociaż niewiele się na tém znała, pewna była, że w tém drobném pudełeczku zamykał się cały milion. Cóż to za człowiek, pomyślała sobie, który tak kosztowne rzeczy rozrzuca? Długo wpatrywała się w te zdradzieckie iskry, które tryskały z każdéj ścianki kamieni. Nareszcie, zwyciężona ich blaskiem, obnażyła piękną swą szyję, włożyła łańcuch ten dyamentowy, którym skowała swą wolność i szczęście, zacisnęła fermoar, gdzie jaśniał brylant, tak wielki, jak orzech laskowy, tak świetny, jak ta gwiazda, która czasem niedaleko księżyca, na głębokim błękicie niebios połyska, i tak przystrojona stanęła przed zwierciadłem. Zdało się jéj, że jest niewypowiedzianie piękną, że gdyby tak pokazała się między ludźmi, zyskałaby hołd i uwielbienie wszystkich; i wtenczas przyszło jéj na myśl, że kobieta posiadająca takie klejnoty, powinna mieszkać w pałacu i jeździć karetą. Wówczas-to imaginacya jéj i serce przeszły od daru do dawcy, zapragnęła poznać go, obaczyć i podziękować mu przynaj-

mniéj uśmiechem i wejrzeniem. Ale w téjże chwili zdało się jéj, że usłyszała głos męża. Czém prędzéj więc chciała odpiąć zameczek, którym się kolia zapinała. Lecz próżne były jéj usiłowania. W żaden sposób nie mogła trafić na sprężynę; a gdy trafiła, sprężynka ta drobna i cienka nie ustępowała pod jéj palcami, jakby sama była twardym dyamentem. Strach i rozpacz ogarnęły biedną kobietę. Z całéj siły ciągnęła obiema rękoma kolią, chcąc ją rozerwać na dwoje. Daremne wysilenie. Pasek złoty i giętki, na którym drogie kamienie były osadzone, twardszym i mocniejszym się zrobił, niż żelazna obręcz. Jakże tak zostać z tym grzesznym milionem na szyi? jak z tém świadectwem złych myśli i wstydu pokazać się mężowi? W głowie jéj mieszało się, jedna myśl goniła drugą, jedno przedsięwzięcie wyprzedzało i tłukło się z drugiém. Nareszcie, sama nie wiedząc co robi, zarzuciła na siebie salopę, porwała kapelusz i wybiegła tylnemi drzwiami na ulicę.

Na dworze już było szaro, na ulicy pusto, niedaleko tylko od jéj domu stała piękna kareta, a przy niéj ów młody człowiek z szatańskim uśmiechem na ustach. Hortensya szła szybko, nie patrząc przed siebie i nie wiedząc dokąd się uda. Wtedy on do niéj przystąpił i rzekł:

— Piękna Hortensyo! oto powóz na twoje rozkazy. Ten, co cię uwielbia, czeka aż w swoim pałacu. On tylko jeden potrafi rozpiąć ten łańcuch z dyamentów, którym się skrępowałaś dla niego.

Hortensya stanęła, spojrzała obłąkanym wzrokiem, ale przez pół tylko zrozumiała jego słowa, taki zamęt był w jéj głowie; lecz obaczywszy otwarte drzwiczki karety, zapytała:

— Czyje to konie?

— Twoje, piękna Hortensyo — odpowiedział z ukłonem.

— Któż pan jesteś?

— Jestem sługą tego, który cię kocha. Siadaj, Hortensyo, prędzéj, twój mąż wychodzi z domu.

Obejrzała się biedna i spostrzegła męża, który stanął przede drzwiami, jakby się namyślał dokąd pójść i gdzie szukać żony. Chwyciwszy się więc za szyję, i poczuwszy tam zgubny dar, który palił jéj łono, wskoczyła do karety. Drzwiczki się za nią zatrzasnęły i kare dzielne konie uniosły ją pędem strzały.

Odtąd nikt już nie słyszał o pięknéj Hortensyi, żonie adwokata. W kilka dni tylko, na tém miejscu, gdzie samobójców chowają, znaleziono jéj biały kapelusz, a przy nim była różowa wstążka.

Czytaj daléj, Heleno! i strzeż się.“

Helena zamyśliła się, przypomniała sobie dyament, który miała w szufladce, i z jakąś gorączkową szybkością przewracając karty rękopismu, czytała dalsze opowiadania:

3.

„Za wałami we Lwowie był niewielki domek, gdzie mieszkał pan Michał S*** z żoną i pięciorgiem dzieci. Żona była chorowita i zarabiać sama nie mogła, a dzieci były drobne i wymagały starań i opieki. Całe więc utrzymanie téj licznéj rodziny polegało na uczciwości i pracowitości męża. Był on komisantem rozmaitych kupców. Wysyłali oni go w różne strony, a najczęściéj dla skupienia win do Węgier, gdzie już był kilka razy i gdzie

miał znajomości i stosunki. Przed dwoma laty zebrali się w jednę kompanią wszyscy celniejsi winiarze Lwowscy, do nich przyłączyli się i inni spekulanci, szukający większych procentów od kapitału, i złożywszy summę, przeszło dwakroć sto tysięcy reńskich wynoszącą, wyprawili z nią owego komisanta do Węgier. Wierzyli oni jego sumieniu, że ich nie oszuka, i znajomości, że im najlepsze gatunki wybierze.

— Mój Michale! — mówiła żona do wyjeżdżającego męża — pamiętaj o tém, żem ja słabowita, że dzieci nasze drobne i bez twojéj pracy pójdą na nędzę i poniewierkę.

— Dla czegoż mi to przypominasz? — rzekł mąż z obrazą — czyż nie macie wszystkiego, co wam potrzeba?

— Dotąd mamy wszystko, mój mężu — odpowiedziała, całując jego rękę — ale... — tu zatrzymała się i spuściła oczy.

— Cóż to za ale, Marysiu? — rzekł mąż prawie z gniewem.

— Nie gniewaj się, mój drogi! — rzekła z nieśmiałością — ale ja się boję, żebyś nie wpadł tam w złą kompanią.

— Wiész, że od dwóch lat grywam tylko w wiska po dwa krajcary.

Żona westchnęła, zaczęła go całować i płakać. Uspokoił ją pan Michał i przysięgał na przywiązanie i miłość, jaką miał dla dzieci, że już nigdy grać nie będzie.

Powody, dla których ta biedna kobieta okazała nieufność i obawę, były te, że pan Michał dawniéj, gdy był młodszym, wpadł był raz w ręce szulerów, i mały zasób, jaki mu rodzice zostawili, przegrał; że nauczony tą klęską, już takich graczów z profesyi unikał, ale często siadał do

stolika, a siadając myślał sobie: żeby to gdzie znaczną summę wygrać, żeby się już raz na zawsze uwolnić od tego ustawicznego myślenia o jutrze, od téj ciągłéj pracy i wysługiwania się drugim! Tak więc pan Michał miał w sobie żyłkę szulerską, a chociaż się pokonywał, chociaż wszelkich w téj mierze okazyi unikał, zawsze jednak była w nim skłonność do lekkiego i nieuczciwego zarobku. Tę skłonność wyśledził w nim ten, co wyszukiwał wszędzie złe ziarna, aby pod jego ręką i uprawą wyrosło z nich żniwo dla piekła.

Gdy pan Michał godził furmana, żeby go do Debreczyna zawiózł, wszedł jakiś jegomość, który chciał nająć konie do Pesztu. Był to mężczyzna już niemłody, z siwym wąsem, wojskowéj postawy, a twarzy, choć dosyć brzydkiéj, ale wesołéj. Mówił, że był dawniéj rotmistrzem u huzarów, że ma stosunki familijne w Peszcie i dla nich tam jedzie. Tosamość drogi stała się powodem prędkiéj między nimi znajomości. Pokazało się, że rotmistrz miał kocz wygodny i lekki, że mogli, wspólnie nająwszy konie, taniéj i przyjemniéj dojechać. Z początku pan Michał wahał się, nie znając człowieka, tém bardziéj, że wiózł z sobą tak ogromną summę. Ale rotmistrz, przeniknąwszy jego trwogę, niby z niechcenia, rzekł:

— Wiem dobrze, po co pan tam jedziesz. Wścibiłem i ja swoje trzy grosze do tego interesu, który masz nam tam załatwić, i kontent jestem, żeśmy się zeszli. Miałem nawet udać się do pana i zaproponować mu wspólną podróż i moje stosunki w Węgrzech, ale mnie Löwenman zapewnił, żeś pan już pojechał.

To powiedziawszy, dobył pugilares i pokazał panu Michałowi dowód, że na ręce kupca Löwenmana złożył

dwadzieścia tysięcy reńskich, dla zakupienia za nie win węgierskich i na wspólne ryzyko zysku lub straty. Zaspokojony tém pan Michał, z największą radością przyjął propozycyą, i tegoż samego dnia wyjechali.

Przez pierwsze dwa dni droga szła dobrze i wesoło. Rotmistrz był dowcipny i opowiadał panu Michałowi w drodze różne dykteryjki. Kiedy fura żydów mimo nich przejeżdżała, on wychylał głowę z kocza i zaczynał z nimi szwargotać po żydowsku, ale tak doskonale, że furman ich słuchał w osłupieniu, a pan Michał brał się za boki ze śmiechu. Na popasach i noclegach żydziakom robił najpocieszniejsze figle. Jednego wsadził na gęś, która chodziła sobie po ogromnéj izbie; gęś w ten moment rozpuściła skrzydła i zaczęła latać z żydkiem, który jak Ganimedes trzymał się jéj szyi i krzyczał gwałtu na całe gardło; wszystkie żydówki wrzeszczały na gęś, gniewały się na rotmistrza, który udawał niewiniątko, a pan Michał śmiał się, aż mu łzy z ócz płynęły. Gdzie indziéj, zwabiwszy do siebie małego, pyzatego bachura, ugodził się z nim, że mu da krajcara za każdego szczutka. Jakoż bił go po nosie, a za każdém dotknięciem wypadały malcowi z nosa ogromne kartofle. Wszystkie żydówki, zapomniawszy o kominie i innych zajęciach, zbiegły się na to widowisko; a tymczasem mleko, które stało przy ogniu, wyleciało z rądelka, cielak wywrócił na ziemię niecki, w których była mąka i żółtka przygotowane na gugiel, a pies, pochwyciwszy kawał cielęciny, leżącéj na ławie, ciągnął ją do sieni i uciekał ze swą zdobyczą. Łatwo sobie wyobrazić krzyk, wrzask i zamieszanie, jakie ta komplikacya fatalnych wypadków sprawiła, a ztąd śmiech i uciechę pana Michała.

Słowem, pan Michał polubił niezmiernie rotmistrza i winszował sobie, że mu przypadek zdarzył takiego towarzysza podróży. Dziwił się tylko, że rotmistrz nic jeść i pić nie chciał; a gdy go zapytywał o przyczynę takiéj wstrzemięźliwości, odpowiadał wąsaty ex-huzar, że ma swoje puzderko i cokolwiek własnych zapasów, a brzydzi się żydowską strawą.

Trzeciego dnia ich furman, dla skrócenia sobie drogi o trzy przeszło mile, zjechał z szose i bocznym udał się traktem. Że i tu było sucho i twardo, a hurkot kamiennéj drogi już ich zmęczył, nie sprzeciwiali się temu bynajmniéj, owszem byli kontenci z téj odmiany i wytchnienia. Ale wkrótce zajechali w las gęsty i wielki, gdzie była droga zła i korzeniasta. Żyd, jak zaczął wymijać i wykręcać, zaczepił o pień sterczący tak, że koło zleciało, i oś żelazna uderzywszy o coś twardego, pękła i odłamała się. Wielkiego krzyku narobili podróżni. Gniewał się na żyda pan Michał, łajał go i klął rotmistrz; wszakże to nic nie pomogło. Bez kowala i jego młota trudno było jechać daléj. O paręset kroków stała w lesie karczemka ustronna i waląca się. Podłożyli więc drążek i do niéj dociągnęli. Była wprawdzie w karczemce sień, gdzie można było schronić powóz, znajdowała się i izba ze stołem i ławkami, gdzie mogli ulokować się podróżni; ale zresztą była to pustka tak samotna i straszna, gospodarz miał minę tak podejrzaną i pochmurną, że panu Michałowi dziwnie się jakoś zrobiło, zwłaszcza, gdy sobie przypomniał, że miał tyle cudzych pieniędzy. Poznosił więc swoje co drobniejsze manatki do izby, postawił pod ławką szkatułkę, i przygotowawszy pistolety, usiadł przy swoim skarbie i, milcząc, czekał co daléj będzie. Tymczasem

rotmistrz dowiedział się od gospodarza, że o pół mili w bok jest wieś, gdzie się znajduje dobry kowal. Odśrubowali więc oś złamaną, wsadzili żyda na konia i tam go posłali. Przeszła godzina jedna i druga, a żyd nie wracał. Pan Michał się nudził, a rotmistrz zniecierpliwiony, klnąc po polsku i po węgiersku, przechadzał się po izbie. Tak spacerując, wydobył chustkę do nosa, i wtedy z kieszeni jego czamarki wypadła mu karta. Nie uważał tego rotmistrz i stanął przy oknie, patrząc czy żyd nie jedzie, a pan Michał, obaczywszy damę pikową, poniewierającą się na ziemi, zdjął ją i położył na stole.

— Co za przeklęte nudy — rzekł rotmistrz, odchodząc od okna. — Szelma żyd gdzieś przepadł. Jak zbłądzi w lesie, to będzie piękna rzecz. — Potém postrzegłszy na stole damę pikową, dodał: — A to zkąd? czy twoja, panie Michale?

— Tobie, rotmistrzu, wyleciała z kieszeni, jakeś chustkę wyjmował — odpowiedział pan Michał, uśmiechając się.

— Tfy! zapomniałem — rzekł rotmistrz — że mam zawsze z sobą w drodze parę talii.

— Czy grasz? — zapytał pan Michał i oczy jego ożywiły się.

— Fe! — odpowiedział wąsacz — nie grywam nigdy i nie umiem dobrze. Na to trzeba cierpliwości i myślenia, a na mnie to za ciężko. Ale w drodze mam zawsze z sobą karty, bo czytać nie lubię, a cóż robić na popasie i noclegu. Ciągnę sobie pasyans, i tak czas jakoś przechodzi. Ot i teraz, nim ten bestya przyjedzie, niéma nic lepszego do roboty.

To powiedziawszy, przysunął sobie ławeczkę do sto-

łu, usiadł, i trzymając w ustach porcelanową fajkę, wydobył dwie talie kart, i zaczął je rozkładać. Pan Michał przysunął sobie także stołek, i, oparłszy się na łokciach, przypatrywał się.

— Coś nie klei się i nie wychodzi — rzekł po niejakim czasie rotmistrz. — Pewnie ten kanalia zabłąka się w lesie, bom na niego zamyślił. Ale zaraz. Mamy tu ośm waletów. Jeżeli z nich więcéj wypadnie na moję stronę, niż na przeciwną, to dziś wyjedziemy z téj szkaradnéj dziury. — I stasowawszy karty, zaczął je rzucać na prawo i na lewo. Panu Michałowi krew zaczęła podchodzić do serca, i jakoś mu się ckliwo zrobiło, że tak siedzi próżno i niczém się nie zajmuje.

— Stój, rotmistrzu! — rzekł — jedno przy drugiém więcéj nas zajmie, bo tu doprawdy zginąć przyjdzie z nudów i czekania. Ty sobie ciągnij swoich waletów, a ja stawię dwa reńskie na damę pikową. To moja strona, a to twoja.

— Zgoda! — odpowiedział rotmistrz. Ciągnął i wygrał. Pan Michał postawił drugie dwa reńskie, i znowu przegrał. Tym sposobem doszło do dwudziestu reńskich przegranych. Żal się zrobiło tylu pieniędzy wyrzuconych dla zabawki. Wspomniał o żonie i dzieciach, i żeby nie ponosiły takiéj straty, dał pokój damie pikowéj, wyciągnął z talii inną kartę i podwoił stawkę. Ale mu się nie szczęściło wcale, i pugilares jego zmalał o sto reńskich przegranych.

— Przeklęte walety! — zawołał rotmistrz, zgarnąwszy pieniądze pana Michała — leżą na lewo, jak utrapione, ty, panie Michale, przegrywasz także; to wszystko

dowodzi, że żyd będzie nocować w lesie, a my z jego łaski w téj karczmie.

— Czy grasz w lancknechta, rotmistrzu? — zapytał pan Michał, któremu pulsa zaczęły bić w skroniach i w oczach się trochę zaćmiło.

— Co go u nas nazywają djabełkiem — odpowiedział rotmistrz, wytrząsając fajkę — a którego Francuzi nazwali *lansquenet?* Ciekawy jestem, co te głupie Francuziska rozumieją przez to słowo *lansquenet!* — i śmiać się zaczął, a potém dodał: — W djabełka tego gram trochę, bo niewiele myślenia wymaga. Ale to djabeł niebezpieczny, panie Michale!

— Spróbujmy — rzekł pan Michał zaciskając usta, i położył na stole swój pugilares z bankocetlami, które miał na drogę.

— Winienem ci rewanż — odpowiedział rotmistrz — więc spróbujmy. — I wydobywszy z kieszeni wielką sakiewkę, wysypał z niéj na stół dukaty holenderskie, ale tak nowe, tak czyste, tak błyszczące, że panu Michałowi serce się zatrzęsło i oczy na wierzch wyłaziły. Spojrzał na niego nieznacznie rotmistrz, i spokojnie nałożył sobie porcelanową fajeczkę.

Zaczęli więc grać. Wkrótce wszystkie dukaty przeszły do rąk pana Michała, którego twarz płonęła i oczy iskrzyły się radością. Pomyślał on sobie w duchu: A widzisz, Marysiu! ostrzegałaś mnie i płakałaś; a co tu spokojności, co dobrego bytu przybędzie naszemu domowi! I otworzywszy szkatułkę, wyjął z niéj próżny worek, zgarnął weń dukaty i napowrót zamknął. Tymczasem rotmistrz uśmiechnął się, wyjął z drugiéj kieszeni inną, dwa razy większą sakiewkę, i znowu wszystkie dukaty

wysypał na stół. Pan Michał zdumiał się, obaczywszy tę kupę złota, która jeszcze jaśniéj, jeszcze powabniéj błyszczała, niż tamta.

— Teraz ja ci winienem rewanż, rotmistrzu — rzekł wesoło i pełen nadziei — jeżeli chcesz?

— Cóż mam robić! Żyd bestya nie wraca, a szkoda kilkuset dukatów, które wlazły do twojéj szkatułki. Może choć trochę powróci do mnie.

— Mnie idzie tylko o moje sto reńskich — odpowiedział pan Michał z kłamliwą wspaniałością.

I znowu grać zaczęli. Tu już szczęście szło przemiennie. Raz ten, drugi raz ten wygrywał. Rotmistrz, niby zafrasowany, trzymał w ustach niezapaloną fajkę i ciągnął, a pan Michał coraz zapalał się i podwajał, i potrajał stawki. Nareszcie dukaty, które dotąd przesuwały się z jednéj strony stołu na drugą, przeszły wszystkie do pierwszego ich właściciela. Pan Michał rzucił się do szkatułki, wydobył worek już tam zamknięty, i który miał przynieść tyle spokojności i dobrego bytu jego domowi, i zaczął grać daléj. Ale tym razem los mu nie dopisał. W mgnieniu oka dukaty przeszły do rotmistrza, i zlały się z innemi w jednę, czarującą blaskiem i wagą kupę. Stracić więc to, co już miał w ręku? pozbawić żonę i dzieci tych wszystkich wygód, jakie już mieć mogły, zdało się panu Michałowi niepodobném i niesprawiedliwém. Dla odzyskania więc skarbu, który już był jego własnością, blady i drżący, wyjął wielki pakiet bankocetli, i znowu grać zaczął. Na chwilkę szczęście mu błysnęło, lecz wkrótce kilkanaście tysięcy reńskich, powierzonych jego sumieniu, cudzych, a zatém świętych, przeszło do rąk rotmistrza. Za pierwszym pakietem poszedł dru-

gi i trzeci. Zsunęły się okropnie brwi pana Michała, oczy jego zapadły, gdy ujrzał stół przed sobą czysty, a wszystkie pieniądze pod łokciem przeciwnika, który się na nich z zimną krwią opierał. — Cudzych kilkadziesiąt tysięcy! — pomyślał ze zgrozą pan Michał. — Trzeba je odegrać, lub stracić reputacyą, chleb i przyprowadzić do nędzy żonę i dzieci. — Jeszcze raz więc podwoił ogromną stawkę i przegrał. Widząc wreszcie, że się gubi, porwał się z miejsca i zawołał:

— Rotmistrzu! nie wiem, ile masz, ty nie wiész, ile mi jeszcze pozostało. Wszystko za wszystko! chcesz?

— Idzie — odpowiedział zimno rotmistrz — ale postaw tu szkatułkę, a ja w nią włożę wszystkie złoto i bankocetle. Będzie twoja, lub moja.

Gdy szkatułka stanęła na stole, rotmistrz zsypał w nią całą kupę złota, wrzucił jeszcze dwa wielkie worki, które miał w kieszeni, złożył wszystkie bankocetle i przymknął. Potém, obracając się do swojego towarzysza, rzekł:

— Namyśl się, panie Michale! bo tu idzie o honor i życie! — Pan Michał z obłąkanym wzrokiem, trzęsącą się jak w febrze ręką, wyciągnął z talii kartę, i zamiast odpowiedzi, postawił. Rotmistrz wówczas stasował resztę, zaczął rzucać na prawo i na lewo, i po niejakim czasie, przez który biedny komisant stał bez tchu, i prawie bez życia, wygrał.

Wtedy rotmistrz rzekł z zimną krwią:

— Proszę o klucz od szkatułki.

Pan Michał, któremu już nic nie pozostawało, cofnął się parę kroków, porwał pistolet, odwiódł kurek i pomyślawszy chwilę, rzekł:

— Rotmistrzu! zgubiłeś mnie i zgubiłeś zupełnie.

Jeżeli nie przez wzgląd na mnie, to przez wzgląd na żonę i pięcioro dzieci, którem tam zostawił, pożycz mi sto dukatów i grajmy daléj.

— To znaczy — odpowiedział rotmistrz śmiejąc się — że jeżeli przegram, to przegram swoje, a jeżeli wygram, to wygram także swoje. Ryzyko za wielkie, a zysk żaden. Nie chcę.

— Nie chcesz, złoczyńco! — krzyknął wówczas biedak w rozpaczy, i wymierzywszy pistolet, strzelił do rotmistrza. Gdy się dym rozszedł, spostrzegł, że przeciwnik jego stał, oparty jedną ręką na szkatułce, a drugą trzymał fajkę, którą spokojnie palił. Przerażony pan Michał odskoczył na bok, a rotmistrz, uśmiechając się, rzekł:

— Dziękuję ci, panie Michale, żeś mi fajkę zapalił. Takem się zagrał, żem o tém zapomniał i gryzłem próżno cybuch. — Panu Michałowi włosy na głowie powstały, a rotmistrz, prostując się, dodał:

— Dziwisz się, żem zdrów i cały. Głupcze! wiedziałem o tém, że do tego między nami przyjdzie, i jeszcze wczoraj powykręcałem kule z twoich pistoletów. Spróbuj na sobie drugi, a obaczysz, że tak jest istotnie.

— Tyś szatan, nie człowiek — krzyknął wówczas nieszczęśliwy, chwycił drugi pistolet i, przyłożywszy do piersi, wypalił. Gdy z głuchym jękiem upadł i skonał, nagle ciemno się zrobiło w izbie, śmiech szyderski rozległ się w około, a rotmistrz zniknął i szkatułka nie wiedzieć gdzie się podziała. Czytaj, piękna Heleno, daléj, czytaj, a doczytasz się.“

Czytała więc ze drżeniem, co następuje:

4.

„W jedném małém miasteczku, niedaleko od Rzeszowa, był dworek szlachecki z dziedzińcem oparkanionym, z ogrodem fruktowym, warzywnym, i z całém zabudowaniem, jakiego wymagało ubogie gospodarstwo. Na jednéj stronie w tym dworku były dwie porządne izby, na drugiéj kuchenka i izba czeladna, a we środku śpiżarnia i loszek suchy i chłodny. W tym dworku mieszkała skrzętna wdowa, mająca niewielki kawał gruntu, co ją żywił, i kilka dobrych krów, które były największém jéj bogactwem. Pokoiki jéj nie jaśniały ozdobą, ale czystością; na ścianach nie było zwierciadeł, ale obrazy Matki Bozkiéj Częstochowskiéj i Sokalskiéj, wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa, Św. Barbara, jéj patronka, i Św. Salomea, patronka jéj szesnastoletniéj córki. Córka ta była największym jéj skarbem, jéj najdroższą pociechą i najpiękniejszą całéj téj zagrody ozdobą. I trudno sobie wyobrazić milsze, lepsze i powabniejsze stworzenie, jak była Salunia. W szesnastą wstępowała wiosnę i ciało jéj rozkwitło, jak ten pączek różowy, co jeszcze zwarty w swoim wierzchołku, tylko co zaczyna pękać i zwolna odsłania powab czarownych swych listków, tych barw, nad które niéma nic piękniejszego w przyrodzeniu, i téj woni, która zdaje się być aniołów oddechem. Nie była ona zbyt słusznego wzrostu, ale natura urobiła wszystkie jéj formy tak doskonałe, dała jéj kibić tak kształtną i gibką, rączki tak delikatne i nóżki tak lekkie i małe, że gdy szła po łące, zdawało się, że trawki nie zginają się pod jéj krokami, a gdy w kościele klęczała, złożywszy dłonie i modliła się,

zdawało się, że ją jakiś pobożny snycerz wyrył z marmuru i pojął w téj chwili, gdy go modlitwa i natchnienie podniosły do nieba, gdzie obaczył świętą, i przeniósł ją na ziemię dla pociechy ócz ludzkich i dla przykładu wszystkich modlących się dziewic. Na twarzy jéj niezbyt rumianéj i delikatnym puszkiem okrytéj, był wyraz słodyczy i pokoju, a w oku błękitném jaśniało tyle dobroci, tyle serdecznéj uprzejmości dla wszystkich, że gdy ubogi wszedł na ganeczek ich dworku, a ona wyszła i spojrzała, już był pewnym, że nie odejdzie bez pociechy. Każdy co ją znał, widział coś anielskiego w téj dziewiczéj postaci; bo rzeczywiście, na czole jéj gładkiém była taka czystość myśli, a włosy duże i jasne takim świeciły odbłyskiem, że zdawało się, iż jakieś koło święte i błyszczące głowę jéj otacza. Ale najpiękniejszą ozdobą tego rzadkiego stworzenia było to, że o całéj swojéj piękności, o niewysłowionym wdzięku, o téj doskonałości, którą niebo jéj ciało i duszę obdarzyło, nie wiedziała wcale. Bo téż Salunia nie miała czasu myśléć o sobie, sobie się przypatrywać, i napełniać swą imaginacyą próżnym i nieużytecznym obrazem swéj własnéj twarzy i postaci. Gdy wstała raniutko, zajęta była pacierzem; a gdy skończyła pacierz, wyręczała matkę i zajmowała się gospodarstwem. Potém zaraz usiadła z igiełką, robiła dla matki stroiki, szyła dla siebie sukienki, naprawiała bieliznę, słowem, o tém tylko myślała, żeby być pomocą w domu, żeby grosz niepotrzebny nie wyszedł za próg zagrody za to wszystko, co mogła zrobić sama, a zatém żeby matka miała więcéj spokojności i mniéj kłopotu na głowie. Całą jéj zabawą były kwiatki, których miała dużo w ogrodzie i na oknach, i kanarek, który ją znał i kochał, karmił się

z jéj białéj dłoni, a gdy ją zakłół mocniéj swym dziobkiem, patrzył jéj w oczy, jakby ją przepraszał, i potém siadał na jéj ramieniu i prześlicznie śpiewał, jakby ją zabawić i myśli jéj rozerwać pragnął. Dziękowała Bogu wdowa, że jéj dał taką córkę; szczęśliwszą była córka, że tak kochała matkę, że miała zdrowie i życie, igiełkę i pacierz, kwiatki i kanarka.

Ale ów potępieniec, którego szatan wysłał na tę niegdyś szczęśliwą galicyjską ziemię, aby kusił nieostrożnych i zgartywał dusze niewinne do piekła, dostrzegł w cichém ukryciu ten śliczny kwiat, który oddechem swym zmrozić postanowił. Długo krążył on koło mieszkania wdowy, i patrzał w głąb' piersi dziewiczéj pięknéj Salomei. Ale jak na krysztale, którego ani oddech ludzki, ani ręka ludzka nie dotknęła, nie dopatrzył tam żadnéj skazy. Jéj myśli i chęci były tak czyste, jak krople rosy, gdy rankiem stoją na listkach delikatnych, a odbijają tylko błękity niebios i promienie wschodzącego słońca. Raz jednak zdarzyło się, że, szyjąc białą sukienkę, zamyśliła się. Myślała ona, że jest szczęśliwą, że jéj dobrze żyć, i kochać matkę i kanarka; ale przyszło jéj także do głowy, że ma lat szesnaście, że może miéć wkrótce i więcéj, i zapytywała swego serca, czy jéj nic już nie będzie potrzeba, i czy to szczęście, które teraz ma, na długo jéj jeszcze wystarczy? Potępieniec dostrzegł tę myśl i uradował się, ale w téjże chwili obaczył za nią anioła z Boskiém licem, z białém skrzydłem, który położył lekką rękę na jéj głowie. Dziewica ocknęła się z zamyślenia, uśmiech dziecinny poigrał po jéj twarzy, jakby sobie mówiła: jakie ty dziecko! i zaczęła pilniéj szyć, a kanarek usiadł na jéj ramieniu i cudnie śpiewać zaczął. Wówczas potępieniec

skrzywił się okropnie i odszedł, ale nie zdesperował i od postanowienia swego nie odstąpił.

Był niedaleko od miasteczka dwór młodego pana, którego rodzice byli pobożni, skromni, dobroczynni dla swoich włościan, i takiemi cnotami i umiarkowaniem przyszli do wielkiego majątku. Syna jedynaka wychowali w bojaźni Bożéj, starali się dać mu potrzebne wiadomości, i nauczyć, aby umiał pracować i lubił pracę, chociaż jéj do utrzymania życia swego nie potrzebował. Już cieszyli się owocem swéj rodzicielskiéj troskliwości, bo syn stał się wzorem młodzieży i umiał zarobić na szacunek wszystkich, którzy go znali. Ale nieszczęściem jeszcze nie miał dwudziestu lat i był nieożenionym, gdy go rodzice obumarli. Ujrzawszy się panem wielkiéj włości, młody i niedoświadczony, a dobry i łatwowierny, znalazł wkrótce przyjaciół i kolegów, którzy zwolna i stopniami podkopywali jego zasady i zdradziecką ręką wyrywali z jego serca te zbawienne nasiona, które tam ojciec rzucił, a matka kochającą duszą pielęgnowała. Na dopełnienie zepsucia, namówili go, żeby pojechał do Paryża, gdzie stracił dziewictwo swego serca i oduczył się bojaźni Bożéj przez zły przykład i złą kompanią, do któréj się dostał. Nie wiedział on o tém, że do téj stolicy cywilizowanego świata trzeba jechać po naukę, po wydoskonalenie w sztuce, po rozpatrzenie się w tém wszystkiém, co najdoskonalszego rozum ludzki wymyślił i ręka ludzka zdziałała, że tam trzeba jechać po pracę i z jéj miłością; a wtenczas tylko można wrócić całym i użyteczniejszym. On pojechał po rozrywkę, po używanie, i zgubił się. Po dwóch latach wrócił ztamtąd młody pan, wycieńczony i zadłużony, i przywiózł z sobą zapomnienie pacierza, niechęć do oby-

czajów domowych i metresę. Wprawdzie lubieżna i marnotrawna brunetka, która nadużywała i jego sił i jego kieszeni, prędko mu się sprzykrzyła, wprawdzie czuł się skrępowanym i w więzach, ale nie miał dosyć odwagi i mocy, aby je rozerwać.

Właśnie jednego poranku, gdy młody pan i zimnym był w karesach, i nie dał sobie wydrwić stu dukatów, z któremi chciała pobiedz do Lwowa, gdzie już miała oko na innego panicza; gdy rozgniewana Francuzka krzyknęła na niego: *mużik*, bo tego jednego wyrazu się nauczyła, a piękną Galicyą nazwawszy barbarzyńską pustynią, trzasnęła drzwiami, i wyszła; stanął przed młodym panem żyd w materyalnym żupanie, w wyglansowanych butach, z piękną sobolową czapką i piękniejszą jeszcze brodą, słowem, żyd zamożny i szejnemorejne. Zamówił się on, że chce kupić dużo zboża, i gdy z nim młody pan wdał się w rozmowę, tak ją potrafił prowadzić i nastrajać, że od pszenicy i żyta przyszło do kochanki, z któréj nie był już kontent. Wtedy żyd, który najprędzéj i najłatwiéj do konfidencyi polskiego pana wciskać się umié, zaczął mu opisywać dworek w miasteczku, wdowę i jéj prześliczną córkę. Ale nie wspomniał nic o tym stróżu boskim, którego przy niéj dostrzegł, owszem tak mówił, że młodemu panu, któremu rozpusta stała się potrzebą, zapłonęło serce ciekawością i żądzą, i zdawało się, że łatwo znęci ubogą i nieznającą zdrady dziewczynę, a powabem swojéj osoby i szczodrością swojéj pańskiéj dłoni przyciągnie ją do siebie.

Pojechał więc do miasteczka i stanął przed dworkiem wdowy. Zamówiwszy się pod pretextem, który mu łatwo było, jako panu względem ubogiéj kobiety, wymyślić,

wszedł śmiało i z podniesioną głową do czystych i świętością obyczajów tchnących komnatek. Matka przyjęła go z uszanowaniem, ale bez bojaźni; córka zapłoniła się, obaczywszy pierwszy raz młodego pana, ale wkrótce przyszła do siebie, i szyjąc, słuchała, co mówił. Wtedy kanarek usiadł na jéj ramieniu, i śpiewać zaczął, a młody pan z téj okazyi korzystając, przystąpił do niéj, i chwaląc kanarka, zaczął z nią rozmowę. Salunia odpowiadała z wdziękiem i po prostu, ale w jéj głosie i słowach były takie tony, w jéj spojrzeniu i całéj postaci taka niewinność i świętość, że młodemu panu straszno się zrobiło na tę myśl, z jaką przybył. Mimowolnie wspomniał on na świętobliwych rodziców swoich, przesyłających mu z tamtego świata przekleństwo, gdyby trwał w swém przedsięwzięciu, i zawstydził się i zmieszał, i tak stracił śmiałość, że, wkrótce pożegnawszy uprzejmie i matkę i córkę, wyjechał.

Gdy wrócił do domu, Francuzka wydała mu się obrzydliwą i gadać z nią nie chciał, a całą noc zamknąwszy się w swoim pokoju, marzył o przecudnéj dziewczynie, śnił o ojcu i matce. Gdy się obudził, po raz pierwszy od lat trzech, ukląkł i pacierz sobie przypomniał. On pokochał Salunię całém sercem, a czując, że jéj anielska postać staje na straży przy jéj myślach, a jéj błękitne oko wabi go niejako do dawniejszych dni, gdy był szlachetnym, pracowitym i pobożnym, ucieszył się bardzo, sądząc, że i cienie rodziców się ucieszą, i z góry mu pobłogosławią, jeżeli tak czystą i świętą dziewicę, świętą i czystą pokocha miłością.

Ale potępieniec zmartwił się mocno, widząc, że zamiast prowadzić niewinną dziewczynę na drogę piekła, prowa-

dzi młodego pana na drogę nieba. Jemu się tego bardzo nie chciało; stanął więc znowu przed zakochanym młodzieńcem, i skończywszy interes, z którym przybył, tak nakierował rozmowę, że o miasteczku i dworku gadać zaczęli. Żyd wydobył zręcznie z serca młodego pana jego rodzącą się skłonność. Z początku niby mu potakiwał, ale wkrótce zaczął sobie z niego żartować, że się podobno na prawdę zakochał, zaczął małżeństwo nierówne co do wychowania i rodu z takiéj wystawiać strony, tak dobrze wiedział, co świat i żyjące na nim państwo o takich związkach myślą i mówią, że młody pan zachwiał się w pierwszém, zbawiennem przedsięwzięciu, i pomyślał sobie: lepiéj dogodzić żądzy bez tych wszystkich ceremonii, i mieć zawsze rękę wolną, którą z czasem będzie można wziąć wielki posag.

Obaczył żyd, że już młody pan jest na dobréj drodze, i jeszcze daléj go na niéj popchnął, rozdmuchując zły płomień i kreśląc obraz jéj ślicznego ciała z takim powabem, że się młodzieniec zdziwił, zkąd w żydzie taka wymowa, i zdawało mu się, że czyta najlepszy francuzki romans. Prosił więc, czy nie mógłby mu pomódz, żeby nakłonić matkę do zgubienia jedynego dziecka, a gdyby się to zrobić nie dało, czy nie mógłby tak rzecz naszykować, żeby tajemnie porwał dziewczynę, i póty ją miał u siebie, pókiby mu była miłą, i pókiby mu się jaka stosowna nie zdarzyła partya. Żyd obiecał wszystko wyrozumieć, a młody pan, przez wdzięczność za dobrą radę, kazał mu taniéj sprzedać pszenicę.

Zapłaciwszy więc z pieniędzy wziętych od żyda Francuzkę, i wyprawiwszy ją z domu bez powrotu, postanowił udać się do miasteczka i zawieźć matce i córce bogate da-

ry, któremi pewny był, że je ujmie od razu. Ale mimo téj nadziei był smutnym i zamyślonym. Żal mu było pierwszego przedsięwzięcia, które się w sercu jego zrodziło wtedy gdy mówił pacierz, i które powziąwszy, był tak kontent z siebie, tak wesół i szczęśliwy. Ale przypomniawszy sobie znowu wszystkie uwagi i żarciki żyda, a nadewszystko, że żona nie jest tylko dla domu, ale dla ludzi i świata, a taka prosta i nieedukowana dziewczyna, choć cudnie piękna, niewinna i pobożna, ani po francuzku nie umié, ani tańczyć, a na balu i w kompanii znaléźć się nie potrafi, utwierdził się w zamiarze dogodzenia chuciom swego ciała bądź co bądź, i zabrawszy z sobą drogie podarunki, pojechał.

Gdy piękny kocz i cztery konie stanęły przed ganeczkiem dworku, matki nie było w domu, tylko Salunia szyła przy oknie, a kanarek siedział na jéj ramieniu i śpiewał. Zapłoniła się dziewczyna jak róża, gdy młody pan wszedł do izby, ale się nie przelękła. Od tego dnia, jak go pierwszy raz widziała, prawie nie wychodził z jéj myśli, i tak oswoiła się z jego twarzą, tak pragnęła i spodziewała się, że powróci, że gdy go obaczyła, nie spuszczała z oczu, nie oniemiała, ale przywitała go naturalnie, uprzejmie, dając znać, że matki nie ma w domu, i że wkrótce nadejdzie, gdyż poszła tylko do ks. proboszcza, którego w jakimściś interesie poradzić się miała.

Zaczęli więc z sobą rozmowę od kanarka, i rozmawiali wesoło. Salunia mówiła mu, to o gospodarstwie ich małém i ubogiém, to o ogródku pełnym owoców i kwiatów, to o inszych, a ciągłych zajęciach, to o miasteczku, w którém mało kogo znała, to o ks. proboszczu i jego gorliwości, to o pięknem nabożeństwie w kościołku,

które mimo jego wieku, i słabego zdrowia, odbywa się tak uroczyście i przykładnie. Młodzieniec więcéj słuchał niż mówił, tak głos jéj był miłym, tak ślicznie urabiały się słowa w jéj różowych ustach, nad które nic piękniejszego nie widział, a gdy w czasie tego przysłuchiwania się jéj mowie, mógł zajrzéć w jéj błękitne oczy, i przeniknąć do głębi jéj myśli niczém nieskażonéj, żadnym pyłkiem nie dotkniętéj, przestraszył się znowu samego siebie, i zdawało mu się, że jego pierś pełna błota, a jego głowa pełna jakiéjś mgły gorzkiéj, gryzącéj i zaraźliwéj. Pomodlił się więc w duchu krótką ale serdeczną modlitwą, i uczuł, że obecność jéj, jéj głos i blask, który otaczał jéj czoło, pierś jego oczyściły i głowę od zgniłego dymu uwolniły. O podarunkach więc ani pomyśléć nie śmiał, a gdy matka powróciła i przelękła się, że go zastała z córką, tak był skromnym, tak bojaźliwym, tak ją przepraszał, że się im uprzykrza, że biedna kobieta, spostrzegłszy łzę w jego oczach, a na twarzy Saluni spokojną jakąś szczęśliwość, i sama ukoiła się w swojéj trwodze, i ani gniewać się na niego, ani zapytać, po co właściwie przyjechał, nie śmiała.

Gdy się oddalał, widział, że Salomea patrzyła na niego tak, jakby jéj żal było, że odjeżdża, a gdy już siedział w koczu, dostrzegł w oknie jéj śliczne lice i na ustach taki uśmiech pożegnania, jak gdyby mówiła: powróć. I jadąc, przysiągł sobie, że powróci, ale z inną chęcią, z innemi podarunkami. Błogo mu było i zdrowo, gdy się ujrzał w domu i w tym pokoju, gdzie wisiały portrety ojca i matki. Nie wyszedł ztamtąd do późnéj nocy, patrzał w ich kochane oblicza, jakby ich zapytywał, czy dobrze robi, czy się na niego nie gniewają. I z tém

zapytaniem na ustach, i z gorącą modlitwą w sercu, zasnął. A gdy sen skleił jego powieki, obaczył w małym kościołku ojca i matkę, przybranych w godowe szaty. Anioł z jasném licem i z białém skrzydłem prowadził do nich za rękę dziewicę, odzianą w ślubną suknią i z wieńcem na głowie. Ona uklękła, złożyła kornie ręce na piersiach, pochyliła białe i pogodne czoło, a oni oboje błogosławili ją. Gdy powstała, młody pan poznał twarz Salomei i obudził się, płacząc.

Potępieniec słyszał rozmowę jego z dziewicą, i ruszał ramionami. Potém widział jego myśli, gdy patrzył na portrety rodziców, gniewał się i zębami zgrzytał. Ale gdy dojrzał jego sen i obaczył tego, który dziewicę do nóg ojca i matki przyprowadził, widząc, że nie da rady, i bojąc się, aby się nie skompromitował, machnął ręką i w inną obrócił się stronę. Odtąd jeszcze jaśniéj się zrobiło w głowie młodego pana, a w sercu jego lekko i swobodnie. Żadne wahanie nie zachwiało już jego postanowieniem, żadna chmurka nie pokazała się na tém niebie, do którego podniósł wzrok z ufnością i wiarą. Prędko więc pojechał do miasteczka, udał się do starego proboszcza i prosił go o spowiedź. A gdy się oczyścił z grzechów przeszłości, wtenczas dopiéro jego rękom przyszłość swoję powierzył.

I w kilka dni potém, pobożny kapłan udał się do dworku wdowy, a za nim słudzy młodego pana przynieśli dary dla oblubienicy. Między innemi kosztownemi rzeczami, najdroższą była ślubna suknia, biała i nieskażona, wieniec zielony z białemi kwiatami i zasłona przezroczysta, która miała okrywać jéj jasną głowę i spadać po jéj kształtnéj kibici do ziemi. Matka, obaczywszy te dary w rękach

księdza, zapłakała z radości, a Salunia przyjęła je z dziewiczym rumieńcem, ale tak, jak gdyby się spodziewała, że je otrzyma. I tego samego dnia klęczeli już oboje przed portretami rodziców młodego pana, patrzyli w ich oblicza, które zdawały się im błogosławić, i trzymając się za ręce, poprzysięgali sobie raz jeszcze wiarę i miłość do śmierci. A gdy powstali ze łzą w oku, młodzieniec podał rękę prześlicznéj swéj żonie i poprowadził ją do sali godowéj, gdzie ich czekała matka uszczęśliwiona, ksiądz, który ręce ich związał, i oficyaliści i słudzy, którzy byli świadkami ich ślubu. A gdy wszyscy zasiedli przy stole, i piękna para pierwsze zajęła miejsce, wtedy z drugiego pokoju wyleciał kanarek, usiadł na ramieniu swéj pani, i cudnie śpiewać zaczął.

Szczęśliwy był młody małżonek, że szanując pamięć pobożnego ojca i świątobliwéj matki, powrócił do tych myśli i uczuć, które w niego wpoili w dzieciństwie; szczęśliwą była młoda żona, że będąc dziewicą, modliła się i pracowała, że nie miała czasu polubić swéj twarzy, a kochała tylko matkę, ogródek i kanarka.

Czytaj, Heleno, daléj, a jeśli łza stanie w twém pięknem oku, uciesz się, że jest tarcza przeciw złemu, które chodzi po ziemi, że są skrzydła nieprzełomne, które otaczają i bronią niewinność.“

I w rzeczy saméj Helena miała łzę w oku, myśl jéj odpoczęła na tym obrazku prostym i niewinnym, po opisach dziwacznych i przenikających zgrozą. Odetchnęła więc spokojniéj, i mimowolnie wspomniawszy o Gabryelu, który był równie pięknym jak Salomea, i zapewne równie niewinnym jak ona, czystszą ku niemu zapłonęła miłością. Pocieszona tym nowym stanem duszy, który jéj

dał piękne na przyszłość nadzieje, i tém bardziéj ciekawa, do czego to wszystko dąży i na czém się skończy, wzięła rękopism i czytała daléj co następuje:

5.

„W Brodach, za ruinami spalonego klasztoru, na rogu téj uliczki, gdzie się przechodzi z rynku do zamku, mieszkał w małéj izdebce żyd jubiler, już stary, pracujący rzetelnie i umiejętnie, a jednak ubogi. O kilkadziesiąt kroków od niego, przy kamienicy Hausnera był drugi jubiler, młody, daleko gorszy niż tamten, mniéj uczciwy, a jednak bogaty i mający zawsze natłok obstalunków. Wszyscy panowie, którzy przyjeżdżali z prowincyi, wszyscy cudzoziemcy, którzy przejeżdżali do Rossyi lub z Rossyi, wszyscy nawet miejscowi mieszkańcy udawali się zawsze do młodego jubilera, bo każdy miał z Hausnerem stosunki, wszyscy wiedzieli gdzie dom Hausnera, a zatém i sąsiad jego jubiler miał zawsze, dla blizkości miejsca, wiele u siebie gości. O starym Salomonie mało kto wiedział, nikt z przyjezdnych się do niego nie dopytywał, a chociaż szyld z podpisem żydowskim wisiał blizko jego okna, ledwie kiedy niekiedy ktoś do niego zajrzał i robotę jaką zamówił. Dręczyło to starego Salomona, przykrzyło mu się jego rzemiosło, bo zazdrościł tamtemu, i skrycie lubił pieniądze. To zamiłowanie grosza i chęć dorównania dostatkiem rywalowi, zrobiły go niezmiernie skąpym. Żałował sobie wszystkiego, zaledwie kilka krajcarów wydawał dziennie na bułkę i cebulę, okruszynki zaś soli oszczędzał tak, jak gdyby to były drobne brylanciki, które tak zręcznie osadzać umiał. Gdy przychodził szabas,

z trudnością wypraszała od niego żona jego Ruchla kilkanaście krajcarów więcéj, które ją wszakże drogo kosztowały, bo za każdą łyżkę łokszynów, które brała do ust, zrzędził i za rozrzutność ją łajał. Tym sposobem, mimo niewielkiéj reputacyi i małéj liczby obstalunków, zebrał przez lat dziesięć z pracy i oszczędności do tysiąca reńskich w srebrze. Kapitał ten chował niezmiernie skrzętnie, i wolałby pewnie z życiem się rozstać, niż z tym groszem, tak krwawo zapracowanym.

W tym czasie przyszedł do niego jakiś pan, usiadł sobie bez ceremonii i rzekł:

— Salomonie! wiem, że masz pieniądze. Pożycz mi. — Salomon przestraszył się i pobladł, jak gdyby go rozbójnicy opadli. Nie stracił jednak głowy, i wyparł się, że nie ma ani grosza, że nie ma roboty i nic nie zarabia.

— Kłamiesz, Salomonie! — rzekł ów pan — dusisz pieniądze, a sam pracujesz, żeby je powiększyć. Pieniądze zarobione powinny potém same na siebie pracować i rosnąć, nie pleśnieć pod kluczem. Potrzeba mi tysiąc reńskich w srebrze. Dam ci sto procentu i odbierzesz go zaraz z góry. Spodziewam się za pięć dni wexlu na dom Hausnera, i za pięć dni ci oddam. Gdybym zaś nie oddał piątego dnia przed wieczorem, szóstego dnia masz prawo sprzedać ten zakład, który ci dla bezpieczeństwa zostawiam, bo mnie nie znasz. Tu także masz na piśmie upoważnienie do uważania tych brylantów za swoje, gdybym piątego dnia nie przyszedł i nie zapłacił.

Na to słowo: brylanty, Salomon, jako jubiler, ocknął się z odurzenia, wziął pudełko, i obaczywszy, że warte były dziesięć razy więcéj, niż od niego żądano, potłumił w sobie wielką radość, kiwnął głową na zgodę, i obej-

rzawszy upoważnienie piśmienne, dobył pieniądze z kryjówki i oddał je panu.

— Jak myślisz, Salomonie — rzekł pan, chowając pieniądze — ile też to może kosztować? Bo ty się znasz na tém.

Salomon poszedł do głowy po rozum, zrobił obojętną minę i kiwnąwszy ręką, rzekł:

— Półtora tysiąca reńskich, nie więcéj.

Pan jakoś dziwnie uśmiechnął się, i odszedł. Wtedy Salomon nie posiadał się z radości. Coś mu szeptało, że zrobił wielki interes. On pewnie nie przyjdzie i nie zapłaci, mówił sam do siebie. A jeżeli przyjdzie, mam sto reńskich za pięć dni! Aj! aj! takiego zarobku nigdy jeszcze nie miałem. Ot to mi doskonałe rzemiosło! — Że to się działo w piątek rano i następował szabas, dał Ruchli z wielkiéj radości całego cwancygiera.

Czwartego dnia zdarzyła mu się dobra robota. Przyjął ją Salomon i zobowiązał się skończyć za trzy dni. Ale nazajutrz był piąty dzień od układu, i Salomon tak był niespokojny, tak wyglądał, czy pan nie idzie, a tak pragnął, żeby nie przyszedł, że nic wcale nie zrobił. Nareszcie zbliżył się wieczór i noc nadeszła, a pana nie było. Salomon skakał z radości, rwał sobie pejsy na głowie, i wołał: aj waj! aj waj! co to będzie! Ruchla myślała, że mąż jéj zwaryował, a on nie kładł się nawet w bety i wyglądał jutra. Gdy dzień nadszedł, a był to szósty od umowy, ubrał się w najlepszy kaftan, wziął z sobą pudełko i upoważnienie, i ruszył na miasto. Komu tylko pokazał brylanty, każdy się dziwował, że takie piękne i błyszczące. Chociaż więc pewny był, że więcéj nie warte jak dziesięć tysięcy, otaksował je jednak na dwanaście,

i wkrótce za tęż cenę sprzedał. Powróciwszy do domu, liczył swój kapitał kilkanaście razy, przypatrywał mu się, uśmiechał się do niego, chował i przechowywał, a gdy noc przyszła, nie mógł zasnąć od téj myśli, że miał tak wiele pieniędzy. Tymczasem obstalunek leżał, a Salomon do roboty nie brał się wcale.

Drugiego piątku z rana przyszedł znowu do niego inny pan i rzekł:

— Salomonie! potrzeba mi dwanaście tysięcy reńskich w srebrze, na dni pięć. Dam ci tysiąc dwieście procentu, i oto upoważnienie, że jeżeli na termin nie oddam, ten zakład będziesz mógł sprzedać. Pożycz mi.

Salomon już się nie przeląkł, nie pobladł, ale się bardzo ucieszył. Obejrzał zastaw, złożony z różnych ozdób i z drogich kamieni, spostrzegłszy, że wart był trzy razy tyle, dobył pieniądze, odliczył swój procent, a resztę panu żądającemu pożyczki oddał. I znowu Ruchla dostała na szabas dwa cwancygiery, a Salomon z wielkiéj radości i niepokoju, czy ów pan stanie na termin lub nie, ani jeść, ani spać nie mógł. Obstalunek tymczasem leżał, nie chciało się Salomonowi wziąć do roboty, bo wolał przypatrywać się drogim kamieniom swojego zastawu, i liczyć, ile za niego dostanie gotowizny.

Gdy nadszedł piąty dzień, Salomon siedział tylko w oknie, jak trup blady, i patrzył, czy pan nie idzie. Ale pan nie przyszedł, i Salomon nazajutrz sprzedał klejnoty za trzydzieści tysięcy reńskich.

Był już stary jubiler bogatszym od młodego, a jednak nie przestał na tém, co mu tak lekko przyszło, i znowu wyglądał piątku. A tymczasem obstalunek leżał, robić mu się nie chciało, bo i na cóż miał siedzieć zgarbiony za

warsztatem, kiedy pożyczać na tak ogromny procent daleko lżéj, kiedy mu pieniądze przychodziły bez kłopotu i mozołu?

W następny piątek przyszedł trzeci pan, zażądał trzydzieści tysięcy i przyniósł zastaw, który wart był przeszło dwakroć. Salomon znowu nic nie jadł i nie spał, nic nie robił i nie gadał nawet z żoną swoją Ruchlą, tak był niespokojnym, tak żądał, żeby piątego dnia dłużnik się nie zjawił i z długu się swojego nie uiścił. Stało się, jak Salomon pragnął. I gdy szóstego dnia sprzedał zastawione klejnoty za trzykroć sto tysięcy, gdy tę summę ogromną przyniósł do domu, tak był blady, iż Ruchla myślała, że mąż jéj już umarł i z okopiska do niéj powrócił. A on tymczasem miał trzykroć sto tysięcy, nie zarobionych w pocie czoła, ale lekko i bez mozołu nabytych.

Tym sposobem stary jubiler w przeciągu roku przyszedł do posiadania miliona złotych reńskich w srebrze. Przebył on ten rok w męczarniach oczekiwania tych panów, co przychodzili pożyczać, i większych jeszcze męczarniach oczekiwania terminu, w którym zastaw miał jego stawać się własnością. Przez cały ten czas o robocie ani pomyślał, tak odwykł od swego rzemiosła, tak polubił lichwę dobroczynną, która mu tyle pieniędzy przynosiła.

Nareszcie jednego piątku zjawił się ten sam pan, który był u niego najpierwszy, usiadł bez ceremonii i rzekł:

— Salomonie! z mojéj łaski zostałeś, jak słyszę, bardzo bogatym. Teraz ja potrzebuję pieniędzy, a zastawić nie mam co. Dam ci za rok pięć procentów, pożycz mi tysiąc reńskich w srebrze.

Salomon skrzywił się, pokiwał głową i wyparł się,

że nie ma. A w skrzyni żelaznéj, którą sobie kupił, leżał milion. Wtedy pan uśmiechnął się i rzekł:

— Widzisz, Salomonie, jak jesteś nieuczynny! Wiem, żeś bogaty, a ty kłamiesz, że nic nie masz. Pożycz-że mi dziesięć tysięcy na pół roku. Dam ci dziesiąty procent i weź ten oto zastaw, który wart tych pieniędzy.

Salomon obejrzał klejnoty, ale że postrzegł od razu, że nie więcéj były warte, jak dziesięć tysięcy, i procent był mały, bo tylko dziesięć za sto na rok, zaparł się znowu, że nie ma i dać nie może. Wtedy pan uśmiechnął się i rzekł:

— Łakomiec z ciebie, Salomonie, i łgarz wierutny! Gdybym był wówczas piątego dnia przyszedł i zapłacił, byłbyś nic nie miał i musiałbyś pracować jak dawniéj. Zapomniałeś, widzę, o tém zupełnie. Pożycz-że mi sto tysięcy na kwartał. Dam ci piąty procent i weź ten oto zastaw, który wart dwakroć.

Salomon znowu obejrzał klejnoty, poznał, że i dwakroć nie były warte, i że procent był za mały. Pokiwał więc głową na znak odmowy i oświadczył, że dać nie może. Wtedy pan, uśmiechnąwszy się raz jeszcze, powstał i rzekł:

— Widzę, że z tobą trzeba być otwartym, Salomonie! Masz rozum i nie chcesz długo czekać na zysk ladajaki. Pożycz-że mi milion na dni pięć i odlicz sobie zwykły procent. Gdybym za pięć dni nie stanął, sprzedasz te dwa brylanty, które mi dał w Jassach jeden magnat wołoski do zbycia, lub do kupienia mu za nie majątku w Galicyi. Trafiają mi się piękne dobra, a mój wexel na dom Hausnera jeszcze nie przyszedł z Wiednia.

Salomon niechętnie brał w rękę pudełko. Dwa bry-

lanty, pomyślał sobie, to mało. Wziął jednak, bo pudełko było spore. Ale gdy je otworzył, mało nie upuścił na ziemię, tak go blask drogich tych kamieni olśnił. Była to spinka, jaką wołoskie damy w narodowym kostiumie swoim zapinają pasy, któremi ściskają talią. Dwa tylko były kamienie, ale tak wielkie, jak oczy ukraińskiego wołu, a tak błyszczące, jak najjaśniejsze gwiazdy. Salomon nie umiał nawet ceny złożyć na takie klejnoty, jednak pewny był, że za nie weźmie najmniéj kilka milionów, i do jakiéj korony królewskiéj sprzeda. Otworzył więc skrzynię, odliczył pieniądze, sto tysięcy procentu sobie zostawił, obwinął je w papier i położywszy w próżnéj skrzyni pudełko z brylantami, przykrył je pakietem, w którym się te sto tysięcy reńskich znajdowało.

Pan zabrał pieniądze i poszedł, a Salomon, wziąwszy się obiema rękoma za pejsy, stał długo na środku izby, i kiwał się na prawo i na lewo, w tył i naprzód, myśląc o tém, że tak prędko został tak wielkim bogaczem. Nareszcie krzyknąwszy kilka razy w radości swéj: aj waj! aj waj! przybliżył się do otwartéj skrzyni, chcąc jeszcze raz przypatrzyć się nieocenionym skarbom, które w sobie zamykała. Nachyliwszy się więc, zdjął z pudełka pakiet z bankocetlami, którym przykryte było. Ale papier wydał mu się cienkim i lekkim. Przeląkł się okropnie Salomon, pobiegł do stołu i zaczął liczyć. Ręce mu się trzęsły, serce zastygało w jego łonie, gdy się przekonał, że było tylko tysiąc. Niedowierzając własnym swym oczom, przerachował je raz drugi, i więcéj nie znalazł. Blady jak trup, z najeżonemi pejsami, z rozstawionemi rękoma, drżąc i chwiejąc się na nogach, przystąpił do skrzynki, przykląkł i otworzył pudełko dla obaczenia, czy przynaj-

mniéj są brylanty. Ale zamiast brylantów, które tylko co migotały tysiącem ogniów i rozlewały po izbie tęcze różnokolorowe, za które miał dostać tyle milionów, i sprzedać je do korony królewskiéj, był tylko sznurek...! Żyd chwycił się obiema rękoma za dwa boki skrzynki, i patrząc w puste jéj dno i na sznurek, od którego wzroku oderwać nie mógł, krzyczał przeraźliwie.

Na krzyk jego wpadła Ruchla, pytała co to znaczy, ale dopytać się nie mogła. Salomon jéj nie słyszał i ciągle krzyczał. Wybiegła więc na ulicę wołać ratunku i przyprowadzić cyrulika, żeby mu krew puścił. Gdy wróciła do domu i cyrulik wraz z innymi ludźmi przyszedł, już Salomon wisiał na tymże samym sznurku, a na stole leżało tysiąc reńskich, które dawniéj zarobił, i obstalunek, którego się przez cały rok nie dotknął.

Czytaj daléj, Heleno! i nie trać odwagi i nadziei.“

Helena przerzuciła resztę rękopismu, a widząc, że już nie wiele do końca, i nie mogąc przeniknąć, dla czego jéj nie każe tracić odwagi i nadziei, czytała dalsze opowiadania, chociaż to ostatnie odrazę w niéj sprawiło.

6.

„Przy jednym z najpierwszych adwokatów we Lwowie był młody aplikant, nazwiskiem Antoni Gniewek. Dobrzy znajomi i koledzy nazywali go zwykle Antosiem, tym serdecznym u nas zwyczajem, przez który zdrobnienie to imienia nieraz i starym dajemy, jeśli ich bardzo kochamy. Jakoż wszyscy Antosia lubili, bo był ładny, żywy, miał skłonność do hulanek, ale nie lubił bawić się sam, tylko zawsze z przyjaciółmi, których traktował póty,

póki się kieszeń nie wypróżniła. Aplikacya szła mu niesporo, akta go nudziły i ziewał przy pracy. To jego poziewanie dostrzegł nasz potępieniec, wędrujący po ziemi galicyjskiéj, i zagiął na niego piekielną swą kartę. Dwie rzeczy szczególniéj przeszkadzały Antosiowi do poznania prawa i pilnego odrabiania powierzonych mu interesów. Miał on starego i chorowitego wuja, po którym spodziewał się wielkiéj sukcessyi, i miał kochankę, która lubiła teatr, spacery po wałach, i przejażdżki za miasto. Wprawdzie wuj dawał mu na utrzymanie, a często i więcéj niż mu było potrzeba, bo go kochał; ale traktowanie przyjaciół, którzy także Antosia kochali, i stroje Brygisi, którą Antoś kochał, wyczerpywały prędko jego zapasy. Gdy się znajdował w takich krytycznych momentach, w których i przyjaciele mniéj kochają, a Brygisie są zwykle zimne i nadąsane, przychodziło mu nieraz na myśl: wujaszek dobry, kocha mnie, ale za długo żyje. I te myśli jego zanotował sobie także ten, który wszystkie poziewania jego przy robocie policzył.

W jednym z tych złych momentów udał się Antoś do swojego wuja, i skłamawszy jakąś ważną potrzebę, prosił go o zasiłek. Wuj, który już od pół roku w łóżku leżał i powstać z niego nie spodziewał się, który zmiarkował od razu, że Antoś kłamie, zmarszczył się, i wydobywszy z pod poduszki akt, w wielkiéj kopercie zamknięty, dał mu go do przeczytania. Był to testament, zrobiony legalnie, własnoręczny, stwierdzony wszystkiemi potrzebnemi podpisami i pieczęciami, którym wuj cały swój majątek, z kilkukroć stu tysięcy reńskich złożony, siostrzeńcowi swemu zapisał.

— Widzisz więc — rzekł starzec, gdy mu Antoś te-

stament oddał i rękę jego całował — żem ci przeznaczył wszystko, co mam. Będziesz bogatym, ale aż po mojéj śmierci. Póki żyję, więcéj nad to, com ci dawał, nie dam. Pracuj i nie trać. Ja także pracowałem i szanowałem pieniądz zarobiony, i dlatego miałem zawsze dosyć dla siebie, a i dla ciebie jeszcze tyle się zostanie.

Antoś odszedł niebardzo zbudowany perorą, która zaraz wyleciała mu drugiém uchem, a chociaż ucieszył się pewnością sukcessyi, zły jednak, że na razie nie miał dla przyjaciół i dla Brygisi, szedł nachmurzywszy się ulicą, i mówił sobie w duchu: dobrze to, że będę miał kiedyś, ale pocóż wujaszek tak długo żyje, kiedy chory i sparaliżowany? Właśnie gdy to myślał, spuściwszy głowę, uderzył się o jakiegoś przechodnia. Zaczął go więc przepraszać za mimowolne uchybienie, a tamten, uśmiechnąwszy się, powiedział:

— Nic nie szkodzi; widzę, żeś pan zamyślony. Młodym ludziom w teraźniejszych ciężkich czasach to się często zdarza. Właśnie wczoraj jeden młody pan także tak mnie trącił, żem się aż uderzył o kamienicę. Ale ja nie rozgniewałem się, bo znając go trochę, domyśliłem się, że musi potrzebować pieniędzy, i dla tego tak patrzy w ziemię. Dziś już spotkałem go inaczéj. Był wesoły i widział wszystkich, z którymi się spotykał.

— A któż mu dał ten dobry humor? — zapytał Antoś, którego to opowiadanie zainteresowało przez tożsamość położenia.

— Jakto kto? — rzekł przechodzień z akcentem zdradzającym jego pochodzenie — ja mu go dałem, bom mu pożyczył sto dukatów. Bądź pan zdrów — dodał kłaniając się, i chciał odejść.

Antosiowi przyszła światła myśl, i czoło się jego wyjaśniło. To słowo *pożyczył* rozległo się w jego uchu dziwném brzmieniem. Rozmaite mu wtórowały echa: i śmiechy wesołych przyjaciół, przy brzęku kieliszków i talerzy, i głosik Brygisi: kocham cię, Antosiu, i odgłos jéj ognistych pocałowań. Zatrzymał więc przechodnia i rzekł mu:

— Pójdźmy i poznajmy się; może pan i mnie dodasz humoru. — Poszli więc i poznali się. Przechodzień zdawał się być wychrztą. Był to lichwiarz, ale z tych porządnych, niebardzo jawnych i grzecznych lichwiarzów, którzy do pewnego czasu łatwi są, niezmiernie uczynni, i zdają się oddychać ludzkością. Gdy mu Antoś swoje położenie opowiedział i swoje nadzieje na przyszłość wystawił, bardzo się nad nim użalił, i na mały procent, na prosty rewers, zanotowawszy sobie tylko dokładnie nazwisko jego i zamieszkanie, tudzież nazwisko i zamieszkanie wuja, pożyczył mu dwieście reńskich w srebrze.

Kontent był Antoś niezmiernie, że wynalazł tak poczciwego i porządnego człowieka. Sprosił więc zaraz przyjaciół, Brygisi kupił elegancki kapelusz i lożę, a gdy go nazajutrz adwokat do roboty zasadził, okropnie ziewał i klął wszystkich pieniaczów, którzy zamiast używać majątku z przyjaciółmi i kochanką, prawują się, zbogacają jurystów, i młodzież u nich aplikującą męczą. Niedługo więc namyślając się, zwłaszcza, że się spodziewał wielkiéj sukcessyi i znalazł źródło, w którém przed jéj otrzymaniem mógł czerpać, porzucił pióro, zamknął papiery i pobiegł do przyjaciół i do Brygisi. Póki miał pieniądze, przyjaciele kochali go i Brygisia pieściła i karesowała. Ale dwieście reńskich wyczerpnęło się prędko, a z niemi

i serdeczność tych, z którymi wesoło dni i nocy pędził. Udał się więc znowu do poczciwego wychrzty, który, jak i pierwszym razem, uprzejmy i ludzki, pożyczył mu jeszcze tysiąc reńskich a conto spodziewanéj sukcessyi, i przez przychylność dla młodzieńca, którego nie można było nie kochać.

Tym sposobem w przeciągu pół roku dług jego wzrósł do pięćdziesięciu tysięcy, bo przyjaciele nie chcieli już pić innego wina, tylko szampańskie, brzydzili się węgrzynem, który nie miał lat sto, nie przyjmowali gdzie indziéj uczty tylko u Żorża, a Brygisia nie mogła już mieszkać na trzecióm piętrze, tylko na pierwszém, nie mogła dojrzéć, co się działo na scenie, tylko z loży pierwszego piętra, nie mogła już chodzić piechotą, ale musiała miéć konie i karetę. Nie przykrzyły się te wszystkie wymagania Antosiowi. Owszem, im więcéj żądali przyjaciele, tém chętniéj dla nich expensował, im wymyślniejszą robiła się Brygisia, tém szaleniéj ją kochał.

Jednym razem lichwiarz stwardniał jak skała, i ani prośby, ani namowy, ani desperacya Antosia nic na nim wymódz nie mogły. Antoś desperował, bo przyjaciele, zmiarkowawszy, że już nie ma pieniędzy, przechodząc mimo, nie poznawali go; a Brygisia zamknęła mu drzwi przed nosem, pogroziwszy, że jeżeli jéj do godziny dwunastéj nic nie przyniesie, to wieczorem przyjmie wizytę kapitana od huzarów, który ją od dawna kocha. Pobiegł więc jeszcze raz do lichwiarza.

— Na co ja mam panu więcéj pożyczać — mówił lichwiarz — kiedy i tak moich pięćdziesiąt tysięcy przepada. Pańskie wexle, to nie pieniądze.

— Jakto przepada? jakto nie pieniądze? — wołał

Antoś obrażony — nie mówiłem ci, że mi wuj kilkakroć zapisał, i że ja po jego śmierci odziedziczę? Widziałem testament.

— Nu, kiedy to będzie! — rzekł lichwiarz. Antoś pomyślał: prawda, że wuj zanadto długo żyje. Wychrzta, usłyszawszy tę myśl, uśmiechnął się, a potém dodał:

— Kto to jeszcze wié, czy on panu pewnie zapisał? Wiész pan co? pokaż mi pan ten testament. Jak go obaczę własnemi oczyma, i przekonam się, jaka to summa i czy to gotowizna, to może ja panu pożyczę.

— Dobrze — rzekł Antoś w rozpaczy — pokażę ci testament, ale weź z sobą pieniądze i chodź ze mną, bo nie mam czasu dwa razy biegać.

W rzeczy saméj, Antoś nie miał czasu do stracenia, bo to był ten dzień fatalny, w którym kapitan od huzarów miał przyjść z odwiedzinami do Brygisi, a godzina była już jedenasta. Wziął więc lichwiarz z sobą pieniądze i poszli do domu wuja. Uczynny i ludzki niegdyś wychrzta został w sali, a Antoś wszedł do sypialnego pokoju, gdzie wuj, sparaliżowany i chory, już od roku leżał w pościeli. Choć drzwi były przymknięte, usłyszał tam lichwiarz rozmowę między wujem i siostrzeńcem, która go bardzo ucieszyła. Z początku rozmowa była cicha, potém coraz głośniejsza, potém dało się słyszéć jakieś szamotanie i upadek stolika z lekarstwami, który stał przy łóżku, potém jęk bolesny starca, i nareszcie Antoś, blady jak trup, z najeżonemi włosami wypadł z pokoju, i przyniósł wielką zapieczętowaną kopertę.

— Na, masz — rzekł stłumionym głosem do lichwiarza — rozpieczętuj i czytaj.

— Czy to testament jego? — zapytał lichwiarz, ukazując na drzwi sypialnego pokoju.

— Jego, jego — odpowiedział Antoś prędko i mimowolnie obrócił się ku drzwiom. Stał w nich wuj wycieńczony i wyschły. Siwe włosy jego spadały na twarz i czoło, długa koszula okrywała dotknięte paraliżem nogi, na których chwiał się i mocował, a oczy jego zapadłe wlepiły się okropnie w bladą twarz młodzieńca, który cofnął się przerażony. Wtedy starzec postąpił jeszcze parę kroków, i wyciągając rękę za testamentem, który mu widać gwałtem wydarł:

— Oddaj, złoczyńco! — zawołał.

Było to ostatnie wysilenie. Chciał jeszcze krok zrobić, ale w téjże chwili zachwiał się, upadł i skonał.

— Nu, on nie żyje — rzekł ów lichwiarz, uśmiechając się. Jęknął głęboko młodzieniec, spojrzawszy na wuja, co go tak kochał; zrobiło mu się okropnie, ale myśl wielkiéj sukcessyi, na którą tak długo czekał, przyprowadziła go do mężniejszego znoszenia.

— Czytaj-że teraz, czytaj prędzéj — rzekł, wspomniawszy, że już dwunasta — i dawaj pieniądze. — Lichwiarz, uśmiechając się, rozpieczętował i czytał te słowa: „Te„stament mój złożony jest w Gubernium. Siostrzeńca me„go, Antoniego Gniewka, wydziedziczam zupełnie, bo „próżniak, marnotrawny, i śmierci mojéj pragnął.“

— Kłamiesz! — krzyknął Antoś, któremu się w głowie mieszało. Lichwiarz podał mu papier. Młodzieniec przeczytał, i załamawszy ręce, zawołał: — Ha, to jego ręka!

— A cóż teraz będzie z mojemi wexlami? — rzekł lichwiarz groźnie i zuchwale.

— To będzie, przeklęty wychrzto! że dostaniesz dudka na kościele! — rzekł Antoś głuchym głosem, rzucił się do okna i z drugiego piętra na bruk wyskoczył. Lichwiarz zaśmiał się i wyszedł, a trzeciego dnia pochowali ciało wuja, za którego trumną szli wszyscy ubodzy miasta Lwowa, którym majątek swój zapisał.“

7.

„Łatwo się domyślasz, piękna Heleno! że lichwiarzem tym był nie kto inny, jak ten sam potępieniec, ów terminujący na ziemi mistrz Twardowski, któregoś widziała pod postacią młodzieńca, co ofiarował zgubną kolią Hortensyi, pod postacią kapitana od huzarów, żyda szejnemorejne i pożyczających pieniądze panów. Mógłbym ci wiele jeszcze opisać scen, w których odznaczył się chytrą namową, zręczną pokusą i przyprowadził ofiary swoje do grzechu i zguby.

I tak, w jedném miejscu, niedaleko od Tarnowa, zjawił się między chłopami, jako bardzo gorliwy praw ich obrońca, i wdał się z nimi w rozmowę. Od jednéj materyi do drugiéj, przyszło do tego, że zaczął nad nimi ubolewać, jak niesłuszną jest ich pozycya na świecie, jaka nędza ich tłoczy, jak uciążliwa praca ich wycieńcza, jak rozkosznie żyją sobie ich panowie i posiadają nie wiedzieć dla czego tak wiele, kiedy oni nic zgoła nie mają. Gdy ta mowa, z coraz wzrastającym ogniem i właściwą takim oratorom perswazyą prowadzona, trafiała do przekonania słuchaczów, obudzała ich namiętności, wciskała w nich żądzę mienia i używania bez mozołu i takiéj nużącéj pracy, na jaką byli skazani, kazał im dodać trunku, a równie wód-

ką, jak i argumentami gorszemi od wódki, przyprowadził do tego, że porwawszy topory i cepy, napadli na dwór pański i całą familią, zacną i pełną miłości i szlachetnych chęci dla poddanych swych, w pień wycięli. Gdy wyszli z pokojów sypialnych, zbroczeni krwią i z przerażającym wyrazem wściekłości i przestrachu, zastali mówcę swego w pierwszym pokoju. Patrzał on na nich z uśmiechem i szyderstwem, i poradził jeszcze podpalić dom. Gdy jedni z tych obłąkanych morderców podkładali ogień, drudzy z zapałem wołali:

— Gdzież ich pieniądze? dawaj nam ich pieniądze, będziemy się dzielić.

— Tam pod łóżkiem starego jest kufer — rzekł im — pełny złota, wydobytego z ziemi waszym trudem, waszą pracą. Przynieście go tu.

Najzawziętsi poszli, wyciągnęli kufer i postawili go na środku pokoju.

— Odbijcie go! odbijcie go! — wołali drudzy — i podzielmy się. Przestaniemy pracować i będziemy pić i hulać. — Uderzyli więc w zamek zakrwawionemi toporami. Zamek pękł, a wszyscy rzucili się do otwierającego się wieka. Ale gdy zajrzeli do kufra, krzyknęli przerażeni i odskoczyli na bok. Kufer był pełen wężów i żmij, które do nich głowy wyciągały i straszliwie syczały. Biedni, zdurzeni chłopi, zaczęli wtenczas przychodzić do przytomności, wspomnieli na przepisy téj Boskiéj wiary, którą im ksiądz proboszcz tak pięknie wykładał, i która w każdym człowieku bliźniego widzieć i kochać nakazywała. Chcieli uciekać, chcieli wreszcie zemścić się na zdrajcy. Ale już było zapóźno. Twardowski znikł, a ich otoczyły zewsząd płomienie walącego się domu.

Tak różnemi sposobami Twardowski, przechodząc przez wszystkie rodzaje lekkich zarobków, których liczba na ziemi jest tak wielka, a którą on jeszcze pomnożył, zasługiwał się piekłu. Już tam wiele dusz przesłał i w grzechu pogrążył. Pracował bowiem gorliwie, zwijał się zręcznie i wciskał się chytrze różnemi sposobami, rozmaitą ponętą, gdzie tylko dostrzegł, że przystąpić może. Parę razy tylko nie udało mu się tak, jak z piękną Salunią i młodym panem; a przecież szatan nie był z niego kontent i coraz więcéj wymagał. Twardowski już żałować swojego powietrznego zaczynał więzienia, gdzie blizko trzysta lat tęsknił, gdy szatan jednego razu postanowił już ostatnią i najważniejszą naznaczyć mu robotę.

W Czerwcu więc tego lata, na dni cztery przed S. Janem, wziął go z sobą w nocy i obadwa usiedli na szczycie ogromnéj wieży ratusza Lwowskiego, która wkrótce zawali się z téj przyczyny, że szatan na niéj siedział. Tam znajdując się, ukazał mu na Halickiém niewielką kamienicę, a w niéj małą i ubogą stancyę studenta. Twardowski przeniknąwszy mury kamienicy, obaczył w téj stancyi stolik niewielki bibułą poplamioną atramentem przykryty, na którym paliła się łojowa świeczka i leżał papier przygotowany na list, na którym było już napisano: Najdroższa! serdeczna matko! — Przy stoliku stał młodzieniec wysoki, dorodny, z jasnemi włosami i twarzy nadzwyczaj pięknéj. Trzymał on w ręku drugi list już napisany, który się zaczynał od tych słów: najdroższy wuju! — Wkrótce prześliczny młodzieniec skończył odczytywanie swego listu, położył go na stole, otarł łzę, która cudne, błękitne oko jego zalała, i usiadł kończyć list zaczęty do matki. Pisał on szybko, jakby mu słowa lały się

z serca, a Twardowski, przypatrzywszy się lepiéj, postrzegł przy nim anioła z boskiem licem i białem skrzydłem, który stał tuż przy nim, piórami go swemi osłaniał, i nakłaniając promienną głowę do głowy młodzieńca, zdawał się dyktować mu te słowa, które on do matki swéj pisał.

— Czy widzisz? — zapytał wówczas szatan.

— Widzę — odpowiedział mistrz, i odwrócił oczy od tego widoku, który go raził.

— Wychowują go dla nieba; bronią go potężne siły, a ja go miéć chcę, bo pragnę pokazać, żem mocniejszy. Tryumfu tego żądam koniecznie, i gdy mi go zjednasz, przestaniesz być potępieńcem.

To powiedziawszy, szatan się poruszył, wieża się zatrzęsła i porysowała, a on, rozpiąwszy ogromne skrzydła, poszumiał nad miastem, którego mieszkańcy pobudzili się przestraszeni, dziwiąc się, że czują trzęsienie ziemi, kiedy o tém zjawisku natury ani w kalendarzu, ani w Gazecie Lwowskiéj nie było.

Twardowski został jeszcze na wieży i myślał o trudności zadania. Długo tam siedział i rozważał, jakby się wziąć do dzieła, które miało o przeznaczeniu jego stanowić. Wreszcie spojrzał jeszcze w głąb' stancyjki pięknego studenta. List już był skończony, świeca zgaszona i młodzieniec spał snem cichym i spokojnym. Wtedy mistrz zajrzał do jego myśli i obaczył, że myśli jego czyste, żadnym brudnym obrazem nieskalane, żadném chceniem próżności, łakomstwa lub ambicyi niepokaleczone. Zajrzał do jego serca i obaczył tam tylko lice matki, tylko oblicze wuja, szanowne i poważne stanem i wiekiem. Inszéj tam żadnéj twarzy nie było. Pomyślał więc: jest śro-

dek; miłość mi ułatwi drogę. Ale nie tak święta miłość, jaką ten młody pan dla pięknéj Saluni zapłonął. — Tak mądry plan ułożywszy, obejrzał się po mieście, które całe pod nim leżało i które widział jak na dłoni. Po krótkiém śledzeniu przeniknął wreszcie mury jednego pałacu. Tam, w przepysznym sypialnym pokoju, na wspaniałém i miękkiém łożu obaczył śpiącą kobietę. Jéj nadzwyczajna piękność, jéj młodość, jéj wdzięk niewymowny uderzyły go. Zajrzał więc do jéj myśli i dostrzegł, że w nich tylko świat i jego próżność, tylko uciechy i zabawy, tylko chęć przypodobania się i zamiłowanie wystawy i zbytków. Zajrzał potém do jéj serca: nie znalazł tam żadnéj twarzy, ale zmiarkował, że to krew gwałtowna i gotująca się, że tam pełno żądzy szczęścia i miłości, któréj nic nie zaspakajało. Ucieszony tém odkryciem, zeskoczył prędko z wieży i przez resztę nocy plan swój rozwijał, aby go do dojrzałości doprowadzić.

„Nazajutrz, gdy biła dziesiąta, student z Halickiego szedł koło Fary, niosąc na pocztę listy do wuja i do matki. Wtedy ujrzał wychodzącą z kościoła młodą damę, z nadzwyczajnym gustem ubraną i bardzo piękną. Szedł za nią lokaj w bogatéj liberyi, i niósł szal kosztowny i parę książeczek do nabożeństwa w axamit oprawnych, na których się nie modliła, bo w czasie Mszy świętéj myślała o pięknéj sukni, która jéj miała przyjść z Paryża. Dama spostrzegła prześlicznego młodzieńca, i on także spojrzał i wpatrzył się w cudną twarz damy. Krótkie to było i przelotne spojrzenie, a jednak ona odeszła zarumieniona, a on został na miejscu zapłoniony i śledzący ją wzrokiem. Wtedy dama obejrzała się, i spostrzegłszy wrażenie, jakie na młodzieńcu sprawiła, doznając także

wzruszenia, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczała, chciała dłużéj widzieć i być widzianą. Zbliżyła się więc do ślepego starca, który siedział niedaleko kościoła. Młodzieniec przystąpił także bliżéj tego miejsca. Wtenczas na rękę wyciągnioną żebraka z maleńkiéj ręki pani upadł dukat. Ale z wysoka rzucony zeskoczył z twardéj dłoni jego, posunął się po grubéj odzieży, zadzwonił na bruku i potoczył się pod nóżkę małą i zgrabnym trzewikiem ściśniętą. Dama cofnęła się z uśmiechem, nie mogąc końcem parasolika przysunąć ku starcowi dukata, obróciła się i rzekła do lokaja: podnieś i oddaj mu to! Ale nim się lokaj ruszył, już piękny młodzieniec przystąpił, podjął pieniądz i kładąc go na dłoni starca, rzekł zarumieniony:

— Staruszku! ta pani daje ci jałmużnę; ale schowaj sobie to gdzie osobno, żeby cię nie oszukali, bo to dukat.

— Dobrze, schowam — odpowiedział starzec — dziękuję wam, śliczne państwo. Niech wam Bóg da zdrowie... i długie życie razem!

Przy tym żebraku stał niewidomy Twardowski i podszepnął mu te ostatnie słowa, które on głośniéj i dobitniéj wymówił.“

Na tém skończył się rękopism. Helena, która ostatnie to opowiadanie szybko i bez tchu czytała, poznawszy własną swą historyę, i widząc w jakie się dostała ręce, rzuciła manuskrypt, porwała się z miejsca z jękiem bolesnym, i podnosząc wzrok ku drzwiom swego pokoju, postrzegła w nich zapowiedzianego sobie gościa. Stał on tam, jakby wejść nie śmiał, trzymał ręką portyerę axamitną, którą podniósł, i uśmiechając się zwykłym sobie sposobem, patrzył na nią przenikliwym swym wzrokiem. Przerażona tém zjawieniem młoda kobieta, krzyknęła

i upadła na szezlong. Twardowski zbliżył się prędko, zdjął jakby z gniewem z ziemi rękopism, zmiął go i schował, potém pociągnął za sznurek od dzwonka i wyszedł. Karlina i marszałek, zbudzeni tém dzwonieniem, wbiegli do pokoju, i zastali Helenę zemdloną i jak trup bladą.

XV.

Przejdźmy teraz do Halicza, gdzieśmy zostawili w niepokoju interesujące osoby, których życiu, jak to czytelnicy widzą, zagrażają ciężkie próby, na jakie je niedoścignione wyroki przeznaczenia wystawić dozwoliły.

W domu Apolonii i ks. Pileckiego upłynęło parę tygodni bez żadnego wypadku. Wszakże i matka i wuj postrzegali, że Gabryel coraz mizerniał i stawał się smutniejszym, a Agata straciła ten humor wesoły, tę swobodę myśli, które ją czyniły pociechą i rozkoszą całego domu. Biedna dziewczyna widziała to dobrze, że Gabryel, chociaż dobry, choć uprzejmy, choć z nią rozmawiał i czasem starał się jaką niewinną obdarzyć pieszczotą, nie szukał jéj jednak, nie śledził jéj wzrokiem, nie biegł myślą za wszystkiemi jéj krokami, za każdym jéj ruchem. Ona żyła tylko w nim i przez niego; jéj zdawało się, że przestałaby być i oddychać, gdyby obraz jego nie świecił jéj życiu, a jego bytność nie owiewała jéj, jak zdrowe i czyste powietrze. Czasem przypominając sobie zdradzieckie nauki baby, któréj wspomnienie przejmowało ją mimowolną trwogą, postanowiła użyć sposobów, które jéj doradziła. Wówczas zaczynała przyczesywać włoski, kwiatkiem ozdabiała skronie, cieniutką brała koszulę, lekko tylko zawiązując ją pod szyją; spodniczkę ściskała mocno

w pasie, aby była cienką i zgrabną, i włożywszy gorsecik, któryby objął jéj kształty i powabniejszemi uczynił, stawała w lusterku, i sznurowała się, i przyglądała się swemu licu, swéj postaci, czy téż jest taką, jakąby dla niego być chciała. Ale pomyślawszy potém, co powié babcia, gdy ją tak wystrojoną obaczy, co pomyśli sam Gabryel, gdy ją ujrzy nadstawiającą się, wykrygowaną, — a co gorsza, wyobraziwszy sobie, że może i nie spojrzy, nie domyśli się nawet, że wszystkie te stroje i zabiegi są dla niego; zalewała się łzami, rozciągała coprędzéj gorsecik, kwiatek wyrywała z włosów i odrzucała go daleko od siebie, a odziawszy się szybko w zwyczajne codzienne odzienie, smutnym oddawała się myślom.

Gabryel, oswoiwszy się z domem i jego uciechami, postrzegł ze smutkiem i pewnym rodzajem przestrachu, że mu to wszystko nie wystarcza. Cichość rodzinnéj strzechy, zwyczajne zatrudnienia, które tam szły ciągle jednostajnym trybem, zaczynały go nudzić, a niepokój wewnętrzny, którego doznawał, podawał mu chęci i potrzeby, których sam nie mógł dobrze określić, ale których zaspokojenia szukał myślą gdzieś daleko za granicami miasteczka i domu. Zrobiwszy sobie tak przykre odkrycie, porównywając stan swój obecny z tém usposobieniem, jakiego doznawał, gdy kurs kończył, gdy wyobrażał sobie, jak szczęśliwym będzie, gdy wróci do wuja, do matki, do gospodarstwa, które chciał zrobić jedyném zajęciem dalszego życia, nieraz ze łzą w oku starał się wrócić do tego szczęśliwego usposobienia. Brał się więc gorliwie do pracy, chodził w pole, pilnował warsztatu, uczył się ojcowskiego rzemiosła, nie lenił się nawet do sierpa, pomagając najętym przez matkę robotnikom. Ale ten powrót był

tylko chwilowym. Czuł on, że to przymus, że to wysiłek woli, nie popęd naturalny, który daje spokój i zaspokojenie. Widział on także stan i skłonność Agaty. Jakkolwiek w téj mierze niedoświadczony, pojmował jednak, że jéj zamyślenie, jéj smutek, jéj tęskny wzrok nie zkąd innąd pochodzą, jak, że to niewinne i śliczne dziecko przylgnęło do niego duszą całą i w nim tylko świat swój zawarło. To przekonanie, którego coraz więcéj nabierał, zasmucało go niezmiernie. Nie czuł bowiem w sercu swém tego popędu, coby go do niéj niezwyciężenie pociągał. Kochał on ją, bawił się z nią, rozmawiał; ale wtenczas nawet, gdy zblizka w oczy jéj patrzył, gdy ją objął, gdy czasem twarz jéj pocałował, inny obraz stał przed jego imaginacyą, inny głos brzmiał w jego duszy. Takiemi myślami kołatany, uciekał często z domu, wychodził za miasto i błąkał się w blizkim lesie, głębokim i gęstym, gdzie go nikt nie widział, i gdzie mógł swobodnie marzyć i szukać zgubionego spokoju i straconéj swobody. Ale w tych przechadzkach portret Heleny nie odstępował go. Gdy sobie upatrzył jakie gęste zarośle, gdzieby go żadne oko przeniknąć nie mogło, siadał pod drzewem, wydobywał ukradkiem pudełko, i otworzywszy je z żądzą, ale i z trwogą, wpatrywał się w te rysy, w których widział tyle powabu, które mu obiecywały tyle szczęścia, a z których razem błyskała jakby przepowiednia, że to jego zguba i zatracenie. Tak więc w przechadzkach tych, zamiast uspokojenia, znajdywał więcéj jeszcze trucizny, i wracał z nich bardziéj zamyślony i ponury.

Wszystko to widział wuj, postrzegła matka, a szczególnie Agata. Raz powrócił smutniejszy i bardziéj znękany. Gdy wszedł na dziedziniec, krok jego był chwie-

jący się, oczy spuszczone ku ziemi i twarz blada. Szedł więc zwolna i nie postrzegł, że pod dębem, na kanapce z darniu, którą kiedyś sam zrobił, siedziała Agata. Wtém grudka ziemi upadła przed jego nogami i rozsypała się. Stanął Gabryel, obejrzał się kto rzuca, i cały zaczerwienił się, postrzegłszy, że to Agata, która wyglądała jego powrotu. Zaczerwienił się zaś dla tego, że go złapała na uczynku. Ona mu często wymawiała, że się zamyśla, że ma coś na sercu; on się wypierał i twierdził, że się jéj wydaje. Teraz oczywiście był gdzieś na innym świecie, kiedy od saméj bramy aż tu, nie widział jéj siedzącéj pod drzewem i dającéj mu różne znaki, żeby się zbliżył. Spojrzał Gabryel na zapłonioną także dziewczynę, i chcąc złą sprawę naprawić przyznaniem się do winy, przystąpił i przy niéj usiadł. Agata niby się nadąsała i odwróciła się od niego. Gdy Gabryel jedną ręką ją objął, a drugą twarz jéj ku sobie zwrócił, opuścił nagle ręce, odsunął się i zawołał:

— Agato! ty widać bardzo płakałaś. Oczy twoje zapuchłe od płaczu i twarz nabrzmiała.

— A kto temu winien? — odpowiedziała, i znowu oczy jéj zabiegły łzami.

— Czy ja? — zapytał.

— A któżby inny, jeżeli nie ty, wujciu Gabryelu! — rzekła ocierając oczy i mocując się z sobą. — Ja teraz przez ciebie tylko śmieję się, przez ciebie płaczę. A ty, Gabryelu, nic sobie z tego nie robisz, i gdzieś chodzisz, gdzieś się chowasz; a jak wrócisz, to wracasz blady i taki zamyślony, że trzeba na ciebie kamieniami rzucać, żebyś kogo o sześć kroków obaczył.

— Prawda; dziś byłem trochę roztargniony i nie uważałem, że tu siedzisz.

— Czy tylko dziś? — odpowiedziała, patrząc mu w oczy, które on schylił do ziemi. — Widzisz, Gabryelu! wstydzisz się i nie możesz na mnie patrzéć. Ja ci powiadam, że tobie coś jest. Od tego nieszczęśliwego dnia, kiedyś z kościoła uciekł i nie wiedziéć gdzie się podział, niepodobny jesteś do siebie. A to wszystkich martwi. Ks. proboszcz zafrasowany, często na ciebie pogląda i głową kiwa; babcia nawet na dobre smutna; jak tylko ciebie niéma, ciągle w okno patrzy i wzdycha, a najgorzéj wszystko to boli i martwi... — tu zatrzymała się i spuściła oczy.

— Kogo? — zapytał Gabryel, biorąc jéj rękę.

— Ej, naturalnie, że mnie — odpowiedziała, nie broniąc mu ręki. — Ks. proboszcz ma probostwo i dużo tam roboty; babcia ma gospodarstwo. Im jest czém się rozerwać, nie mają czasu ciągle o tém tylko myśléć. A ja co? ja nie mam nic na głowie, a jeżeli i mam robotę, to taką, że mi nie przeszkadza myśléć. To téż ciągle tylko myślę o tobie, i ani mogę zbyć z głowy tego kłopotu, dla czegoś ty smutny, dla czegoś ty pobladł i zmizerniał, czemu uciekasz od nas i gdzie się chowasz. O! te myśli póty mnie męczą, póty chodzą po głowie i stukają tam i świdrują, aż póki nie wpadną do serca, póki tam nie zabolą tak, że gdybym gdzie w kącie dobrze się nie wypłakała, toby wszystko tu porwało się i pękło.

— Biedna, dobra Agato! — rzekł Gabryel, przysuwając się do niéj i obejmując tulącą się do siebie. — Że nie jestem wesół, jak byłem z początku, to prawda; że

mi jakoś tęskno i nie mogę sobie miejsca znaléźć, to także prawda. Ale czyż warto się tém tak martwić?

— Jakto nie warto? — zawołała — i bardzo warto, bo ty nie wiész, co z tego będzie.

— Cóż być może? — zapytał Gabryel z uśmiechem.

— To, — rzekła ze stłumioném westchnieniem, — że ks. proboszcz chce ciebie wziąć do siebie, abyś tam mieszkał i pracował. Bo powiada, że to gospodarskie zatrudnienie nie dla ciebie, że ciebie to nudzi, że nie zajmujesz się tém tak... poczekaj, jak on to powiedział?... kiedyż zapomniałam tego słowa.

— Może z energią — rzekł Gabryel.

— Coś tak — mówiła daléj — ale to miało znaczyć, że nie zajmujesz się warsztatem i rolą tak, żeby ciebie to bawiło; że tobie potrzeba książki, żebyś był bardzo mądrym, i żebyś sobie przez to drogę znalazł na świecie do czegoś większego.

— A gdyby i tak było — rzekł Gabryel — czyż to przyczyna do zmartwienia? Teraźniejsza praca niezupełnie odpowiada mojéj chęci. Inna może mnie zajmie, może będę weselszym, szczęśliwszym. Ja sam szukałem i podobno nie natrafiłem na to, czego mi trzeba. Kto wié, może wuj, jako człowiek doświadczony, lepiéj wybierze. Przywykłem go słuchać i zrobię wszystko, co każe. Będę się uczył, jeżeli taka jego wola.

— A jak bardzo zmądrzejesz — rzekła Agata — że już twoja mądrość nie zmieści się ani w domu, ani w Haliczu, to pójdziesz w świat, daleko?

— Być może — odpowiedział dość obojętnie.

— A ja? — zawołała, blednąc i łamiąc rączki. A po-

tém, zmiarkowawszy się, dodała: — ale co tam ja... ale babcia! Oj Gabryelu! Gabryelu!

To powiedziawszy, zakryła twarz obiema rękoma i płakać zaczęła. Gabryel pojął dobrze i krzyk jéj serca, i łzy te zrozumiał, ale patrząc na nią milczał, i wkrótce prawie nie widział przed sobą ślicznéj dziewczyny, któréj dusza odkryła się przed nim tak jawnie, z całą swą miłością i z całym swym bólem. Ta myśl, iż wuj chce go wziąć do siebie i zająć nauką, nasunęła mu inną, iż wkrótce tenże wuj postrzeże, że mu nauka w domu nie wystarcza, że go będzie potrzeba posłać do akademii, a zatém do Lwowa. I nagle lotem błyskawicy imaginacya jego przeniosła go nie już do téj stolicy Galicyi i Lodomeryi, lecz postawiła go nie przed murami uniwersytetu, ale przed Katedrą, którą widział otwartą, zkąd dochodził go głos organów i dzwonek przy ołtarzu dzwoniący, ale zkąd wyszła także cudna postać, któréj rysy miał w sercu i w kieszeni, i któréj wzrok i głos z całą powtórzyły się siłą. Wiedziony tém piękném widziadłem, jakby jaką gwiazdą, puścił się śmiało na morze rojeń coraz milszych, coraz powabniejszych. Już i dowiedział się, kto jest ta piękność, która widać jest mu przeznaczona, kiedy jéj obraz znalazł go tak dziwnym sposobem, — już przekonał się, że to prawda, co baba mówiła, że i ona zwróciła na niego uwagę, że go także wybrała, że zatém pozwoli mu siebie widywać i kochać siebie nie zabroni. Temi marzeniami tak się odurzył, w takich zatopił się dumach, że nie rzekłszy ani słowa, nie spojrzawszy nawet na płaczącą Agatę, powstał, znowu poszedł za bramę, i wkrótce zniknął jéj z oczu. Wtenczas Agata, chwyciwszy się obiema rękoma za głowę, zawołała:

— Och! tożem ja bardzo nieszczęśliwa!

W kilka dni potém Gabryel już był instalowany na probostwie, w tym pokoju, który dla niego był przeznaczony i zamykał w sobie wszystko, coby młodemu człowiekowi było potrzebne: łóżeczko skromne, ale wygodne, kilka stołków, stolik pod oknem do pracy, z małém biureczkiem zamykaném, z szufladą także opatrzoną zamkiem, co wszystko jest tak upodobane młodym, jeżeli lubią porządek i utrzymywać go umieją. Niedaleko od stolika, opatrzonego we wszystkie przybory do pisania, stała szafka, a na jéj półkach kilkadziesiąt najlepszych książek w trzech językach, które Gabryel dobrze umiał, to jest: w polskim, w łacińskim i niemieckim. Wyjął je ks. proboszcz ze swojéj biblioteki i tu przeniósł, a niektóre, zwłaszcza prawne, nabył niedawno. Przekonawszy się bowiem i z listu Gabryela, i z rozmów, które z nim po powrocie jego miewał, że do stanu duchownego usposobienia nie miał; widząc oraz, że się już za wiele wyuczył, aby go rzemiosło ojcowskie zająć mogło, aby go mały zagon zaspokoił, a nie nauczył się jeszcze tyle przez doświadczenie, wiek i zawody w życiu, aby, jak ojciec jego, proste swe zatrudnienie i ograniczoną rolę zamiłował, gdyż na to potrzeba było prawdziwéj, wyższéj filozofii, a Gabryel poznał tylko niemiecką: — postanowił ks. Pilecki oznajomić go cokolwiek z historyą i literaturą, a potém przeprowadzić przez kurs prawa i w tym celu wysłać do akademii. Takie były jego plany, których połowę tylko odkrył siostrze, a o których z Gabryelem wcale jeszcze nie rozmawiał.

Gdy się młodzieniec nasz na nowéj siedzibie ułożył i swoje manatki i skrypta ulokował, dał mu wuj do rąk Naruszewicza, i kazał od deski do deski przeczytać, nie

opuszczając szczególnie not, które i ciekawe są często, i w ogólności lepiéj pisane, niż sama historya. Zajął się Gabryel tą robotą, i w parę dni już się do niéj wciągnął i nią zainteresował. Wszakże zdarzało się, że wśród pracy, z szufladki swojéj, z pod papierów, z pomiędzy filozoficznych sexternów, wydobywał pudełeczko, i otworzywszy je ostrożnie i oglądając się, przypatrywał się tym rysom, które codzień jakby nowego wdzięku, nowéj świeżości nabierały.

Gdy go matka z Agatą odwiedziły, zastały go nad książką, zagłębionego w czytaniu. Porwał się młody człowiek z miejsca, skoro usłyszał głos matki, i rzuciwszy się w jéj objęcia, ściskał i całował, jakby ją przepraszał za to, że uciekł z jéj domu, od jéj serca, i że się zajmuje nauką, która może go jeszcze daléj odpędzić. Agata, w nowym gorseciku, ślicznie uczesana, ze wstążeczką ponsową, która zawiązywała koszulkę jéj pod szyją, stanęła przy drzwiach, oparła łokieć prawéj ręki na dłoni lewéj, i przyłożywszy paluszek do ust, tak stała i patrzyła z boku na przywitanie matki i syna. Cieszyła ją ta radość, ta tkliwość Gabryela, z jaką rzucił się do Apolonii, jakby jéj Bóg wié jak dawno nie widział, i nie wiedzieć jak daleko od niéj mieszkał. Pomyślała sobie: i ze mną tak się przywita. Była Agata weselsza, jakaś spokojniejsza na twarzy i do ócz jéj powróciło cokolwiek dawnego blasku i dawnych figlów. Przyczyną tego wyzdrowienia jéj duszy była rozmowa z Apolonią, w któréj, stopniami ośmielona przez tę dobrą i zacną kobietę, wyznała jéj swoje przywiązanie, swoje obawy, i z płaczem rzuciwszy się jéj do nóg i całując jéj kolana, dodała: że jeżeli Gabryel pójdzie w świat, to ona sama nie wié, co się z nią

stanie. Utuliła Apolonia płaczącą na swojém łonie, powiedziała jéj wyraźnie, że już oddawna o tém tylko myśli, aby Agata stała się jéj dzieckiem i żoną Gabryela; że ona spostrzegła jéj przywiązanie i ucieszyła się tém, że i Gabryel zapewne dla tego taki smutny i dziwny, że także musiał ją kochać, ale wstydzi się téj słabości, i jak każdy młodzian skromny i niewinny, ucieka przed swojém szczęściem.

Do tych słów tak miłych, tak słodko brzmiących w uszach i sercu dziewczyny, dodała jeszcze Apolonia, że i ona nie pozwoli na to, aby ich opuszczał, i szedł nie wiedzieć gdzie szukać tego, czego pewnie nie znajdzie, i co każdy rozumny człowiek ma w domu i blizko siebie.

Ta rozmowa niewypowiedzianą radością napełniła serce Agaty. Zapewniona w dwóch najważniejszych dla siebie okolicznościach, to jest: że babcia nie gniewa się za to, że ona Gabryela jakoś inaczéj i tak mocno pokochała, i że go od siebie nie puści, uspokoiła się, nagle odrzuciła od siebie gryzącą troskę, a skacząc i śpiewając, wróciła do dawnego trybu życia. I teraz cały jéj tylko pozostał kłopot, żeby jak najczęściéj iść na probostwo i widzieć, jak tam się wujciowi powodzi i czy bardzo za niemi tęskni.

Gdy Gabryel przystąpił do niéj, przywitała go wesołą twarzą, po dawnemu, jak gdyby nic nie zaszło. Gabryel był uprzejmym, ale poważniejszym, co biedną dziewczynę tak zmieszało, że pobladła i nagle straciła humor. Ale Gabryel, postrzegłszy tę zmianę, naprawił swój błąd słodkim uśmiechem i dobrém słówkiem, a wesołość i rumieniec na twarz strwożonéj Agaty wróciły. Po obiedzie odprowadził matkę i Agatę do domu, i tam zabawił do wieczora.

Jedno-dniowe tylko oddalenie rzuciło jakiś powab na wszystkie zakąty ojcowskiego domu i żal mu się zrobiło, że go opuścił. Wyrzucał sobie w myśli niewdzięczność dla najlepszéj matki, wyrzucał sobie, że zasmucił obojętném obejściem serce takiéj dziewczyny, i gdy odchodził jakiś rozrzewniony, ściskał kolana Apolonii i całując potém jéj rękę, rzekł:

— Dobranoc ci, matko. Żal mi iść od ciebie, i zostawić cię tu samą.

— Dobrze ci tak, wujciu Gabryelu! — zawołała Agata — nie było być smutnym, nie było mizerniéć i nudzić się z nami, a nadewszystko — dodała grożąc mu palcem — nie było uciekać z domu, i wałęsać się nie wiedziéć gdzie, toby było wujowi nie przyszło do głowy wziąć cię do siebie i zasadzić do książki.

— Pilnuj matki, Agato — rzekł Gabryel, biorąc jéj rękę — pilnuj jéj za mnie i za siebie, ja ci serdecznie podziękuję.

— Nibyż to mnie potrzeba o to prosić — rzekła Agata z minką i kiwając główką — żebym babci pilnowała? Powiedz sama, droga babciu, czy potrzeba, czy nie?

— Nie, moje dziecię — odpowiedziała Apolonia — tyś poczciwa i dobra dziewczyna. Póki ciebie mam, nie jestem sama, i Bóg widzi, żebym chciała z tobą nigdy się nie rozłączać.

Te słowa, pełne znaczenia w ustach matki, wymówione z czuciem, a nadewszystko wymówione wobec tego, któremu chciałaby je zrobić pojętnemi, tknęły do żywego kochającą dziewczynę. Upadła więc przed nią na kolana, utuliła się na jéj łonie, i przyciągając do ust jéj rękę, tajemnemi skropiła ją łzami.

Gabryel, idąc zwolna na probostwo, rozmyślał nad tém, co widział; zdawało mu się, że w ostatnich słowach matki była jakaś przymówka, że już nie jest dla niéj takim, jakim był dawniéj, jakim zawsze być postanowił; a czując się winnym, czując, że się przed nią ukrywa i tai z rzeczą tak ważną i mogącą wpłynąć na jego życie, że myśli jego odbiegają od jéj łona, od strzechy rodzinnéj, i gonią jakieś widziadło, które go może znęcić, zbłąkać i zgubić, zapłakał gorzko, i wróciwszy do swego pokoiku, cichutko się położył. Ale sen nieprędko zawarł jego powieki. Po długich rozwagach, po surowym rozbiorze własnych myśli, uczuć i postępowania, po zastanowieniu się nad każdém słowem wuja i matki, zmęczony moralnie i fizycznie, nad ranem dopiéro głęboko zasnął.

Noc, ta na medytacyi przepędzona, dobry zrobiła skutek. Wprawdzie nie wywołała ona żadnego stanowczego postanowienia, ale napełniła go najlepszą wolą ulegania kierunkowi, jaki mu nada wola opiekuna i życzenie matki. Tą chęcią umocniony, stał się spokojniejszym, weselszym, tak, że w krótkim czasie oko jego zrobiło się tak jasném i pogodném, jak było dawniéj, i rumieniec stopniami na piękne lice jego powracał. Tryb jego życia przez te kilka tygodni był następujący. Rano do dwunastéj czytał i robił notatki z historyi i literatury krajowéj, z czém ks. Pilecki chciał go najpierwéj oswoić, jako z rzeczą w szkołach niemieckich dość zaniedbaną. Potém szedł na obiad do matki, gdzie zwykle zostawał do wieczora. Przez ten czas zazierał z ochotą do warsztatu i przyglądał się robotom czeladzi, lub szedł w pole, jeżeli tam odbywała się jaka praca, czy w zbiorze, czy w przygotowaniu roli. We środę i w sobotę Apolonia z Agatą przychodziły na pro-

bostwo, tu jadły obiad i zostawały najczęściéj do wieczora, jeżeli nic pilnego nie powoływało ich do domu. Agata, uszczęśliwiona tym pokojem i niejako wyzdrowieniem Gabryela, była dziwnie wesołą, wypiękniała szczęściem i miłością, którą okazywała mu przez troskliwą i niezmordowaną baczność na wszystko, coby mu jakąkolwiek przyjemność lub rozrywkę przynieść mogło. Zdawało się biednéj dziewczynie, że odniosła plon swoich zabiegów, gdyż Gabryel codzień był dla niéj lepszym, codzień chętniéj szukał jéj i z nią rozmawiał.

Nie była to wszakże z jego strony miłość, ale najtkliwsze braterskie przywiązanie, przyjaźń i ocenienie przysług, jakie matka od téj dobréj i czujnéj na każde jéj skinienie dziewczyny odbierała. Widział nadto Gabryel, że to cieszyło Apolonią. Raz, gdy matka siedziała na ganku z robotą, a oni oboje chodzili sobie po dziedzińcu, trzymając się za ręce w poufałéj rozmowie, gdy tak stanęli przed nią, i Apolonia spostrzegła, jak piękną, jak dobraną stanowili parę, przywołała syna, wzięła obiema rękoma jego głowę, pocałowała go w czoło i szepnęła mu:

— Kochaj ją, kochaj, mój synu! bo to nieocenione serce, i mnie bez niéj ciężko byłoby na świecie.

Gabryel przedewszystkiém był synem, i matka była dla niego tym wyrazem, który zamykał w sobie i oznaczał wszystko święte na ziemi. Pojął on dobrze te jéj słowa, zrozumiał jéj życzenia, a chociaż wówczas, gdy myślał o swojéj kuzynce, gdy jéj rękę trzymał, gdy w oczach jéj widział nieograniczone dla siebie przywiązanie, nie czuł wcale tych wzruszeń, jakich doznawał wtedy, kiedy tylko palcem dotknął zimnego szkiełka, pod którém leżał obraz Heleny; perswadował sobie jednak, że tamto mara, a to

prawda, że tam jest coś zgubnego i grożącego zatraceniem, a tu wszystko święte, wszystko z błogosławieństwem jedynéj matki i nieskażonego człowieka, który go wychował. Przygotowywał się więc do téj chwili, w któréj matka weźmie za rękę Agatę i powié mu: — Gabryelu! oto twoja żona; — i w poczciwém, prawdziwie synowskiém sercu jego, nie powstał żaden głos buntu i przeczenia, chociaż nie rodziła się także i radość, i nie powstały te nadzieje, które dalszą drogę życia usypują kwiatami. Chcąc się umocnić na przyjęcie z rezygnacyą i pokojem téj stanowczéj chwili, którą przewidywał, coraz rzadziéj zaglądał do swojéj szufladki, gdzie między kategoryami metafizyki leżało zdradzieckie pudełeczko, ze skarbem równie drogim, jak niebezpiecznym.

Apolonia, wiedziona jakby instynktem macierzyńskiego serca, w którego przeczucia niepodobna nie wierzyć, radaby była jak najprędzéj los Gabryela ustalić, przywiązać go do miejsca i odwrócić od niego niebezpieczeństwa, jakieby mu zawsze zagrażały, pókiby marzył o jakiéjś wędrówce i o szukaniu za granicami ojcowskiego powołania innego sposobu życia. Przeciwnie ks. Pileckiemu żal było zagrzebywać w domu zdolności młodego człowieka, i zostawiać tyle sił bez użytku i rozwinięcia. Ztąd częste były między nimi rozmowy, a w końcu zawsze każde z nich zostawało przy swojém. Apolonia, jako kobieta, widziała świat w domu, a we wczesnym związku małżeńskim, wolą rodziców skojarzonym i pod błogosławieństwem ich zawartym, widziała świętość, stojącą na straży obyczajów i zapewniającą pokój na resztę życia; ks. Pilecki widział szersze granice działaniu mężczyzny otwarte, i za pierwiastek szczęścia i pokoju uwa-

żając doświadczenie, sądził, że poznanie się na ułudach świata, że wiadomość dobrego i złego, i potém dobrowolny w tém wybór, stanowi dopiéro zasługę mężczyzny i pokój dojrzałych lat jego zabezpiecza.

Po jednéj z takich rozmów, Apolonia wróciła do domu niespokojna i pełna ciężkich myśli. Pomodliwszy się gorąco, położyła się. Agata, która tego wieczora dłużéj niż zwykle klęczała i częstemi westchnieniami przerywała sobie pacierz, przyszła oddać jéj dobranoc, i wziąwszy rękę jéj w obie dłonie, gorącemi oblała ją łzami.

— Co ci jest, moje dziecię? — zapytała ją Apolonia.

— Nie wiem, babciu droga — odpowiedziała, ściskając mocniéj rękę swojéj dobrodziejki — tak mi ciężko na sercu, że sobie rady dać nie mogę. Złe jakieś myśli mnie opadły i nie dawały dokończyć pacierza. Z dziesięć razy go zaczynałam, zawsze jedno i to samo wyobrażało się, i znów zapomniałam, gdziem stanęła. Co ze mną będzie, nie wiem, ale mnie coś tak plącze się w głowie, tak stuka w skroniach, że mi się straszno robi.

Apolonia położyła dłoń swą na jéj czole, i rzeczywiście główka była gorąca i pulsa mocno uderzały. Kazała więc jéj usiąść na łóżku przy sobie, i wziąwszy jéj rękę, zapytała:

— Jakież to myśli opadły cię, moja droga Agato? Powiedz mi wszystko, nie ukrywaj się z niczém, jak przed matką. Wszak wiész, że ja niczego bardziéj nie pragnę, jak być twoją matką i patrzéć na wasze szczęście.

— Kiedyż bo, babciu droga! matko jedyna! — rzekła Agata, tuląc się na jéj łonie — ja bardzo jestem winna, żem ci od razu tego nie powiedziała. A to taki grzech, że mi teraz straszno pomyśléć.

— Źle to, bardzo źle — odpowiedziała strwożona cokolwiek Apolonia — żeś nie miała ufności we mnie, bo przecież widziałaś zawsze moje przywiązanie. Ale gorzéj-by było, gdybyś teraz jeszcze z czémkolwiek ukrywała się. Znam ja twoje serce i wiem, że to nie musi być nic tak bardzo złego, czegoby już naprawić nie można. Powiedz więc, ja dam dobrą radę i pomogę ci odpędzić te trwogi, które cię dręczą.

— Widzisz, babciu droga — zawołała wówczas załamując ręce dziewczyna — kiedyż bo ja Gabryela bardzo kocham.

— No, to jeszcze nie jest taki wielki grzech, moje dziecię — odpowiedziała, siadając na łóżku, Apolonia — kiedy ja ci go kochać pozwalam.

— Tak, jedyna babciu, to prawda, że ty pozwalasz; ale cóż, kiedy mi się zdaje czasem, ot jak i teraz, kiedym pacierz mówiła, że mi go ktoś od serca odrywa, i wtenczas tam już nic a nic nie zostaje się, a w głowie tylko szum jakiś, i jakieś dziwne myśli, piąte przez dziesiąte splątane.

— Któżby ci go mógł odjąć — rzekła Apolonia — kiedy ja ci go oddaję, kiedy pewna jestem, że ty wszystkobyś poświęciła, aby on był szczęśliwym?

— O! niechby mi powiedział — rzekła Agata z mocném przekonaniem — skocz, Agato, do Dniestru i utop się, a wtenczas dopiéro dobrze mi będzie na świecie, a obaczyłby, czybym tego nie zrobiła, śmiejąc się i śpiewając. Ale gdyby ta piękna pani oderwać go miała ode mnie...

— Jaka piękna pani? — zawołała z przestrachem

Apolonia, przyciągając ją do siebie. — Co ty mówisz, dziewczyno?

— Otóż to właśnie, moja babciu, jest ów wielki i ciężki grzech, o którym ci zaraz nie powiedziałam.

— Mów-że teraz, mów prędko! — rzekła strwożona matka.

— Pamiętasz, droga babciu, tę niedzielę, w któréj Gabryel nie wiedzieć gdzie się podział i nie był na summie?

— Mogęż ja o tém zapomnieć, moje dziecię? — odpowiedziała Apolonia.

— Otóż tego samego dnia — mówiła Agata — posłałaś mnie na probostwo dowiedzieć się, czy go tam niéma. Pobiegłam, i obaczywszy, że nie był, wracałam smutna i zamyślona. Bo ja już wtenczas, moja babciu, i jeszcze bez twego pozwolenia kochałam go bardzo, prawie tak jak i teraz, i nie śmiałam tego nikomu powiedzieć i bałam się, żebyś ty nie postrzegła téj mojéj biedy i nie gniewała się o to. Aż tu w uliczce naszéj zatrzymała mnie jakaś straszna baba. Przelękłam się bardzo, i byłabym zaraz od niéj uciekła, ale ona od tego zaczęła, że nie mam po co śpieszyć się, bo wujcia jeszcze niéma, dopiéro za parę godzin przyjdzie. Zkąd ona mogła to wiedzieć, kto ja? i jaki mam kłopot? Otóż to mnie tak zastanowiło, że sama nie wiem jakim sposobem wdałam się z nią w rozmowę. A nie trzeba było, nie prawdaż, babciu? bo to musiało być jakieś złe na mnie nasłanie. Ona zaraz poznała, że ja kocham Gabryela, i obiecała mi, że jak posłucham jéj rady, to i on mnie bardzo pokocha, i zapomni o téj wielkiéj pani, ślicznéj i bogatéj, która mu wpadła w oczy.

— Zapomni o wielkiéj pani? ślicznéj, bogatéj? — powtórzyła Apolonia.

— Widzisz, babciu, wtedy i ja tak przelękłam się, jak ty teraz, i także to samo powtórzyłam. Baba śmiała się ze mnie i wykręcała się, że takiéj pani może niéma, że ona to tak sobie powiedziała. Ale to nic nie pomogło. Ta wielka pani, jak mi wtenczas wlazła w głowę, tak ciągle tam siedzi i czasem ze snu mnie budzi, a ot teraz pacierza zmówić mi nie dała, bo mi się zdawało, że ciągnie do siebie Gabryela i od piersi go moich odrywa.

— Uspokój się, moja Agato — rzekła poważnie Apolonia — to przywidzenie, nic więcéj. Nie należało wdawać się z taką podejrzaną kobietą. One zwykle straszą, żeby potém prosić ich o radę.

— To prawda, moja babciu, bo i ja przelękłam się i prosiłam ją, żeby mi poradziła.

— I jakież ona ci dawała rady? — rzekła strwożona Apolonia, biorąc obie ręce drżącéj dziewczyny.

— Złe, babciu! bardzo złe — mówiła Agata — a ja tobie nic nie powiedziałam i do spowiedzi nie poszłam. Ale cóżem ja biedna temu winna, że mnie Gabryel taki drogi, że jak ptaszek bez ciepła i słońca, a ryba bez wody być nie może, tak i ja nie mogę żyć, żebym na niego nie patrzyła i nie wiedziała, że on jest blizko i że mnie także pokocha.

— Ale jakież to rady? powiedz-że, Agato.

— Ona mi radziła — rzekła dziewczyna, chowając oczy — żeby się stroić, żeby się wujciowi nadstawiać, żeby od niego nie stronić i nie bronić się, jak mnie zechce objąć, i nie odwracać ust, jak mnie całować zechce.

— I ty tak robiłaś! — zawołała Apolonia, klasnąwszy w ręce.

— Ni, babciu, ni, jedyna! — rzekła Agata, składając rączki i zsunąwszy się z łóżka padła przed nią na kolana. — Chciałam, to prawda; zwłaszcza, kiedy Gabryel był obojętnym i smutnym, próbowałam czasem, jak mi ta baba radziła, wziąć cieniutką koszulkę i nie zawiązywać jéj pod szyją, i kwiatki kłaść we włosy, i tak go zejść gdzie, jakby był sam; ale mnie zawsze brał wstyd i jakiś strach ogarnął, i ciebie, babciu, bałam się, wiedząc, że tak niedobrze. A jednak dziś... — dodała Agata, i nagle zatrzymała się, ciężko westchnąwszy.

— Cóż dziś? — zapytała Apolonia podnosząc ją — wstań i powiedz.

— Dziś, moja babciu, zgrzeszyłam bardzo, ale mnie za to Pan Bóg skarał. Po obiedzie, jak ty rozmawiałaś z ks. proboszczem, poszłam cichaczem za Gabryelem do ogrodu. Znalazłam go za temi krzakami, gdzie są wiśnie. Tam on siedział sam jeden pod drzewem i był znowu zamyślony i smutny. Mnie się jego bardzo żal zrobiło, siadłam przy nim, i gładząc jego śliczną twarz, zaczęłam się wypytywać, co jemu jest. Gabryel uśmiechnął się i powiedział, że mu nic nie jest. Wtedy przyciągnął mnie do siebie, objął i przypomniał, jak ja tam kiedyś wiśnie łasowałam i jak mnie przestraszył. Ja przypomniałam sobie także, że tam pierwszy raz przyszło mi do głowy, że jeżeli on mnie kochać nie będzie i pójdzie gdzie w świat, to ja umrę z żalu, i ściskając go serdecznie, szepnęłam mu: — Gabryelu, mój jedyny! nie kochaj ty żadnéj pani, tylko mnie biedną. — Nie wiem, zkąd mi się to wzięło. Zapewne przyszło mi na myśl, co mi ta baba mówiła. Ale

Gabryel widać rozgniewał się za to, bo jakoś tak dziwnie na mnie popatrzył, jak gdybym ja była nie ta, co pierwéj, i odepchnął mnie od siebie i uciekł. Nie prawdaż, droga babciu, że z tego coś złego być może? Ja potém gorzko płakałam, i od téj pory ciągle mi się przewraca w głowie i zawsze mi się wydaje, że mi go ktoś weźmie i że ja umrę, lub się utopię.

— Uspokój się, moje dziecię — rzekła, odetchnąwszy z wielkiego przestrachu Apolonia — uklęknij teraz i zmów raz jeszcze pacierz. Jutro pójdziesz do spowiedzi, bo to wielki grzech, żeś się kryła przede mną i nie powiedziała mi zaraz o téj rozmowie z jakąś złą kobietą, która widać nasłana była na zgubę twojéj niewinności. Gabryela kochaj, bo ja ci pozwalam go kochać, bo pragnę tego, aby był twoim mężem, abyście żyli razem, i aby Bóg błogosławił waszemu życiu i szczęściu. Ale nie mów mu tego sama, nie szukaj go i nie rozmawiaj z nim wtedy, kiedy nikt na was nie patrzy. Dziewczynie nie wolno być sam na sam z mężczyzną, a témbardziéj z tym, którego kocha. To grzech, z którego trzeba się spowiadać. Idź teraz spać, i pamiętaj co ci mówię.

Agata ucałowała jéj nogi, uklękła, złożyła pobożnie ręce, i zmówiwszy pacierz, położyła się i prędko zasnęła. Apolonia nie spała. To zeznanie dobrodusznéj dziewczyny napełniło serce jéj ważną troską, i postawiło ją w konieczności zrobienia prędko stanowczego wyboru. Tak, jak były, nie mogły rzeczy w żaden sposób pozostać. Jakkolwiek przekonana była, że Gabryel jest niezepsutym i niewinnym, że Agata, chociaż zakochana, także w niewiadomości swojéj daleką była od grzechu, jakkolwiek postanowiła czuwać, aby jaka chwila zła i samotna nie

naprowadziła ich na złą drogę; nie mogła jednak być spokojną i spuścić się zupełnie, równie na ich zasady i niewiadomość, jak i na swoję czujność. Moment zdradziecki mógłby zdarzyć się niespodziewanie, przymus i zakaz właśnie mógł im podać chęć szukania siebie, a miłość i krew młoda zrobiłyby resztę. Czysta i święta kobieta zatrzęsła się w głębi duszy na tę myśl samą, i nie darowałaby sobie nigdy, że wiedząc, iż grzech może nastąpić, nie użyła wszelkich środków dla odwrócenia go i zachowania w czystości i syna, i téj, która miała do niego należéć, ale tylko za błogosławieństwem Boga i Kościoła. Dla zapobieżenia temu nieszczęściu, które zdarzyć się mogło, dwa tylko przedstawiały się jéj środki: albo przyśpieszyć związek młodych ludzi, albo wysłać Gabryela z domu na czas dłuższy. Na to ostatnie wzdrygało się jéj macierzyńskie serce, i nie samo pozbawienie się obecności syna czyniło w jéj oczach rozdział ten okropnym i niebezpiecznym. Gabryel wchodził w wiek męzki, w którym ciało ze swemi potrzebami odezwaćby się mogło; wszedłby w towarzystwo ludzi młodych, bez obyczajów, i nie przebierających w uciechach; jako młodzian piękny i widny, mógłby wpaść w oko jakiéj rozpustnicy, którąby zrujnowała jego zdrowie, wypiła jego młodość, i wprowadziła go na drogę zepsucia i skażenia. Tu przyszła jéj na myśl owa pani piękna i bogata, o któréj wspomniała baba Agacie. A jakkolwiek nie mogła sobie wytłómaczyć ani tego spotkania, ani téj rozmowy, nie mogła także pozbyć się i téj trwogi, że w tém musi być jakiś grunt prawdy, i że może stara wysłana została na zwiady, czy młody człowiek da się znęcić i w sidła zatracenia wciągnąć. Drugi środek odpowiadał jéj przekonaniu

i uśmiechał się jéj sercu. Widziała w nim zapewnienie losu i przyszłości Gabryela, karyerę skromną, ale właściwą jego stanowi i powołaniu, a nadewszystko zabezpieczenie jego obyczajów, jego zdrowia, i rękojmią długiego i szczęśliwego życia. Chociaż pewna była, że znajdzie opór ze strony brata, postanowiła jednak naprzeciw jego rozumowaniom położyć swoje obawy i prawa matki, i wymódz na nim zezwolenie.

Z takiemi myślami dopiéro przed świtem zasnęła. Gdy się dzień zrobił, chociaż jeszcze było bardzo rano, nie budząc wcale Agaty, śpiącéj smaczno i spokojnie, ubrała się i poszła na probostwo. Zdziwił się ks. Pilecki, obaczywszy o téj porze siostrę, w któréj twarzy widać było troskę i bezsenność.

— Bracie! — rzekła Apolonia — przyszłam do ciebie w rzeczy bardzo ważnéj dla mojego serca, i równie ważnéj i dla ciebie, bo ty jesteś opiekunem całego rodu, i głową, z któréj zawsze dla nas wypływała dobra i zbawienna rada.

— Cóż to jest, Apolonio? widzę z twojéj twarzy, żeś mało spała téj nocy, a z twojego przybycia o téj porze wnoszę coś złego. Czy nie sen jaki strwożył cię? — dodał z uśmiechem życzliwości — bo sądzę, że Agata zdrowa i zawczasu zaspakajam cię, że i Gabryel zdrów. Tylko co byłem w jego pokoiku. Śpi tak smaczno, że aż mnie zazdrość wzięła. Tylko spokojne serce w ciele młodém i zdrowém może obdarzyć człowieka snem tak rozkosznym.

— Dziękuję ci, bracie, za tę nowinę — rzekła Apolonia siadając — jest ona w obecnéj chwili ważną. I Agata śpi także równie zdrowo i smacznie. Ten pokój ich snu

dowodzi czystości i niewinności ich serca; a to niemała pociecha dla mnie w obecnéj chwili i w okoliczności, z którą do ciebie przychodzę. Posłuchaj mnie, drogi bracie, tylko posłuchaj cierpliwie, aż opowiem wszystko.

Tu Apolonia opowiedziała bratu prawie dosłownie całe wczorajsze zeznanie Agaty. Słuchał ks. Pilecki z uwagą; a gdy skończyła, powstał i zaczął się przechadzać zafrasowany. Po chwili stanął przed siostrą, czekającą co powié, i zapytał:

— Cóż postanawiasz, Apolonio? Ja z mojéj strony to tylko widzę, że rzeczy tak zostać nie mogą.

— Nie mogą, drogi bracie, w żaden sposób nie mogą — odpowiedziała Apolonia. — Możemy wprawdzie nad nimi czuwać, możemy zakazem widywania się sam na sam i poufałości, do któréj przywykli, obostrzyć ich stosunek. Ale cóż te niewinne dzieci pomyślą o tém? czy ten sam przymus nie poda im zgubnych chęci? czy te nasze obawy nie naprowadzą ich same na złą drogę?

— To prawda — rzekł ks. Pilecki. — Pierwszy grzech zrodził się z zakazu. Taka natura ludzka. Ale cóż robić?

— Cóż robić? a na cóż mamy, drogi bracie, i siebie dręczyć niepokojem, i na nich nakładać niepotrzebne więzy, kiedy jest środek w rękach, który nam może dać tylko pociechę, a im tylko szczęście i spokój?

— Zawsze do jednego zmierzasz, kochana Apolonio — rzekł ks. Pilecki, kiwnąwszy ręką — a ja ci zawsze jedno i to samo odpowiem.

— Czy to, że Gabryel za młody? — odpowiedziała powstając, i, przybliżywszy się do brata, mówiła z coraz większą żywością: — O bracie! ja tyle tylko znam świat,

ilem się go nauczyła w twoim domu, z twoich rozmów i w życiu mojém cichém i pracowitém. Ale instynkt matki uczy mnie, jak się zabezpiecza całość i zdrowie dzieci. Niejedna może nie opłakiwałaby zguby swego syna, gdyby była nie pozwoliła na to, aby się wałęsał samotnie po świecie i walał serce swe dotknięciem nieczystych rąk i zaraźliwego tchnienia. Gabryel ma dwadzieścia dwa lata. Do tego wieku dojrzałości doprowadziłam go niewinnym i nieskażonym. Czy zaręczysz mnie, bracie, że jeżeli jeszcze lat kilka poczekamy, jeżeli pójdzie od nas, wpadnie między ludzi, czy zaręczysz mnie, ty, człowiek doświadczony i rozumny, że równie czystym, równie nieskażonym powróci do przyjęcia tego Sakramentu, który przecież uważasz za świętość?

— Któżby mógł ci dać takie zaręczenie? — rzekł ks. Pilecki. — Wśród pokus światowych i ogólnego zepsucia, żaden młody człowiek nie może polegać ani na swoich zasadach, ani na swém wychowaniu. Szczególniejsza to łaska Boska, i może twoje zasługi uchowały nam dotąd takim Gabryela.

— Chciałżebyś téj łaski Bożéj nadużyć — odpowiedziała z mocą — i nie przestając na tém, cośmy otrzymali, żądać jeszcze więcéj? O! byłoby to zbyt ufać i w moje zasługi, jako matki, i w twoje nawet, chociaż jesteś w oczach naszych człowiekiem świętym i bez skazy. Odrzuć więc, bracie, raz na zawsze tę myśl, aby go gdziekolwiek wysłać z domu. Wysoka nauka niepotrzebna Gabryelowi. Wysoka nauka wymaga środków, których on nie ma. Obrzydzi mu jego stan, a nie da innego. Wyrwie go z téj ziemi, gdzie wyrósł, gdzie korzenie zapuścił, gdzie trzymając się mocno wszystkiemi ich odnogami, ma

dosyć soków w macierzystym gruncie, aby się rozrastał, ma dosyć słońca i powietrza, aby wybujał, aby się rozzielenił. Wysoka nauka przesadzi go do innéj, obcéj mu ziemi, gdzie zwiędnie i skaleczeje. Odczytaj, bracie, jego list, który do ciebie pisał, wyjeżdżając ze Lwowa. Czyż on może być księdzem, czy może być prawnikiem? A jakiż jest u nas inny zawód, do któregobyś go chciał usposobić? Na mandataryusza, aby był narzędziem nadużyć? na sługę jakiego wielkiego pana, aby się nauczył zmyślać, pochlebiać, i aby znów był narzędziem biedy swoich współbraci? Tego nie zechcesz, bracie, bo pewna jestem, że nie zechcesz, abym resztę dni przepłakała, i wyprawiając syna z domu, powiedziała mu: Gabryelu! jak wrócisz, idź prosto na cmentarz, tam mnie zastaniesz!

Ks. Pilecki odwrócił się i nieznacznie otarł łzę, którą mu te słowa strwożonéj matki wycisnęły. Korzystając z tego usposobienia brata, uradowana dobrym skutkiem, jaki zapowiadało, dodała:

— Daruj mi, drogi bracie! możem więcéj powiedziała, niż było potrzeba. Bo potrzebaż tyle perswadować człowiekowi takiemu jak ty, aby się zgodził na rzecz dobrą i zbawienną? Uspokój więc moje serce, które od tego czasu, jakem pojęła i zmiarkowała twoje chęci, usycha w trwodze i niepokoju. Nie żałuj jego zdolności, o których mi tyle razy mówiłeś. Im większe one są, tém lepiéj będzie robił to, do czego go jego stan przeznacza. Przypomnij sobie, ile w krótkim czasie dokazał jego ojciec, jak był swobodnym i szczęśliwym w ciasném kółku, którém się ograniczył. A przecież to był człowiek zdolny i rozumny, tego nie zaprzeczysz. Niéma on wprawdzie ojcowskiego doświadczenia, to prawda. Ale czyż nie bę-

dzie przy nas? Czyż ja i ty nie złożymy się razem, aby każdy krok jego był bezpiecznym, każdy postępek dojrzałym. A potém, dobry bracie, święty związek, którym pragnę go jak najprędzéj przywiązać do tego miejsca, gdzie się urodził, do téj strzechy, pod którą się wychował, jest także darem i łaską Bożą, która oświeca, i pod któréj błogosławieństwem dojrzewają rozum i serce. Bracie, daj rękę i pozwól, a obaczysz, ile proroctwa jest w sercu matki.

Trudno się było opierać, trudno było zbijać to dowodzenie, z zatrwożonego serca płynące. Miałby był ks. Pilecki dosyć argumentów, których mógł był użyć, ale czuł to bardzo dobrze, że łatwiéj było dowieść, niż uspokoić. Zresztą, znajdowało się wiele prawdy w słowach Apolonii. Zawód Gabryela mógłby być świetniejszym. Przy pracy, usilności i stosunkach, mógłby wyjść na sekretarza w jakiém biurze, może na adwokata, gdyby poczuł do tego stanu powołanie, może wreszcie na konsyliarza w forum lub w Gubernium. Ale wszystko to były rzeczy wątpliwe, bo ks. Pilecki widział wielu ludzi zdatnych, którzy pokończyli studya w akademii i całe życie byli tylko kancelistami. Tu zaś był przed oczyma jego zawód skromny, ale bezpieczny i uczciwy, a co było rzeczą główną, zapewniała się i przyszłość syna i spokojność matki. Na końcu dopiéro pomyślał i o sobie zacny kapłan. I on w sędziwym wieku swym potrzebował spokoju, potrzebował wokoło siebie wesołych i szczęśliwych twarzy, gdyż z twarzy szczęśliwych i wesołych, otaczających starców, biją zbawienne i błogie promienie, które życie ich przedłużają. Wszystko to zważywszy, przystąpił do siostry, siedzącéj ze złożonemi rękoma, i rzekł poważnie:

— Niech się dzieje wola twoja, Apolonio! byłaś zawsze najlepszą matką i da Pan Bóg, że instynkt twego serca nie zawiedzie cię.

— O bracie! — zawołała, rzucając się na jego szyję i całując z uniesieniem jego ręce — dałeś mi dziesięć lat życia, i to słowo twoje jest największém dobrodziejstwem, jakie z rąk twoich otrzymałam.

Potém, pożegnawszy brata, poszła do pokoiku Gabryela. Spał cudny młodzieniec spokojnie, i z twarzy jego jaśniały zdrowie i siła. Zbliżyła się do niego matka na palcach, żeby go nie zbudzić. Wzrok jéj spoczął na licu jedynaka, serce jéj rozradowało się pięknością jego rysów, pokojem jego snu, skromnością jego postawy. Urobiony był jak Apolin, silny jak Herkules, a spał cicho jak dziecko. Apolonia po krótkiéj i rozkosznéj chwili nachyliła się nad nim, i łza téj szczęśliwéj matki upadła lekko na rumiane lice syna. Potém pocałowawszy go w czoło, poszła prędko do domu.

XVI.

Tego samego dnia, gdy Gabryel ubrał się i przyszedł wujowi oddać dobrydzień, rzekł mu ks. Pilecki:

— Gabryelu, idź do matki, ona cię czeka i powié ci, cośmy względem twojego dalszego losu i szczęścia postanowili. Spodziewam się, że jéj gorące życzenia zgadzać się będą i z życzeniami twego serca. Idź, mój synu! — dodał, całując go w czoło — i niech cię Bóg błogosławi. Ja idę do kościoła i pomodlę się na waszą intencyą.

To powiedziawszy, odszedł, gdyż nie chciał sam objawiać mu, co uradzili, ani wszystkich powodów, które ich

skłoniły, tłómaczyć; chociaż bowiem wiedział, że rzecz jest konieczna, czuł jednak, że może-by mu brakło na przekonywających dowodach, na przypadek oppozycyi ze strony młodzieńca. Nie śmiał Gabryel wypytywać go, widząc w twarzy jego jakiś wyraz uroczystéj powagi; chcąc więc co prędzéj zaspokoić się, oraz nie dać matce czekać na siebie, pobiegł do domu. Gdy drzwi do pierwszéj izby otworzył, zastał Apolonią siedzącą w swojém krześle, i trzymającą rękę na głowie Agaty, która przed nią klęczała. Nie wiedząc, co to znaczy, stanął przy progu, a Apolonia, z uśmiechem szczęścia i z wyrazem niewypowiedzianéj miłości, rzekła:

— Chodź tu, chodź, mój drogi Gabryelu, i uklęknij także! — Przystąpił Gabryel i ukląkł, a ona, kładąc rękę i na jego głowie, dodała: — Synu mój! jest mojém życzeniem, jest wolą wuja twego, który był moim i twoim dobroczyńcą, abyście wy, którzy tu przede mną klęczycie, do siebie należeli, jako mąż i żona, abyście się kochali, abyście byli naszą pociechą i naszém szczęściem. Podajcież sobie ręce, a ja kładę na głowach waszych macierzyńskie błogosławieństwo i łączę was tu świętemi prawami mojego serca, nim was Sakrament złączy przed ołtarzem do śmierci.

Potém objęła ich głowy i tuląc je do piersi, całowała i rosiła łzami. A gdy Agata rozrzewniona, nogi jéj ściskała, gdy Gabryel odurzony, nie wiedzący prawie, co się z nim stało, i widząc matkę w jakimściś stanie niezwykłego uniesienia, nie śmiał słowa przemówić i także się do jéj kolan nachylił, ona złożyła ręce, podniosła oczy w górę i wymówiła głośno i dobitnie następującą modlitwę: „Aniele stróżu! któryś stawał przede mną widomie

i objawił mi przeznaczenie moje na ziemi! jeżelim choć w części wypełniła święte obowiązki, do których mnie głos twój powołał, nie odstępuj mnie i w téj chwili, otocz białém skrzydłem swém te niewinne głowy, które błogosławię, odwróć od nich wszystkie pokusy ziemskie i ostrzegaj ich, idących ciężką drogą życia, gdy mój głos umilknie i oczy moje zamkną się na wieki. A Ty, Królowo niebios! któraś przeszła przez bóle macierzyństwa i pamięć ich poniosła z sobą tam, gdzie jesteś każdéj matki pośredniczką, wstaw się za mną i odwróć od piersi moich te boleści i miecze, które w łonie Twojém utkwiły. Tyś je święcie przeniosła. Ciebie wieńczy za Twój ból gwiaździsta korona, boś Ty była wybraną, a Twój jedynak był Bogiem. Ja, grzeszna matka, wyciągam do Ciebie dłonie, oddal od nas krzyż, który nam przeznaczono, bo on go nie udźwignie i ja pod nim upadnę.“

Agata, leżąc u nóg Apolonii, głośno płakała, a Gabryel na kolanach, ze złożonemi rękoma, patrząc na nią jak na świętą, przyjmował do serca każde słowo i przysięgał sobie w duchu, być jéj pociechą i wolę jéj wypełniać.

Po takiéj scenie wszystkie perswazye i rozumowania stały się niepotrzebne. Wszystko zrobiło się tak nagle, tak uroczyście, że żadna myśl oporu nie powstała nawet w głowie Gabryela. Od téj chwili uważał się narzeczonym Agaty, a jeżeli nie czuł tego szczęścia, jakie zalewało serce kochającéj go dziewczyny, był spokojnym, z uległością słuchał późniéj wszystkich projektów matki, które względem dalszego ich życia robiła, z Agatą postępował poważniéj niż dotąd, ale okazywał jéj przyjaźń, przychylność serdeczną, rozmawiał z nią poufale, w obecności matki trzymał jéj rączkę w swoich dłoniach, i ani wyra-

zem twarzy, ani żadném słowem nie dał poznać, że się to wszystko bez jego woli zrobiło.

— Jak on raptem spoważniał — rzekł raz ks. Pilecki do siostry, patrząc na Gabryela, gdy przechadzał się z Agatą po dziedzińcu i z nią rozmawiał.

— A widzisz, bracie — odpowiedziała — a mówiłeś, że on za młody. Rok małżeńskiego pożycia, obowiązki męża i ojca, dają młodym ludziom doświadczenie, któregoby, samotnie bujając po świecie, i za dziesięć lat nie nabyli. Ale czemu ociągasz się, bracie, z zapowiedziami? U mnie już wszystko gotowe. Średnia izba niepotrzebna mi prawie. Tam ich umieszczę i oddzielę od siebie. Sama chodzić będę przez kuchnię.

— Oj! matko, matko! — rzekł ks. Pilecki, z uśmiechem kiwając głową — tybyś sama mieszkała w sieniach, byle jedynakowi twemu było wygodnie.

— Czyż to tak trudno być szczęśliwą? — odpowiedziała, — patrząc na syna? Ale nie odpowiedziałeś mi, bracie.

— W tę niedzielę będzie pierwsza zapowiedź — rzekł kapłan. W téj chwili Agata przybiegła do Apolonii, uklękła przed nią, i opierając się jedną ręką na jéj kolanach, a drugą ukazując na zbliżającego się za nią Gabryela, rzekła:

— Babciu, przychodzę na skargę. On mnie łaje.

— Ma do tego prawo — odpowiedziała Apolonia — ale za cóż to?

— Za to, że ja teraz raniéj wstaję do roboty, niż zwykle, że niby od tego zmizerniałam, że mi ten palec stwardniał od naparstka, a ten podziurawił się od igły, że moje oczy czerwone, i jeszcze tam coś, już nie wiem. Proszę babci! czy to tak dobrze, upatrywać sobie coś to do pal-

ców, to do oczu, to do włosów, i łajać mnie? Niech mu babcia tego zabroni, bo jużci ja mam teraz więcéj roboty, niż pierwéj, i muszę się śpieszyć — dodała czerwieniąc się, i patrząc na Gabryela z wyrazem niewypowiedzianego szczęścia i miłości.

— Gorzéjby było, moje dziecię — odpowiedziała Apolonia — gdyby cię łajał za próżnowanie. Nie uważaj na to i pracuj pilnie; ja ci pomogę i sama jeszcze raniéj budzić cię będę. A wiész, dla czego?

— Dla czego, moja babciu? — zapytała, patrząc na Gabryela. Apolonia odgarnęła jéj włosy z czoła, nachyliła się do jéj ucha i szepnęła jéj:

— Bo w niedzielę pierwsza zapowiedź.

Rumieniec szczęścia i wstydu oblał śliczne lice dziewczyny. Nie śmiała ona w téj chwili spojrzéć na kochanka, ale utuliła się na kolanach Apolonii, i złapawszy ukradkiem jéj rękę, gorącemi okryła ją pocałowaniami. Młodzieniec przez pół dosłyszał, przez pół domyślił się, o co rzecz szła, zaczerwienił się także, ale spokojniéj zniósł wiadomość o téj ważnéj chwili, która była mu pożądaną, szczególniéj dla tego, że tak szczęśliwemi czyniła matkę i Agatę.

Przeszła pierwsza zapowiedź. Gdy ks. Pilecki drżącym i wzruszonym głosem wymówił: zabierają się do stanu małżeńskiego: sławetny Gabryel Czarosz, kawaler, ze sławetną Agatą Ulejewską, panną, oboje ze stanu włościańskiego, zapowiedź pierwsza; wszystkich oczy zwróciły się ku téj ławeczce, gdzie zwykle siadała Apolonia, gdzie z jednéj strony obok niéj stał Gabryel, a z drugiéj klęczała Agata, z nachyloną twarzą, którą złożonemi jak do modlitwy rękoma od ciekawych oczu zasłaniała. Nie-

jedna dziewczyna pomyślała: — oto szczęśliwa! dostanie tak młodego i ładnego męża! — i wszystkie szeptać między sobą poczęły, a potém i ta i owa, z zamyśleniem i westchnieniem przypadłszy na kolana, zmówiła pacierz i na swoję intencyą. Druga zapowiedź minęła także. Na trzecią niedzielę przypadała trzecia zapowiedź, i tegoż samego dnia, po Nieszporach, miał się odbyć ślub młodéj pary. Im bardziéj się ten dzień przybliżał, tém żywiéj i jakby z gorączkowemi ruchami krzątała się Apolonia. Sen odbiegał z jéj oczu. Zrywała się przede dniem, i to coś układała w szafie Agaty, to porządkowała w izbie naznaczonéj na ich sypialnią, to jéj się zdawało, że jeszczeby trzeba było coś dodać, jakąś wygodę obmyślić, coś przyczynić w bieliznie lub sukniach syna i synowéj. Wśród tego zakrętu, czasem o godzinie czwartéj z rana stawała przy łóżeczku Agaty, z myślą obudzenia jéj, aby jéj pomogła i nauczyła się gospodarować sama. Ale gdy się przypatrzyła, jak jéj sen był spokojnym i smacznym, jak jéj lice było rumiane, jak śliczny cień padał na twarz jéj gładką i okrągłą od długich czarnych rzęsów; gdy się nachyliła i poczuła ten oddech zdrowia i młodości, który cicho i jednostajnie wydobywał się przez jéj koralowe usta; żal się jéj zrobiło przerywać taki spoczynek drogiego dziecka, i odchodząc od niéj na palcach, krzątała się sama. Agata także spoważniała, i wśród zachodów, w których pomagała matce, zajrzawszy czasem do izby, co miała być jéj mieszkaniem, przymykała prędko drzwi, stawał w zamyśleniu, oparłszy się o ścianę i tuląc rękoma bijące serce, mówiła sobie w duchu: nie, to być nie może, to się nie stanie, to sen... bo przez cóżbym ja biedna zasłużyła na tyle szczęścia na ziemi? — Właśnie raz, w chwili

takiego zwątpienia, przyszły dwie drużki, mało co od niéj starsze, biedne, ale pracowite i dobre dziewczęta, i przyniosły ubranie do ślubu, które same uszyły i przystroiły. Były to biegłe szwaczki, jedna sierota, a druga miała ubogą matkę; żyły z pracy rąk razem i obie na utrzymanie niedołężnéj staruszki składały się. Właśnie dla téj ich cnoty, dla takich przymiotów, wybrała je Apolonia za towarzyszki do ślubu Agacie, i im przyrządzenie całego jéj ubrania poruczyła. Składało się ono z cienkiéj koszuli, z gładkim wyłożonym kołnierzykiem, zawiązującym się białą wstążką, i z pod którego zwieszać się miało kilka sznurków pięknych korali; z białego materyalnego gorsetu, zasznurowanego z przodu białą wstążką, i do którego już był przypięty zielony mirtowy bukiet, ze spódniczki amarantowéj z lekkiego kamlotu, krótkiéj i w ładne składającéj się fałdy, z białego, delikatnego fartuszka i z ciemno-niebieskiego kaftanika, który krótszy był od spodnicy, z przodu otwarty, z wykładanym i spadającym na plecy czerwonym kołnierzem, z takiemiż klapami, co odkładając się zgrabnie na piersi, ślicznie przy białym gorsecie odbijały. Do tego stroju należał przygotowany wieniec mirtowy, i poprzycinane już białe wstążki, które miały być wplecione w jéj warkocz i razem z niemi zwieszając się, okrywać ramiona i plecy. Gdy wszystkie te przybory rozłożone zostały na stole, Agata, olśniona ich pięknością i świeżością, przypatrując się po kilka razy wszystkiemu, zapomniała o swojém zwątpieniu i w rzeczywistość szczęścia swego wierzyć zaczęła.

— Ach! jakież to wszystko ładne i świéże! — wołała, klaszcząc w ręce i ściskając swoje drużki. — Jakże wy poczciwe i kochane, żeście tak nad tém pracowały!

— A jak ci ślicznie! — mówiła jedna.

— Trzeba wszystko spróbować i przymierzyć — odezwała się druga.

— Ubierzmy ją, obaczymy, czy czego nie trzeba poprawić — rzekły obie.

Agata z początku nie chciała. Radziła zaczekać na Apolonią, któréj nie było w domu, i za jéj dopiéro pozwoleniem próbę tę zrobić. Ale nalegania przyjaciółek i podszepty ciekawości, a może i próżności, skłoniły ją. Zabrały więc wszystko do izby przyszłych małżonków, i tam, śmiejąc się i śpiewając, stroiły dziewczynę. Ładnie leżał gorsecik, zgrabnie i szykownie wydawała się jéj kibić w kaftaniczku, na który spuszczone warkocze i przypięte do nich tymczasowo szpilkami białe wstążki dobrze odbijały. A gdy drużki przypięły bukiet do jéj piersi i włożyły wieniec na przyczesane czysto włosy, Agata spojrzała w lusterko i uśmiechnęła się sama do siebie, tak była ze swojego stroju kontenta, tak się ucieszyła tą myślą, że ją Gabryel znajdzie piękną, jeszcze więcéj pokocha i pysznić się nią będzie, gdy obok niego stanie przy ołtarzu.

Wśród tych zachodów dziewcząt wróciła Apolonia. Usłyszawszy w drugiéj izbie gwar i śmiechy, weszła. Na widok ustrojonéj dziewczyny zasępiła się jéj poważna twarz i smutek jakiś osiadł na jéj czole. Agata zmieszała się milczeniem i wyrazem twarzy babki, która jakby niekontenta była z tego, co widzi; stanęła więc z opuszczonemi rękoma i pochyloną głową. Wtenczas Apolonia rzekła:

— Rozbierz się, Agato. Z tym strojem żartować nie

można. Nie dla swywoli i przypodobania nadziewa się on, i nadziewa się tylko raz w życiu.

— Babciu! — rzekła, składając ręce, Agata — ja nie chciałam, to one.

— Chciałyśmy przymierzyć — odpowiedziały dziewczęta.

— Zle zrobiłyście... nie trzeba było... rozbierzcie ją prędko — rzekła Apolonia i wyszła.

Agata zaczęła płakać. Tylko raz, tylko raz w życiu — mówiła sobie w duchu — może też już więcéj nie ubiorę się! — I wszystkie trwogi, które ją czasem opadały, powróciły znowu z większém natężeniem.

W piątek, gdy Gabryel szedł do matki, rzekł mu ks. Pilecki:

— Gabryelu, przygotuj się, jutro pójdziecie oboje do spowiedzi.

Wiedział Gabryel, że Kościół nasz wymaga, aby młoda para stawała do ślubu oczyszczona i przez jeden Sakrament do drugiego przygotowana. A jednak słowa te poważnego kapłana dziwnie go dotknęły. Od czasu przybycia swego do Halicza nie był jeszcze u konfessyonału, a przecież ciężyło na jego sercu wiele, co dotąd ukrywał. Jutro miał wszystko wyznać, bo inaczéj, jakażby to była spowiedź? Te więc obawy, jak to wuj przyjmie, ten wstyd, że się mógł obłąkać, że się pieścił z pokusą, na którą był wystawiony, okryły zamyśleniem jego czoło. Poważniejszym więc był, niż zwykle, bardziéj milczącym i ten stan niepokoju, którego przed Agatą ukryć nie mógł, powiększył jeszcze jéj trwogi. Gdy nikt na nią nie patrzył, cisnęła rękoma głowę, w któréj się wszystko plątało: i obraz zamyślonego Gabryela, i obraz kuszącéj ją ba-

by, i ślubna sukienka, i zwiędły wieniec, i jakaś obszarpana płachta, i postać zasmuconéj Apolonii, i jéj głos: rozbierz się!... raz tylko w życiu! — Tak więc zbliżanie się téj chwili tak uroczystéj, tak niekiedy upragnionéj, nie dało żadnéj z osób najbliżéj nią interesowanych radości i uniesienia, jakiego się spodziewały.

Gdy Gabryel, mając nazajutrz iść do spowiedzi, według szanownego i zbawiennego zwyczaju, przeprosił matkę za wszystkie przewinienia, jakie względem niéj mógł popełnić, i wracał do domu z tą ciężką myślą, że miał przecież przed nią tajemnicę; że możeby mu nie przebaczyła, gdyby wyznał, iż głowa jego czém inném zajęta, serce się zbałamuciło, że spełniając jéj wolę, nie czuje w posłuszeństwie swém tego szczęścia, jakiego dobre dziecko doznawać powinno; na zakręcie uliczki pustéj i odludnéj postrzegł idącą ku sobie starą kobietę, któréj strój i twarz, ile o szaréj godzinie mógł rozróżnić, nie były mu obce. Szła dosyć śpiesznie, prawą ręką opiérała się na lasce, a lewą, skrobiąc się w głowę, zsuwała z niéj nakrycie, z brudno czerwonéj płachty złożone i okręcające siwe jéj i potargane włosy. Gdy stanęła tuż przed nim, zimno przeszyło piersi naszego bohatera. Była to bowiem Anastazya, z tymże samym wyrazem djabelskim w twarzy pomiętéj i brzydkiéj, z tym uśmiechem szyderskim, który odkrywał chwiejące się zęby, z tym blaskiem oczu czarnych i małych, któremi nawskróś przenikała myśl, chowającą się na próżno przed jéj wzrokiem.

— Dobry wieczór, paniczu! — rzekła, podnosząc głowę. — Oj dawnoż ciebie nie widziałam. A jak to dobrze, że cię spotykam.

— Idź sobie ode mnie — odpowiedział Gabryel, od-

wracając się i pragnąc uciec co prędzéj — nie możesz miéć do mnie żadnego interesu.

— Gdzie tam, gdzie tam, paniczu! mam! toż bo to, że mam! — rzekła śmiejąc się — ale nie uciekaj-no tak, bo będziesz żałował.

— Nie mam czasu, idź sobie.

— Ba! ja sama nie mam czasu — odpowiedziała, przytrzymując go za połę — a jednakowo czekam tu już od dwóch godzin na ciebie. A jakbym przyszła z niczém, toby ktoś był bardzo smutnym. Oj! nie godzi się, paniczu, nie godzi psuć płaczem takich ślicznych oczu.

Uderzony temi słowy, Gabryel stanął, potarł ręką czoło, obejrzał się, czy go kto nie widzi i prędko zapytał:

— Kto byłby smutny? jakie oczy? gadaj!

— Co to ci z tego przyjdzie, paniczu — odpowiedziała, skrobiąc się w głowę — że się dowiész, kto i co? już to nic nie pomoże. Ty się żenisz z inną, oddajże mi ten śliczny obrazek, którym ci dała, pamiętasz, tam przed kościołem. On ci już teraz niepotrzebny.

Gabryel pochylił głowę, zakrył twarz obiema rękoma i tak stał przez chwilę, namyślając się. Baba przez ten czas oparła się na swojéj laseczce i patrzyła nań z uśmiechem. Wkrótce Gabryel wstrząsnął się, wyprostował, i, jakby umocniony postanowieniem, któreby już niczém zachwiać się nie dało, rzekł obojętnie i stanowczo:

— Dobrze, pójdź za mną i zaczekaj przed furtką. Wyniosę ci pudełeczko i oddam.

— Aj, ni, paniczu, ja tam pójść nie mogę — rzekła, kiwając palcem — jeżeli ci to już niepotrzebne i niemiłe, i chcesz mi oddać, to ja tu jutro o téj porze na ciebie

zaczekam. Ot na téj kłodzie sobie siądę i czekać będę, choćby do nocy. Tu nas nikt nie obaczy.

— Dobrze, przyjdę — rzekł Gabryel i chciał odejść, ale zatrzymał się chwilkę, i spuszczając oczy ku ziemi, zapytał: — I ona wié, że ja się żenię?

— A jakże nie ma wiedzieć? — odpowiedziała baba. — Alboż to nie było zapowiedzi?

— Więc ona tu blizko mieszka? — zapytał znowu.

— Blizko, nie blizko — odpowiedziała baba — ale to wielka pani, mój śliczny paniczu; a wielkie panie mają wszędzie takich, co im donoszą o tém, o czém chcą wiedzieć. I ona biedaczka już od tygodnia i więcéj dowiedziała się.

— Biedaczka? — rzekł Gabryel drżący — dla czego ją tak nazywasz? czy ją to obchodzi?

— Czy ją to obchodzi? — zawołała baba — a czegożby tak płakała, żeby jéj to nie obchodziło? O paniczu! gdybyś widział łzy w tych oczach, tobyś sam się rozpłakał.

— Któż to taki? jak się nazywa? gdzie mieszka? — pytał Gabryel prędko i z zajęciem.

— Na co ci to wiedzieć? co to pomoże, kiedy już po zapowiedziach? — odpowiedziała baba, kiwnąwszy ręką.

— Jednakowoż powiedz — rzekł Gabryel.

— Ni, dziś nie mogę — odpowiedziała — ale jeśliś taki bardzo ciekawy, to jutro ci i to powiem, ale jak mi już oddasz obrazek, którym ci dała. Bądź zdrów, paniczu! tam ktoś idzie; nie trzeba, żeby nas ludzie widzieli razem. Ale poczekaj, poczekaj, tylko com nie zapomniała! Jeszcze ja tu mam coś od niéj dla ciebie.

To powiedziawszy, dobyła z za pazuchy płachtę, rozwinęła, wyjęła z niéj list, i oddawszy mu, dodała:

— Przeczytaj to, paniczu, a jutro przychodź; tylko nie zapomnij!

Gabryel przypatrywał się adresowi, ale już było tak szaro, że przeczytać nie mógł. Gdy podniósł głowę, baba już była daleko. Schowawszy więc list, pobiegł śpiesznie na probostwo.

Gdy się obaczył w swojéj stancyjce i zapalił świecę, wydobył co prędzéj list, na którego adresie mógł tylko wyczytać swoje imię i nazwisko, gdyż zresztą adres był francuzki. Koperta była z cienkiego i lśniącego papieru, każda litera adresu foremna i zgrabna, a pieczątka niewielka wyobrażała na czystym, pięknego koloru laku, główkę ślicznéj kobiety. Drżącą ręką rozerwał Gabryel kopertę, wydobył z niéj list półarkuszowy, na wszystkie cztery strony zapisany; ale przypatrzywszy się, wziął się za głowę i włosy swe szarpać zaczął: cały list był po francuzku. Nie mógł go przeczytać, nie mógł zrozumiéć, i wstydem dręczony spojrzał na zakończenie, gdzie był podpis, spodziewając się, że przynajmniéj znajdzie nazwisko, które rzuci jakie światło na tę historyą dziwną i ciemną. Tam znalazł tylko: Hélène. — To zapewne Helena, pomyślał sobie — i piękne to brzmienie rozległo się długiém echem po wszystkich zakątkach jego piersi.

Od tego czasu, jak się ujrzał przez matkę tak uroczyście związanym, nie zajrzał ani razu do zgubnego pudełeczka i nie widział téj twarzy, któréj jednak, mimo największą usilność, z myśli swéj pozbyć się nie mógł. Nieraz otworzył już szufladkę swego stolika, i perswadując sobie, że mu potrzebny skrypt metafizyki, że-by nieźle było

przypomnieć sobie traktat o kategoryach *quantitatis et qualitatis*, a szczególniéj *relationis et modalitatis*, że zapomniał jakoś, czém się różnią matematyczne kategorye od dynamicznych i t. d., już trzymał w ręku gruby sextern téj najpotrzebniejszéj w świecie nauki; ale zawsze obraz matki z natchnioną twarzą i wzywającéj anioła stróża stawał mu wówczas w myśli i od ciężkiéj pokusy go obraniał. Dziś, zamiast twarzy matki, wyobraziła mu się twarz Heleny, ale tak żywo, z tak cudną łzą na czarnych rzęsach zwieszoną, że biedny młodzieniec, zapomniawszy o wszystkiém, dostał pudełeczka, otworzył je drżącą ręką i przypatrywał się pięknym oczom, czy rzeczywiście łzy z nich nie płyną, czy nie otworzą się koralowe usta i czy nie usłyszy wychodzącego z nich gorzkiego wyrzutu: ja cię kocham, a ty nie myślisz o mnie! Ale w oczach tych był tylko wyraz miłości, a usta złożyły się do słodkiego uśmiechu, który obiecywał raj na ziemi. Rozmarzony młodzieniec położył przed sobą zdradziecki wizerunek i przysunąwszy list, zaczął się w niego wpatrywać, jak w hieroglif, który zamykał w sobie wszystko, o czém pragnął się dowiedzieć, ale którego w żaden sposób rozwikłać nie mógł. Przypadkiem na trzecim wierszu znalazł wyraz *amour*. Brzmienie to odpowiadało łacińskiemu *amor*. To mu przypomniało, że francuzki język zrodził się z zepsucia łaciny. Zaczął więc czytać od deski do deski i wyszukiwać słowa do łacińskich podobne. Jakoż znalazł *affection*, *patience*, *image*, *coeur* i t. p. odpowiadające łacińskim *affectio*, *patientia*, *imago*, *cor*. Z tych ułomków widział tylko, że tam muszą być wynurzenia uczuć, które paliły serce téj, co je kreśliła, ale całości żadnéj złożyć z nich nie mógł. Sam jednak widok tych słów niezrozu-

miałych wlewał w jego żyły płomień, którym się upajał, który go w inny świat przenosił. Gdy tak marzył, gdy, głuchy i ślepy na wszystko co go otaczało, siedział przy stoliku, i mając przed sobą list rozłożony, oparł głowę płonącą na lewéj ręce, a w prawéj trzymając miniaturę, okiem i sercem w niéj zatonął, poczuł raptem, że ktoś rękę na ramieniu jego położył. Ocknął się z zadumania biedny Gabryel, i z przerażeniem, którego opisać niepodobna, postrzegł za sobą wyprostowaną postać wuja. W prawéj ręce jego była świeca i brewiarz, a na twarzy bladéj wyraz ciężkiego smutku i gorzkiego wyrzutu.

Ks. Pilecki, skończywszy pacierze i wiedząc, że Gabryel wrócił gotować się do spowiedzi, chciał go jeszcze widzieć przed udaniem się na spoczynek, aby słowem pociechy umocnić jego duszę i dobrą nauką naprowadzić go na drogę trudną obrachowywania się z sercem i sumieniem. Otworzywszy drzwi, postrzegł go siedzącego w téj postawie, jak wyżéj opisaliśmy. Chociaż ks. Pilecki nie skrycie i bez chęci zejścia synowca wchodził, Gabryel tak był pogrążony w myślach, że ani skrzypnięcia drzwi, ani kroków wuja nie słyszał. Widząc to, ks. Pilecki pomyślał w duchu: jak medytuje nad sobą! poczciwe dziecko! Ale jakież było jego zadziwienie, jaka bolesć przeniknęła święte i nieskażone serce kapłana, gdy stanąwszy za Gabryelem, zamiast pobożnéj książki, postrzegł przed nim rozłożony list, a w ręku jego obraz kobiety, zupełnie sobie nieznanéj, młodéj, pięknéj, ale strojem i wyrazem twarzy nie mogącéj obudzić żalu za grzechy i wlać chęci do pokuty.

— Co to jest, Gabryelu? — zapytał po chwili, ukazując na miniaturę, którą młody człowiek trzymał, jak

pierwéj, i któréj ukrywać nie myślał. Odwróciwszy się bowiem, gdy go wuj ręką dotknął, został tak jak skamieniały i ani się ruszyć, ani słowa wymówić nie mógł. — Co to za obraz w twych ręku? — powtórzył groźniéj kapłan — i czy tak się do spowiedzi gotujesz?

Te słowa przyprowadziły młodzieńca do przytomności. Rzucił miniaturę na stół, zakrył twarz rękoma i gorzko płakać zaczął. Ks. Pilecki wziął w rękę wizerunek, przypatrzył się, ale twarz była mu nieznana. Zadziwiła go piękność rysów, wykwintność stroju, bogactwo oprawy. Wziął potém w rękę list — list był francuzki, na pięknym papierze, a z języka i formy okazywał osobę wysokiego urodzenia. Wtenczas przypomniał sobie zeznanie Agaty, powtórzone przez Apolonią, które uważał za przywidzenie, a które teraz nabierało w oczach jego piętna prawdy. Dziwne myśli zaczęły krążyć po jego głowie i niepojęte trwogi opanowały serce. Z pewnym wstrętem i zgrozą odsunął od siebie list i portret, a widząc Gabryela płaczącego, rzekł łagodniéj:

— Nie płacz-że tak, nieszczęśliwy chłopcze! ale wytłómacz mi, co to znaczy.

— Ratuj mnie, wuju! — zawołał wówczas Gabryel, rzucając się do nóg jego — jestem zgubiony.

— Na miłość Boską, wstań i powiedz wszystko — rzekł ks. Pilecki, podnosząc go. Gdy Gabryel powstał ks. Pilecki przysunął sobie drugie krzesło, usiadł i zapytał: — Czyjże to jest portret?

— Nie wiem — odpowiedział młody człowiek. — W dzień mojego wyjazdu ze Lwowa spotkałem tę panią przed Farą, gdy ślepemu żebrakowi dawała dukata, ale nazwiska jéj nie znam, i więcéj jéj nie widziałem.

— Jakimże sposobem ten portret dostał się do rąk twoich?

— Dała mi go tu, w Haliczu — odpowiedział Gabryel — ta sama baba, którą widziałam na pustym cmentarzu, gdziem nocował, kiedy mnie konie ponosiły.

— Na pustym cmentarzu! kiedy cię konie ponosiły? co to jest? — zapytał ks. Pilecki. — A ten-że list od kogo?

— Także nie wiem; otrzymałem go dziś z rąk téj saméj baby, którą spotkałem na ulicy.

— Jakaż treść jego? — zapytał ks. Pilecki.

— Nie znam języka, którym pisany — odpowiedział Gabryel z tajném westchnieniem.

— Nic a nic tego wszystkiego nie rozumiem — zawołał kapłan. — Widzę tylko, żeś się taił, żeś się ukrywał, że w sercu twém nie ma już téj niewinności i prostoty, jaką staraliśmy się w tobie zaszczepić. Cały czas od twego powrotu widziałem coś, ale nie chciałem cię badać, bom sądził, żeś jeszcze syn twojéj świętéj matki, i mój prawy wychowaniec, że z zaufaniem dziecka przyjdziesz do mnie i powiész: Ojcze! Opiekunie! zgrzeszyłem. Oko moje dało się uwieść, serce dało się pociągnąć światowéj pokusie. Poradź mi i wysłuchaj. Ale ty pisałeś do mnie przed samym wyjazdem, jak gdybyś był czystym i niewinnym. Chciałeś więc uśpić moję czujność i przenikliwość ukołysać. Umiałeś więc już i wtenczas mijać się z prawdą, a teraz zmyślasz tu jakieś niepojęte androny. Kłamco! kiedyżeś się nauczył téj djabelskiéj sztuki, i gdzieś się w niéj tak wyćwiczył?

Słowa te wymówił zagniewany kapłan powstawszy, i tonem tak groźnym, tak przenikającym, że serce zamarło w piersiach Gabryela. Nie widział on jeszcze nigdy

wuja swego w takiém usposobieniu, nigdy mu postać jego nie wydała się tak poważną, twarz tak surową, i to czoło, ubrane białemi włosami, tak nakazującém cześć i poszanowanie. Podniosłszy na niego wzrok nieśmiały, mimowolnie zgiął kolana, złożył ręce i zawołał:

— Ojcze! opiekunie! nie potępiaj mnie, ale wysłuchaj.

— Usiądź więc i powiedz wszystko od początku — rzekł ks. Pilecki, siadając i ukazując mu miejsce. — Ale pamiętaj, że dość jednego grzechu do zguby człowieka. Że kłamstwo i wykręt jest drugim cięższym jeszcze grzechem, którym się pierwszy zmazać nie może. Pamiętaj, jakim cię miéć chcieliśmy, jakeśmy cię chowali. Ciężko odpowiész przed Bogiem za moję boleść, za łzy matki, jeżeliś do tego stopnia zepsuty, że nawet z błędów swoich nie zdołasz się wyspowiadać z ufnością, i przyznać do winy ze skruchą i żalem. Mów, mów prędko, ale tak, żebym mógł pojąć i uwierzyć.

— Wuju! — zawołał Gabryel, podnosząc rękę w górę — przysięgam ci na życie matki, na cienie ojca, że wszystko, co powiem, będzie prawdą, a jeżeli czego nie pojmiesz, nie zrozumiész, nie posądzaj mnie o kłamstwo, bo klnę się Bogiem, że tak było, i że ja sam nie pojmuję i nie rozumiem.

Tu Gabryel zaczął swoje opowiadanie. Opisał szczegółowo spotkanie swoje z Heleną przy katedrze we Lwowie; nie zataił wrażenia, jakie na nim piękność téj pani zrobiła, dodał, że uważał i jéj zajęcie się, jéj rumieniec i wyraz twarzy, który zdawał się mówić: nie zapomnę téj chwili. Potém opisał spotkanie z dziwnym jeźdźcem i przypadek, jaki mu się zdarzył. Przypadek ten, we wszystkich szczegółach niepojęty i nienaturalny, przypi-

sywał wpływowi tego dziwnego człowieka, który z rysów i wyrazu twarzy zdawał się jakimśćiś złym i kuszącym duchem. Daléj mówił o Pustce Djabelskiéj, na któréj noc przepędził; o spotkaniu z Anastazyą, którą wystawił jako prawdziwą czarownicę; o dukatach, któremi kieszenie jego dla pokusy widać były napełnione, a które on ze wstrętem i zgrozą odrzucił; o reputacyi, jaką w okolicy ma i to miejsce, gdzie go złe jakieś zapędziło, i ta baba, z którą mimowolnie zawiązał znajomość. Potém opisał wujowi, jakim sposobem dostał mu się portret Heleny, jak wiele razy chciał przyjść z wyznaniem wszystkiego, ale gdy spojrzał na jéj twarz, jakiś niewysłowiony pociąg porywał go tak, że się ze skarbem swym rozstać nie mógł. Mówił z całą otwartością i prawdą o stosunku swym z Agatą, przyznał się nawet, że jéj nigdy nie kochał tak, aby sam z własnéj woli złączył się z nią małżeństwem, że jeżeli się nie sprzeciwiał żądaniom matki, to dla tego, że widział w tém jéj gorące życzenie, jéj spokój, jéj błogosławieństwo; ale myśli jego były zawsze gdzie indziéj, i wtenczas nawet, kiedy spostrzegł, że go biedna dziewczyna całém sercem pokochała, nie mógł jéj odpłacić wzajemnością; a jeżeli ją kiedy popieścił, pocałował, to zawsze potém wyrzucał sobie, że ją zwodził oznakami przywiązania, którego nie miał. Przystępując do ostatnich wypadków, przyznał się, że wszystkie przygotowania do ich ślubu czyniły go prawie nieszczęśliwym, chociaż się z tém starannie ukrywał; że mu czasem przychodziło na myśl wyznać wszystko przed wujem listownie, a tajemnie pójść w świat, aby się uwolnić od związku, który zadawał gwałt jego sercu. Ale gdy potém poszedł do matki, gdy obaczył, jak ona gorliwie zajmowała się całém przygoto-

waniem, jakby od tego aktu życie jéj zależało; gdy obaczył biedną Agatę, któréj niewinna dusza całkiem do niego przylgnęła, pewnym będąc, że ani matka, ani Agata nie przeżyłyby takiego rozdziału, tracił odwagę i mocował się z sobą wszystkiemi siłami. Nareszcie opowiedział wujowi, jak go zmieszało dzisiejsze zapowiedzenie, że jutro ma iść do spowiedzi; jaka walka powstała w jego duszy, jak się i tu pokonał i wracał od matki z najczystszém postanowieniem wyznania wszystkiego przed konfessyonałem, złożenia w ręce wuja tego wizerunku, i spełniwszy wolę matki, starania się o szczęście i dobry byt Agaty, o tyle, ileby mu stało sił i uczciwości. To powiedziawszy, zatrzymał się, schylił głowę i umilkł. Gdy wuj zachęcił go, aby powiedział wszystko, Gabryel głęboko westchnął i tak daléj mówił:

— Wracając z takiemi myślami, z takiém postanowieniem, na zakręcie ulicy naszéj spotkałem znowu tę czarownicę. Poznałem ją prędko, i chciałem uciec. Ale potrafiła mnie zatrzymać i upomniała się o zwrot tego malowidła, które, jak mówiła, już mi niepotrzebne, gdyż żenię się z inną. Chciałem je zaraz jéj zwrócić, ale za mną iść nie chciała. Jutro dopiéro o szaréj godzinie czekać mnie będzie w témże samém miejscu, i tam ma mi powiedzieć, kto jest ta pani, co jéj użyła za posłanniczkę, i która, jak mówi, łzami się zalewa, żem o niéj zapomniał i z łaski jéj korzystać nie chciał. Wtenczas także dała mi ten list, który ma być od niéj, ale którego ja zrozumieć i wyczytać nie mogę. Resztę wiész, mój drogi wuju. To jest wszystko, co powiedzieć miałem. Teraz sądź mnie i potępiaj. Albo raczéj, ojcze i opiekunie! — dodał, padając na kolana — nie potępiaj mnie, ale ratuj przed nasłaniem, które-

go mogę paść ofiarą. Moje ciało ułomne, głowa zbłąkana. Jeżeli kochać ją jest grzechem, to mnie do tego grzechu ciągnie jakiś gwałt serca, którego sobie wytłómaczyć nie mogę. Wuju! rzuć promień światła na tę ciemność, dodaj mocy, abym nie upadł i upadkiem swym nie zabił ciebie i matki.

Ks. Pilecki, wysłuchawszy zeznania Gabryela, załamał ręce, schylił poważną głowę, i tak długo siedział w milczeniu. Potém powstał i rzekł:

— Gabryelu! Bóg widać przeznacza cię na ciężkie próby i doświadczenia. Nie wszystko wprawdzie pojąłem i zrozumiałem, coś mi powiedział; widzę jednak, że ci potrzeba wielkiéj siły do bronienia się pokusom, które zdają się być potężne i groźne. Synu mój! — dodał, wyciągając ręce nad klęczącym przed sobą młodzieńcem — moje modlitwy, łzy i zasługa twéj matki, będą bez wątpienia twoją tarczą. Możesz na nich polegać, jako na wiernem przymierzu; ale jeśli się sam zachwiejesz, jeżeli stracisz wiarę w ten krzyż, który widać i dla ciebie przygotowany, jeśli wyrzucisz z serca wszystkie moje nauki, wszystkie zasady, któreś wyssał z mlekiem matki, które wniknęły w pierś twą z powietrzem téj ziemi, z wonią jéj kwiatów, z szumem jéj lasów; jeżeli zapomniawszy, kto był twój ojciec, wzgardziwszy jego stanem i tém wszystkiém, co on czcił i kochał, zamiast prawdy polubisz kłamstwo, zamiast prostoty zbytek, zamiast pracy próżnowanie i lekki zarobek, o! będziesz zgubionym i nic cię nie uratuje. Pamiętaj o tém, pamiętaj, mój synu! bo widać, że czas twój nadszedł.

To powiedziawszy, jakby w natchnieniu, umilkł, i trzymając przy ustach złożone ręce, mówił cichą modlitwę.

Gabryel, przejęty do głębi serca tém straszném proroctwem, klęczał ukorzony przy jego nogach, i łzy mimowolne płynęły z jego oczu. Po kilku minutach ks. Pilecki rzekł złamanym głosem:

— Wstań, Gabryelu, i rozmyślaj nad sobą. Co masz daléj począć, jutro ci powiem.

Powstał młody człowiek, blady i znękany, a kapłan, wziąwszy z sobą portret i list Heleny, poszedł. Sen całą noc nie zamknął oczu Gabryela. Ks. Pilecki także nie spał, a Apolonia, skoro usnęła, ujrzała przed sobą swego Anioła. Stał on przed nią z twarzą równie piękną jak dawniéj, ale daleko smutniejszą. Gdy złożywszy ręce, czekała co jéj powié, Anioł spojrzał na nią jeszcze smutniéj i zniknął, a ona obudziła się przestraszona i płacząca.

XVII.

Łatwo sobie czytelnicy wyobrażą, jakiego wrażenia doznała ta nieoceniona matka, gdy nazajutrz rano po tak zatrważającém widzeniu, jakie we śnie miała, przyszła do brata. Zastała ona go znękanym, o kilka lat starszym, tak go zniweczyły myśli téj bezsennéj i bolesnéj nocy. Trudno mu było utaić przed siostrą to, czego się dowiedział, a chociaż, ile mógł, starał się łagodzić cios, którym uderzył jéj serce, dość on był ciężki, dość okrutny, aby mogła była wytrzymać jego uderzenie z tém męztwem, jakiego zawsze dawała dowody. Upadła więc pod nim biedna kobieta, i przyszłość równie jéj, jak syna, okryła się przed jéj oczyma grubym całunem. Nie będziemy szczegółowo opisywać jéj stanu i kreślić obrazów, jakie dusza jéj, zraniona w tém, co miała najświętszego, snuła w téj

chwili. Każda matka pojmie jéj boleść, każdy czytelnik, w którym zdołaliśmy jakąkolwiek dla niéj obudzić sympatyą, zrozumié nasze umiarkowanie, że nie rozmazujemy niedołężnemi słowy tego współczucia, że mu dajemy czas z własnego serca wydobyć obraz, odpowiadający obecnemu położeniu matki, co obaczyła nad przepaścią swego jedynaka, i któréj zdawało się w téj chwili, że krzykiem macierzyńskiego serca ostrzedz go nie zdoła i siłą miłości swéj nad brzegiem go nie zatrzyma.

Parę godzin przeszło, nim Apolonia zdołała zebrać myśli i kilka słów przemówić. Gdy ks. Pilecki stanął przed nią i patrzył z przejęciem na siedzącą z załamanemi rękoma, z twarzą bladą i zmienioną, podniosła na niego oczy, nawet łzami niezwilżone, gdyż płacz nie przyszedł z ulgą jéj sercu, i rzekła głosem zwątpienia i rozpaczy:

— Czas mi już umierać, kochany bracie!... Miłosierdzie Boga odwróciło się całkiem ode mnie.

— Apolonio! — odpowiedział poważnie, i w głosie jego był wyraz głębokiego przekonania. — Nie przydawaj grzechu do nieszczęścia i małą wiarą nie pomnażaj zgubnych sił, które przeciwko nam powstały. Miłosierdzie Boga nie odwraca się nigdy od wierzącego człowieka. Przypomnij sobie położenie uczniów Chrystusowych, gdy słyszeli huczące pod sobą fale. Stan nasz zdaje się podobnym i równie groźnym: Bóg, w łódce naszéj obecny, zdaje się drzémać, ale nie możemyż z wiarą upaść na kolana, i z głębi duszy zawołać: Panie! obudź się, bo toniemy.

Mówiąc to, rzeczywiście upadł na kolana i wyciągnął ręce do wiszącego na krzyżu Zbawiciela. Apolonia mimowolném poruszeniem zrobiła to samo, i wtedy dopiéro płacz serdeczny powstał w jéj łonie, łzy strumieniem po-

płynęły po twarzy i promień nadziei oświecił tę duszę, przed którą niedawno wszystko, co było przed nią, leżało w ciemnéj pomroce.

Uspokojeni cokolwiek tym aktem wiary, i zdawszy przyszłość w ręce Opatrzności, zaczęli radzić, co począć? jak w obecnéj chwili postąpić?

— Teraz przekonywam się — rzekł ks. Pilecki — że instynkt serca twego nie zwodził cię. Wiedząc, co wiemy, nie możemy Gabryela puszczać od siebie, usuwać go z oczu naszych, bez popełnienia ciężkiego grzechu. Pokusy otoczą go zewsząd, a w nim wre młodość i życie. Nie oprze się on sidłom, które na jego niewinność i zbawienie piekło nastawiło. Bo próżno taić mamy przed sobą jego niebezpieczeństwo. Widoczne ono z jego opowiadania, chociaż treść jego tak dziwaczna i z porządkiem rzeczy niezgodna. Ale możemyż sobie pochlebiać, że wiemy wszystko? Wierzymy w cuda, które sprawia siła miłosierdzia i Opatrzności, dla czegoż mamy odrzucać, niedołężnym rozumem naszym tłómaczyć, i pogardzać nadzwyczajnemi zjawiskami, które sprawia siła zguby i zatracenia, występująca czasem do walki z pierwszą? Jeżeli Bóg pozwolił skusić do grzechu pierwszą matkę rodu ludzkiego, jeżeli nie wzbronił złym duchom, że Syna jego wiedli na pokuszenie; dla czegożby nie miał dopuścić, aby człowiek, w prostocie obyczajów wychowany, czysty i niewinny duszą i ciałem, wystawiony był na walkę z sztuką piekielną, w ułudy świata przybraną, na to zapewne, aby po długich i ciężkich zapasach jeszcze czystszym z téj próby ogniowéj wyszedł. Ukorzmy się więc, miła siostro, przed tą świętą Jego wolą; ale nie traćmy z oczu powinności naszéj i wszelkiemi siłami naszemi, całą

mocą miłości, całą potęgą modlitwy otoczmy go, aby nie upadł przed czasem i na miejsce tryumfu krzyż swój doniósł.

— Oh! — zawołała Apolonia, załamując ręce — muszą być winy moje ciężkie, kiedy mnie Opatrzność na taką boleść wybrała.

— Śmiertelna i ułomna kobieto! — rzekł kapłan uroczyście — zapytujesz tego, co wié wszystko, jakie są jego cele? dla czego boleść zsyła tym, co się mają za cnotliwych, a radości i uciechy świata tym, którzy toną w grzechach? Masz-że prawo stawić przed swój sąd Wszechmocnego? Wiész-że, co dla zbawienia lepszém jest: czy ból i ciernie, czy radość i powodzenie? Nie jesteś zapewne niewinną, jak aniołowie, ale są gorsze od ciebie kobiety i sto razy gorsze, niżeli ty, matki, a przecież żadnéj z nich Bóg nie wybrał na te próby, żadnéj na te miecze, które w piersi twéj utkwią. Nie badaj więc i nie szperaj dla czego; ale póki jeszcze duch w twém ciele, czuwaj nad dzieckiem twojém i powinności matki dopełniaj.

— Będę, o! będę, tak niech mi Wszechmocny dopomoże! — zawołała Apolonia, złożywszy ręce i podnosząc ku niebu błagalne spojrzenie.

— Słuchaj-że mnie teraz, biedna siostro, com umyślił; bo całą noc dzisiejszą przechodziłem i ważyłem sposoby i środki, przez które dopomódz możemy nieszczęśliwemu chłopcu, aby i sam nie padł ofiarą, i nas do grobu razem z upadkiem swym nie pociągnął.

— Mów, bracie! — odpowiedziała — słuchać cię będę i święcie wszystko wykonam.

— Najprzód — mówił daléj, siadając — bądź co bądź, dowiedzieć się muszę, kto jest ta piękna zwodzicielka, któ-

ra na niego zastawiła sidła i do takich ucieka się środków, żeby go przyciągnąć i zgubić. Posłana przez nią czarownica czekać dziś będzie Gabryela o szaréj godzinie. Pójdzie on, ale i ja tam będę. Jeśli nie powié dobrowolnie, czyj to jest portret, zmuszę ją środkami, które będę miał przygotowane. Być bardzo może, że to jest proste oszustwo, które przybiera pozór czegoś nadzwyczajnego, aby tém łatwiéj w pole wyprowadzić. Jeśli powié, kto jest ta pani, niech sobie weźmie jéj wizerunek i jéj list, a ja trafię do zwodzicielki, stanę przed nią ze słowami prawdy i upomnienia, i jeśli jeszcze nie oddała się ciałem i duszą piekłu, postawię przed nią obraz, na który zadrży i dalszych pokus zaniecha. Idzie mi o twój pokój i jego zbawienie. Złocone drzwi jéj pałacu nie zatrzymają mnie, nie zmiesza mnie widok bogactwa i przepychu. Przystąpię do niéj śmiało, i duma rozpustnéj magnatki ukorzy się przed słowem starca, który na to piastuje Zbawiciela, aby mówił prawdę i budził sumienie grzeszników.

— A Gabryel? — zapytała Apolonia.

— Gabryel zostanie przy mnie — odpowiedział z postanowieniem. — Codzień rano i w wieczór mówić mu będę o niebezpieczeństwie, które mu grozi. Bóg doda mi mocy i położy na usta moje przekonywające słowa, które wnikną jak jasny promień do téj czystéj jeszcze, ale zachodzącéj cieniami duszy. Nie wątpię, że mu zbrzydnie ten świat, z otwierającą się przed nogami jego przepaścią, któréj oko jego przejrzéć i rozum przewidzieć nie może. Sam on wkrótce wołać będzie o łaskę Sakramentu, sam pozna, że ten tylko Sakrament osłoni go świętém skrzydłem swém i złamie te siły, z któremi pasować się prze-

znaczony. Gabryel będzie kapłanem, Apolonio! oby ta hostya, którą codzień ma mieć w swych ręku, była jego tarczą i arką przymierza z niebem, od którego świat i inny jakikolwiek zawód oderwałby go niewątpliwie.

— Bracie! bracie! — zawołała Apolonia — cóż się stanie z tém nieszczęśliwém dzieckiem, które rozkołysałam tak rozkosznemi nadziejami?

— Nie chciałaś mnie słuchać i zbłądziłaś, biedna siostro! — odpowiedział łagodnie ks. Pilecki. — Trudno teraz błąd ten naprawić, bośmy postawieni w ciężkiéj konieczności. Dwie dusze Bóg powierzył pieczy naszéj; jednéj grozi boleść ziemska, drugiéj zatracenie wieczne. Możemyż się wahać? Bynajmniéj. Ale przywiązanie nasze i sama litość nakazują nam postępować ostrożnie, zwodzić jeszcze czas niejaki nadzieją biedną dziewczynę, stopniami odejmować jéj złudzenia, aby odjęcie raptowne wszystkich nie uderzyło jéj bólem zbyt gwałtownym i nie złamało jéj serca.

— O mój Boże! mój Boże! cóżem ja zrobiła! — zawołała Apolonia, zakrywając twarz rękoma.

— Znajdziemy pozór — mówił daléj ks. Pilecki, patrząc z żalem na znękaną siostrę — odłożenia związku, który, gdyby nawet nie te okoliczności, co go rozrywają, nie miałby w sobie pierwiastków szczęścia i rękojmi pokoju. Bo tém jest tylko wspólne przywiązanie, a Gabryel nie kochał Agaty. Już myśl jego wyrosła nad prostotę bytu i naturalny wdzięk domowéj, gminnéj dziewczyny. Przejrzał się on cokolwiek w tym ogrodzie, jaki sobie społeczność wyrobiła, i oko jego nie mogło się już zachwycić polnym, niewinnym kwiatkiem, któremu sztuka nie dodała ani bardziéj ujmujących kształtów, ani świe-

tniejszych farb, ani mocniejszéj woni. Samiśmy temu winni, żeśmy dopuścili, aby się stał takim. Ale mogliżeśmy przewidzieć, co się stanie? Gdyby przyszłość jasno i wyraźnie leżała przed naszym rozumem, mielibyśmy mądrość aniołów, ale nie mielibyśmy żadnéj zasługi, która jest jedyném dobrem duszy.

Taka była treść téj ważnéj rozmowy, która miała stanowić o losie dwojga młodych ludzi i wkładała ciężkie obowiązki na ich opiekunów.

Gdy Apolonia wróciła do domu, zastała Agatę na ganeczku, ubraną, z książką do nabożeństwa w ręku i czekającą tylko na babcię, aby ją przeprosić za wszystkie przewinienia, i z jéj przebaczeniem i błogosławieństwem pójść do spowiedzi. Wstrzęsła się biedna matka na ten widok, i w twarzy jéj wyraził się cały ból, który rozrywał jéj serce.

— Co tobie, babciu? — zawołała przelękniona Agata, skoro ją obaczyła. — Musisz być chora, tak okropnie wyglądasz. Ledwiem cię poznała, droga, jedyna babciu — dodała całując jéj rękę. — O mój Boże! mój Boże! potrzebaż, żebyś dziś zachorowała!

— Bardzo mi niedobrze, moje dziecię, i nie wiem, czy jutro z waszego ślubu co będzie — odpowiedziała Apolonia, odwracając oczy.

Westchnęła głęboko Agata, schwyciła się za czoło i cisnęła je, jakby się tam co rwało; a potém, spojrzawszy bystro w oczy Apolonii, rzekła:

— Ale babciu! czemuż cię Gabryel nie odprowadził? jak mógł cię tak puścić samą? Ale może to on chory? — dodała prawie z krzykiem. — Babciu, powiedz! ja pójdę!

— Zostań, moje dziecię — odpowiedziała Apolonia — Gabryel zdrów. Byłażbym tu, gdyby był chory?

— A prawda, prawda, tybyś go nie odstąpiła i wyzdrowiałabyś sama jego chorobą — rzekła Agata, i w tych słowach odezwał się głos kobiecego serca. — Ale jeżeli zdrów, czemuż cię puścił samą? czemu go tu nie ma? chyba cię nie widział i nie wié, żeś ty chora?

— Nie wié, moje dziecię; nie chciałam go martwić moim stanem, i tém, że przyjdzie ślub wasz do przyszłéj niedzieli odłożyć.

— Do przyszłéj niedzieli! — powtórzyła Agata z tajoném westchnieniem, jakby wątpiła, czy ta niedziela przyjdzie kiedy, a potém, biorąc Apolonią za rękę, dodała: — Chodź, babciu, połóż się! Ja cię nie odstąpię.

— Pójdź, moja droga Agato! — rzekła Apolonia, całując ją w głowę i tłumiąc płacz, który wyrywał się z jéj piersi.

Poszły obie. Apolonia rzeczywiście potrzebowała odpoczynku i samotności. Rozebrawszy się więc i położywszy, rzekła:

— Idź, moje dziecię, do pierwszéj izby i tam zajmij się czém, nim Gabryel przyjdzie. Ja dziś bardzo źle spałam; coś mię sen morzy; może zasnę, to mi się zapewne lepiéj zrobi.

Została Apolonia sama, i wtenczas twarz jéj rzewnemi zalała się łzami. Agata poszła do pierwszéj izby, rozebrała się, i siadłszy w kącie i powtarzając z jękiem: — raz tylko w życiu! raz tylko w życiu! — także gorzko płakała.

Między siódmą i ósmą wieczorem poszedł ks. Pilecki z Gabryelem na umówione miejsce, postawiwszy czaty na

dwóch końcach ulicy, które opisaną im dokładnie starą kobietę miały wpuścić, ale wzbronić jéj wyjścia aż do dalszego rozkazu. Próżne wszakże były wszystkie te ostrożności i wszelkie rozporządzenia. Do późnéj nocy czekali przyjścia Anastazyi. Nikt nie pokazał się. Nazajutrz daremnie także wypytywali się, i śledzili po różnych zakątkach miasteczka wysłani przez ks. Pileckiego, jego właśni i Apolonii słudzy. Na przewozie niewidziano także podobnéj kobiety. Smutno więc i boleśnie przeszła ta niedziela, która miała zabezpieczyć zatrwożoną matkę, ustalić dalszy byt Gabryela i dać sercu Agaty niewysłowione żadnemi wyrazy szczęście. Nie lepiéj przeszło i kilka dni następnych. Apolonia doprawdy zasłabła i całą rodzinę ciężkim nabawiła niepokojem; Gabryel był ciągle milczącym i ponurym; Agata nie odstępowała swojéj opiekunki, i w krzątaniu się koło choréj, w usłudze niezmordowanéj, w troskliwości, na jaką tylko natura kobieca zdobyć się może, znajdowała ulgę i roztargnienie; wszakże jedna myśl tkwiła ciągle w jéj głowie i jeden głos: raz tylko w życiu! brzmiał nieustannie w jéj uszach.

Organizacya ludzka zdaje się bardziéj do wrażeń przykrych, do cierpienia i bólu, niż do uciechy i rozkoszy urobioną. Kiedy ciągły pokój usypia ją i niedołężnością uderza, kiedy uciechy i używanie nużą, a wszelka rozkosz denerwuje i osłabia; przeciwnie, kłopoty życia, boleść moralna, a nawet fizyczna, dodają jéj hartu, mnożą niejako jéj siły, i oswajając z ciosami, które z razu śmiertelnemi się wydawały, zamieniają rozpacz w spokojne znoszenie, a płacz bólu w uśmiech rezygnacyi. Do takiego stanu przychodziła stopniami Apolonia, a uwagi brata i modlitwa, umacniająca jéj wiarę i ufność, tępiły

zwolna ostrza téj korony cierniowéj, którą na jéj głowę nieubłagana konieczność włożyła. Pod wpływem tego moralnego uspokojenia umacniało się i jéj zdrowie. Przyszła cokolwiek do siebie, zaczęła się zajmować gospodarstwem i pobudzała do ustawicznego ruchu i czynności biedną Agatę, któréj milczenie, któréj oczy, dziwnym jakimśćiś blaskiem czasem połyskujące, któréj twarz, wychudła i zmieniona, niepokoić ją zaczynały. Kiedy niekiedy wspominała umyślnie o wznowieniu przygotowań do ślubu; uważała jednak, że wzmianka ta gorszy jeszcze robi skutek. Agata słuchała w milczeniu; w oczach jéj nie było ani radości, ani smutku, jak gdyby się to wszystko nie do niéj stosowało i obchodzić jéj nie powinno. Stan ten dziewczyny był jakby wyrzutem sumienia dla Apolonii.

Ks. Pilecki miewał z Gabryelem codzienne konferencye. Widział on z pociechą, że słowa jego padają na dobrą i przygotowaną do przyjęcia ich ziemię, i uspakajał się tą nadzieją, że Gabryel skłoni się do wyrzeczenia się świata, i od zgubnych jego ponęt ogrodzi się świętością powołania, które zacny kapłan za najbezpieczniejszy port dla duszy wychowańca swego uważał. W codziennych więc modlitwach o to tylko prosił Boga, aby mu pozwolił dożyć téj chwili, w któréjby go przy ołtarzu, sprawującego święte tajemnice wiary, obaczył. Wśród tego zajęcia i pociech, jakie mu spodziewany z nich skutek dawał, trapiło go niezmiernie, że jeszcze portret zwodniczy i list ten, choć niezrozumiały, ale zapewne zgubny, był w jego ręku. — Dopóki te przynęty piekła będą pod moim dachem, myślał sobie nieraz, dopóty tajemnym wpływem działać będą na wyobrażenie i serce młodzieńca, i odciągać go od rozmyślań, poświęconych Bogu i niebu.

Z tego głównie powodu chciał ks. Pilecki zupełny rozbrat zrobić z temi narzędziami pokusy, oddać je koniecznie ich właścicielce, aby jeszcze słowami prawdy i perswazyi odwieść ją od dalszych zamysłów i usiłowań. Dręczyła go więc niemożność dowiedzenia się, kto ona jest; dary jéj jakby paliły jego dłonie, tak mu się wydawało zgubném ich zatrzymanie; a bojaźń, aby nie sądziła, że są miłe, jako niezwrócone, i aby tajemnemi sposobami nie powtórzyła swoich ataków, nabawiała go ciągłym niepokojem, przywodziła do ustawicznego rozmyślania, jakby się dowiedzieć, jakby się do niéj dostać. W jednéj z takich chwil przyszło mu na myśl, że Gabryel przebył noc niedaleko mieszkania téj baby, która mogłaby najlepszą być skazówką do rozwiązania téj zagadki, że zatém musi pamiętać, gdzie jest ten opuszczony cmentarz i gdzie chata Anastazyi. Postanowił więc wybrać się z Gabryelem w drogę, wyszukać podejrzaną posłanniczkę i zmusić ją do zeznań, które go tak mocno interesowały, a przynajmniéj oddać jéj podarunki, które jéj powierzono.

Załatwiwszy więc na początku tygodnia co pilniejsze sprawy parafii, objawił myśl swą siostrze, i pożegnawszy się z nią i z Agatą, na dni trzy lub cztery wyjechał z Halicza wraz z Gabryelem.

Apolonia nie sprzeciwiała się bratu, chociaż serce jéj mówiło, że to niepotrzebne, i może narazić jéj syna na nową jaką przygodę w tém miejscu, gdzie się ich wspólna niedola zaczęła. Przeżegnała tylko klęczącego przed sobą młodzieńca, położyła potém ręce na jego głowie, i wzniosłszy oczy i ducha do nieba, błagała Stwórcy, aby to dotknięcie rąk matki było jego tarczą, aby je czuł za-

wsze na swoich skroniach, i pamiętał, że jeśli się myśli jego zbłąkają, serce jéj złamie się i oczy zamkną się na wieki.

Agata patrzyła na to pożegnanie z tém upornem milczeniem, które było znakiem, że już jéj nic nie obchodzi, że jedna tylko myśl tkwiła w jéj głowie i wszystkie jéj władze pochłonęła. Gdy Gabryel podał jéj rękę, ona wyciągnęła do niego swoję, patrząc nań suchém i błyszczącém okiem.

— Nie bądź tak smutną, Agato! — rzekł jéj ks. Pilecki — my za trzy dni wrócimy.

— Za trzy dni! — odpowiedziała, jakby co przypominając. — A prawda, za trzy dni będzie sobota i mamy iść do spowiedzi. A w niedzielę będzie nasz ślub. Dobrze, za trzy dni. Trzy dni! — powtórzyła, jakby mówiąc do siebie. — Cóż to? to przejdzie prędko, bardzo prędko. Więcéj dni przeszło, a jednakowo przebyłam je. Bądź zdrów, Gabryelu!

I znowu umilkła i wzięła się do roboty, jakby to oddalenie nie dawało jéj żadnego niepokoju i było czémśćiś codziennem i zwyczajném. Spojrzeli po sobie obecni. Apolonia, która w twarzy brata szukała zaspokojenia, nie znalazłszy go, odwróciła się i załamała ręce, a Gabryel, wychodząc za wujem, rzucił jeszcze raz okiem, które zaszło łzą, na Agatę, szyjącą z największém zajęciem i nie patrzącą już wcale na to, co ją otaczało.

W godzinę potém podróżni nasi byli już za Dniestrem, i konie ks. proboszcza, których bardzo rzadko używał, biegły żywo i rączo po drodze gładkiéj i ubitéj. Rozłożyli tak swoję drogę, aby na drugi dzień dociągnąć na noc do Strzelisk Starych, w téj saméj karczmie, w któréj nocował chłopak, co niegdyś wiózł Gabryela ze Lwowa,

przenocować, od gospodarza i chłopów miejscowych zasięgnąć bliższych wiadomości, a raniutko udać się na miejsce, aby czarownicę zastać w domu i zejść ją niespodziewanie. Już było ciemno prawie, gdy nazajutrz zjechawszy z szose, zmierzali do miejsca noclegu. Gabryel ukazał furmanowi drogę, która, nie dojeżdżając do Nowych Strzelisk na trakcie głównym leżących, szła na prawo przez las i nie zajmowała więcéj, jak dobre pół mili. Tak się przynajmniéj Gabryelowi zdawało, tak mówili ludzie, których jeszcze po drodze rozpytywali się podróżni nasi. Jechali oni wprawdzie zwolna, gdyż droga była zła, pełna wybojów i kałuż, napełnionych wodą i błotem po niedawnych deszczach; ale minęło pół godziny, przeszła i godzina, a wsi, do któréj dążyli, nie było widać. Czy się Gabryel pomylił, czy furman, wymijając kałuże i jamy, z prostéj drogi zjechał, niewiadomo; dosyć, że się już dobrze ściemniło i parę godzin upłynęło, a oni jeszcze byli w lesie, z którego wydobyć się nie mogli.

— Podobno zbłądziliśmy — rzekł Gabryel, i przypomniawszy sobie blizkość tego miejsca, gdzie kiedyś noc przepędził, oraz to, co mu ów wieśniak wówczas opowiadał, zadrżał mimowolnie. Ks. Pilecki przeżegnał się, i zaczął pacierz mówić, a furman klął i daléj jechał. Tymczasem noc już była zupełna, las stawał się coraz gęstszym, a droga rozszczepiała się na różne odnogi, tak, że niewiadomo było, któréj się chwycić. Gabryel, wyrzucając sobie kłopot i niewygodę, na którą wuja swego przez nieostrożność naraził, pragnąc jak najprędzéj dostać się do jakiegokolwiek mieszkania ludzkiego, aby starcowi zapewnić nocleg i dowiedzieć się, gdzie się znajdują, zsiadł z bryczki, szedł naprzód i za sobą jechać kazał. Smutne

myśli dręczyły młodzieńca, a ten las głęboki, ciemny i rozstajnemi drogami pokrzyżowany, wyobrażał mu jego przyszłość, któréj rozum jego obrachować nie mógł, i w któréj imaginacya jego nie była zdolna wymalować mu żadnego wyraźnego obrazu. Czasem tylko, w błędnych i niejasnych zarysach, które się tam na tle ciemném kreśliły, błysnęła twarz i postać Heleny, i wybiło się wyraźniéj lice brzydkie i szyderskie podróżnego na karym koniu, który go wówczas obłąkał, a i teraz może prześladować nie przestaje.

Po godzinie tak ciężkiéj i leniwéj wędrówki, spostrzegł nareszcie Gabryel szerszą jakąś i gładszą drogę. Kazał na nią zwrócić konie, i siadłszy na koźle przy woźnicy, śpieszniéj cokolwiek jechać. Las zaczynał się przerzedzać, ciemności okrywające obłoki zaczęły się cokolwiek rozsuwać, i gwiazdy tu i owdzie połyskujące pozwoliły pewniéj i śmieléj kierować zmordowanemi już i ustającemi końmi.

— Zdaje się, że się las już kończy — zawołał uradowany Gabryel, obracając się do wuja i całując jego rękę, jakby go chciał przeprosić za trud, którego doznaje.

— Jedźcie, jedźcie — odpowiedział spokojnie ks. Pilecki, ścisnąwszy rękę Gabryela, a drugą nieznacznie żegnając jego nachyloną głowę.

— Ile ja wam zmartwienia przynoszę! ile kłopotów przyczyniam! — rzekł wzruszony młodzieniec. — Biedna matko! wuju kochany! czy wy mi to przebaczycie kiedy?

— Bądź dobréj myśli, mój synu! — odpowiedział kapłan — przebyliśmy już najgorsze chwile, jak i téj nocy zdaje się, żeśmy już najgorszą drogę minęli. Las się

rozrzedza, ciemności się usuwają i gwiazdy zaczynają połyskać. Da Pan Bóg, że tak i w życiu naszém będzie.

Uspokoiły te słowa naszego bohatera i jechali daléj.

— Oho! — krzyknął furman, przechylając się i zaglądając naprzód. — Podobnoś już i pole widać. Chwałaż Bogu, że się ten przeklęty las skończy. Na polu jakoś człowiekowi raźniéj; nie tu, to tam taki coś obaczy. A tu ciemno jak w garnku. A i miesiąc powinienby się już pokazać.

Rzeczywiście, las coraz rzadszy świecił tu i owdzie szerszemi lukami, gwiazdy coraz jaśniéj świecić zaczęły, na wschodniéj stronie horyzontu zajaśniała, jakby łuna od wschodzącego księżyca, i nareszcie pokazało się jakieś półko orynami ogrodzone, i z daleka, niewyraźnie coś nakształt szczekania psów słyszéć się dało.

— Toż tu już muszą być i ludzie, i miesiąc zaraz będzie — zawołał uradowany furman — a może Pan Bóg da i karczmę. Ta, żeby choć był owies i siano, bo się koniska djabelnie przemachały. — To mówiąc świsnął biczem, zaciął oba konie i puścił się lekkim kłusem.

W pół godziny potém wjechali w okolicę, ile zdawało się przy niepewném świetle gwiazd i leniwo w ostatniéj kwadrze wschodzącego księżyca, dobrze uprawną, mającą doliny, które zapewne były zielone i może jeszcze jakim zapóźnionym kwiatem ozdobne, i wzgórza, na których czerniały laski w cienistych grupach stojące, i tu i owdzie lóżne drzewa, których gatunku i koloru nie można jeszcze było rozróżnić. Ucieszył ten widok naszych podróżnych, dając im nadzieję blizkiego noclegu. A stał się potrzebnym odpoczynek i im, i koniom, gdyż było już dobrze po północy, i pewnie do czterech mil od bitego gościńca

w bok ujechali. Wkrótce, wjechawszy na niewielki pagórek, przez który szła droga coraz szersza i gładsza, ujrzeli przed sobą dolinę, pięknie zabudowaną przez niezbyt wielką, ale rozkosznie widać położoną wioskę. Domki były białe, za niemi czerniały stodoły i inne budynki, a przed każdym domkiem stały drzewa, i każda widać zagroda miała swój ogród. Zaraz od podnóża wzgórka, na którym się znajdowali, zaczynała się aleja z wielkich drzew, która prowadziła do dworu: na lewo bowiem, w miejscu odosobnioném i cokolwiek od wioski usuniętém, widać było gęstą massę wielkich drzew, należących zapewne do ogrodu, i rząd wysmukłych i wysokich topoli, oznaczających, że tam jest pańskie mieszkanie. Tam także połyskała przestrzeń, przy rozwidniającéj się coraz nocy świecąca, i podchodząca pod sam ogród, któréj gdy się przypatrzyli, poznali, że to był staw, który w dzień musiał być piękną całego tego miejsca ozdobą.

— Oj! żeby to karczma! — zawołał znowu furman i wjechał żywiéj w aleję. — Ale musi być — dodał — bo konie biegną i bez batoga, choć zmordowane, a to bestye rozumne.

Sprawdziły się przeczucia i ziściły gorące życzenia woźnicy. Minąwszy bowiem wieś, która zblizka nie wydała się im tak piękną, jak z daleka, domki bowiem, choć białe i niegdyś porządne, widocznie były opuszczone, zaniedbane i po większéj części puste, bez drzwi i okien, stanęli wreszcie przed austeryą, dosyć wielką, murowaną, ale także noszącą na sobie ślady opuszczenia i niedbalstwa. Stała ona na pustém miejscu na końcu wsi. Przed nią był plac ogromny, zarosły trawą i chwastem, który ją oddzielał od dworu. Dwór ten, a raczéj pałacyk, niewielki, ale

gustowny i pięknie położony, stał oddzielnie na zielonéj przestrzeni. Widać go było dobrze z przed karczmy, gdyż przestrzeń tę ogradzał tylko nizki mur, ozdobiony rzędem rzadkich topoli, i mający w środku bramę z dwóch ozdobnych słupów, z zawarciem sztachetowém i przezroczystém. Za pałacykiem ciągnął się ów ogród, który podróżni nasi widzieli z daleka, i na którego ciemném tle jaśniały białe, staroświeckie, ale gustowne formy pańskiego budynku.

Gdy furman dobijał się do drzwi i okien karczmy, gdy ks. Pilecki przechadzał się i wyprostowywał po tak długiém siedzeniu, Gabryel przypatrywał się stojącemu zdala budynkowi, jego kształtnéj architekturze, jego odosobnieniu od wszelkich innych zabudowań, i ujęty równie powabnym jego widokiem, jak i pokojem i cichością, które go otaczały, postanowił raniutko pójść i przypatrzéć się zblizka, równie mieszkaniu, jak i otaczającemu je ogrodowi.

Nareszcie otwarła się brama karczmy, z wielką pociechą woźnicy, który zaraz na wstępie dowiedział się, że owsa nie ma, ale jest siano, lepsze jak owies. Weszli podróżni nasi do izby wielkiéj i brudnéj, któréj okna wychodziły na plac, i z których widać było pałac.

— A gdzie gospodarz? — zapytał ks. Pilecki rozczochranéj i zaspanéj dziewki, która otworzyła bramę karczmy i wprowadziła ich do izby, trzymając w ręku blaszany lichtarz ze stojącą w nim świéczką łojową w takimże pochyłym kierunku, jak stoi wieża w Pizie.

— A gdzież ma być? — odpowiedziała — śpi. Alboż to teraz dzień, czy co?

— Nie gniewaj się, kochanko, żeśmy cię zbudzili —

rzekł ksiądz łagodnie — nie nasza to wina. Zabłądziliśmy i nie wiemy gdzie jesteśmy.

— Jak się nazywa ta wieś? — zapytał Gabryel.

— Mylna — odpowiedziała, spojrzawszy już nie tak chmurnie na pięknego młodzieńca.

— A czy nie moglibyśmy widzieć się z gospodarzem? — rzekł ks. Pilecki.

— Zaraz, zaraz — odezwał się głos z alkierza, i w kilka minut wyszedł stary, wysoki mężczyzna, w pół ubrany, z siwym dużym wąsem i namarszczoną dosyć twarzą. Ale gdy obaczył poważną postać i nakazujące uszanowanie lice ks. Pileckiego, udobruchał się i uprzejmie rzekł:

— Oj! późnoż, panowie, późno!

— Zabłądziliśmy, panie gospodarzu, i od popasu nigdzieśmy nie stawali — odpowiedział ks. Pilecki.

— To źle, jakem szlachcic — rzekł gospodarz, gładząc siwe wąsy. — Tożby trzeba księdzu dobrodziejowi coś przekąsić, a i temu paniczowi także, bo to od popasu... ba, ba, ba — dodał, spojrzawszy na zégar z kukawką — wszak to już blizko druga po północku! To dajmy, żeście panowie wyjechali z popasu koło czwartéj po południu, to będzie godzin... piąta, szósta, siódma, ósma... a cóż? będzie dziewięć godzin z okładem, jakem szlachcic.

— Prawie tyle — odpowiedział, uśmiechając się, ks. Pilecki — i gdyby można choć kilka jaj miękko i kawałek chleba z dobrém masłem, tobyśmy panu gospodarzowi podziękowali.

— Zaraz, zaraz będzie wszystko — odpowiedział. — Słyszysz, Pelagia, rozpal-no ogień, tylko prędko, a ja tymczasem trochę ogarnę się, bo tak wyskoczyłem prosto

z łóżka; ale trzebaby i posłanie jakie przyrządzić — dodał, powracając z alkierza — bo to po takiéj drodze, to się chce człowiekowi wyciągnąć. Choćby słomy rozesłać tu na ziemi. Słyszysz, Pelagia, powiedz Tymofiejowi, niech tu ze trzy kule słomy przyniesie. Zaraz będzie, i ja tu sam pogospodaruję, tylko się trochę odzieję, tfy! — dodał, spoglądając na nogi i kiwnąwszy ręką — nawet i butów nie wziąłem. A wiele ksiądz dobrodziéj ma koni? — zapytał, wychodząc znowu z alkierza.

— Parę, panie gospodarzu — odpowiedział ks. Pilecki — ale to źle, że owsa nie macie.

— E, to pewnie Pelagia powiedziała tak furmanowi — rzekł uśmiechając się pod wąsem, który pogłaskał. — Bo widzi ksiądz dobrodziéj, nie dla wszystkich podróżnych mamy owies. Owies tego roku droższy od żyta, a czasem przyjedzie taki, co nie ma zkąd zapłacić i potém kłopot. Ale dla panów znajdzie się. Tylko się trochę przykryję, bo tak zerwałem się na nogi i wyszedłem, jak stałem, nie wiedząc, kto przyjechał.

Ta leniwa gotowość zaczęła się już przykrzyć nawet ks. Pileckiemu. Już miał zrobić uwagę gospodarzowi, że im tualeta jego niepotrzebna, że więcéj gada niż robi, ale tym razem szlachcic nie powrócił z alkierza, i rzeczywiście zaczął się ubierać. Usiadł więc ks. Pilecki na ławie spokojnie, oczekując, czy z tych obietnic co będzie, a Gabryel poszedł pomódz furmanowi w ulokowaniu i opatrzeniu koni, oraz po tłomoczek z pościelą, którą się opatrzyli, mając kilka dni być w drodze.

Gdy wszedł do izby z tłomokiem, zastał już gospodarza w porządnéj, szaraczkowéj kapocie, ze stojącym kołnierzem i potrzebami z tasiem dość szerokich, w butach,

o których teraz już nie zapomniał, z włosami przyczesanemi na czoło, słowem, rzeczywiście przybranego starannie, jakby chciał przez to okazać uszanowanie gościom, których miał u siebie. Ale ani słomy na posłanie, ani jaj, ani owsa jeszcze nie było. Tak nazwany Tymofiej gdzieś przepadł, Pelagia schowała się, a gospodarz gadał.

— Wieś ta nazywa się Mylna, księże dobrodzieju — mówił, odpowiadając widać na zrobione zapytanie. — Oj! panie, coby to była za wieś! ale cóż, kiedy to u nas wszystko idzie piąte przez dziesiąte, jakem szlachcic.

— A słoma, panie gospodarzu? — rzekł Gabryel.

— A zaraz, zaraz — odpowiedział, obracając się do drzwi, jakby wyglądał wchodzącego z nią Tymofieja. — Już za nieboszczyka było źle, a teraz panie odpuść! Komisarz pan, a pani hrabina! at, zwyczajnie młode, a ładneż bo, a ładne, aż oczy w siebie bierze. Ale gdzie jéj dać sobie radę! A przytém i żałuje bardzo męża, choć był stary i brzydki, i porzuciła pałac w Dusanowie, i ot tu mieszka, sama jedna, taj medytuje o swojém młodém wdowieństwie, a komisarz robi co chce. To szelma na wielki kamień, jakem szlachcic — dodał, gładząc wąsy.

— A owies? — rzekł znowu Gabryel.

— Zaraz, zaraz — odpowiedział gospodarz, wszedł na chwilę do alkierza i wracając ztamtąd z kluczami, mówił daléj: — Majątek prawda piękny został, ale cóż? kiedy długów po uszy. I nieboszczyk nie był oszczędny, ale jeszczeby to pół biedy, gdyby nie żona. W całéj Galicyi nie ma takiego pałacu, jak w Dusanowie, takich karet, takich koni, takich liberyi. A ile traciła co roku we Lwowie, gdzie słyszę, co tygodnia bal, i zawsze gości huk i strojów pełne izby. To téż brali a brali z wiosek, aż

póki się nie przebrało. Ot, nie tylko ludziom się sprzykrzyło, ale i ziemia straciła cierpliwość i przestała rodzić. Wszędzie tego roku było lepiéj, a u nas nic! to też korca owsa nie dokupisz się. A jak kto dostał trochę, to tak się z nim trzeba obchodzić, jak z szafranem, jakem szlachcic.

— A jaja? — zapytał Gabryel, znudzony gadulstwem szlachcica, który nie darmo do drożyzny owsa naciągnął rozmowę — widzisz, panie gospodarzu, mój wuj już ziewa i chciałby się położyć.

— O! zaraz, zaraz — odpowiedział, zakręciwszy się niby żwawiéj i wołając we drzwi alkierza: — Pelagia, prędzéj tam! Ja jednak, powiem księdzu dobrodziejowi, najwięcéj winię komisarza — mówił daléj, wracając do ks. Pileckiego. — To prawdziwy rabuś, a do tego niegodziwiec. Ot, naprzykład Mylna. To złote jabłko, żeby gospodarstwo. I dawniéj było wszystko inaczéj. Widać to jeszcze po budynkach, co to była za wieś; teraz, tfy! wszystko opuszczone. Nie można się doprosić, żeby szyby w oknach powstawiali. Wczoraj, jak pani hrabina szła na spacer, tom jéj to mówił. Co ja się mam jego bać? mnie wszystko jedno, nie tu, to tam. Zapłacę taj siedzę, i basta. Może to teraz będzie trochę lepiéj, kiedy pani hrabinie przyszło do głowy tu sobie mieszkać. At zwyczajnie, jak wielkie państwo. Pałac się naprzykrzy, to myślą, że w chałupie lepiéj. Ładna bo to i chałupa, nie ma co mówić. Tu kiedyś pan hrabia mieszkał z matką naszéj pani, kiedy byli jeszcze z sobą w dobréj komitywie, i córka była jeszcze mała, i tak sobie z daleka tylko przypatrywała się, co mamunia robi. Nie odtoczy się jabłko od jabłoni — dodał z uśmiechem. — To też tam

ludzie gadają i to, i owo. Chociaż nie można powiedzieć, teraz żyje tu jak zakonnica. Już trzy tygodnie, jak tu mieszka, a jeszcze nikt z gości nie był, i szkoda, że nie był. Ot, możeby i człowiek co utargował; bo płacić trzeba, a komisarz nie poczeka i dwóch tygodni. Oj! co to za bestya, żeby ksiądz dobrodziéj wiedział, choć to mój imiennik i nazywa się Strzembski, akurat tak, jak i ja; ale co mi z tego za pociecha, kiedy to huncwot?

Ks. Pilecki widząc, że się zaczynają inwektywy, i że pan Strzembski, który widać miał jakiś żal do swego imiennika, skoro na tę materyą wpadnie, nie prędko skończy, raz, że był głodny i strudzony, a potém, nie chcąc słuchać wynurzań z obrazy płynących i może z krzywdą człowieka, którego nie znał, powstał z powagą i rzekł:

— Panie Strzembski! dziękujemy ci za te wszystkie wiadomości. Uważaj jednak, że one nam nie tyle potrzebne, co posiłek i posłanie.

— A prawda, zaraz będzie wszystko — odpowiedział gospodarz i wyszedł do alkierza. Wyjrzał wprawdzie ztamtąd raz jeszcze i byłby pewnie rozpoczął na nowo gawędę, ale Gabryel zawołał: — Owies, owies, panie Strzembski! — wrócił więc napowrót, zaczął się sam krzątać i wkrótce dał się słyszéć głos jego w sieniach: — Tymofiej! a nieś-że słomę, a gdzież on, huncwot! Pelagia! gdzie ty, szelmo? Ot tobie macie! nie bestyeż to?

Pokazało się, że Tymofiej, wlazłszy na górę po słomę, i zwabiony jéj sprężystością, położył się tam i zasnął, a Pelagia, szukając łuczywa do rozniecenia ognia, za piecem, gdzie leżał jéj siennik, jakoś pochyliła się ku niemu, oparła się najprzód łokciem, daléj głową, nareszcie, zakląwszy gości przyjeżdżających w nocy, wyciągnęła się

i także chrapać zaczęła. Dopiéro w dobre półgodziny konie dostały owies, ks. Pilecki i Gabryel jakie takie posłanie, ale o jajach nie było już co myśléć. Przekąsiwszy więc po kawałku chleba z masłem, co im sam pan Strzembski podał, powiedzieli mu dobranoc, i chociaż szlachcic, który się już dobrze wyspał, miał wielką ochotę do dalszéj gawędy, dali mu poznać wyraźnie, że chcą zostać sami.

Gdy ks. Pilecki ukląkł dla odmówienia pacierza, Gabryel, którego posłanie było bliżéj okna, oparł się o mur i patrzył na pustą przestrzeń i na pałacyk, widny teraz we wszystkich zarysach, gdyż światło księżyca, który już był dość wysoko, prosto nań padało. Była to budowa dawniejsza, drewniana, bez piętra, z dachem dość wysokim, okrytym cokolwiek ozdobną fryzą i wyższą wystawą nad wchodowemi drzwiami, na któréj widać było herb ze wszystkiemi jego ozdobami i z hrabiowską na wierzchu koroną. Po rogach tego korpusu, który miał ośm wielkich okien, stały dwa małe, cokolwiek naprzód występujące pawiloniki. Te już były piętrowe, i okryte zakrzywionym dachem, który jednak wysokością średniego dachu nie przenosił. Gabryel patrzył z zajęciem, którego sobie wytłómaczyć nie umiał, na te okna połyskujące pod promieniami księżyca, i wchodził myślą do środka mieszkania, które zaludniał według skazówek, jakie mu opowiadanie pana Strzembskiego podać mogło. Sam nie wiedział, dla czego patrzy? co go tam pociąga? A gdy ks. Pilecki, spostrzegłszy to, zapytał, czemu nie idzie spać?

— Idę, kochany wuju — odpowiedział, i jeszcze raz spojrzał w okno, jakby chciał dobranoc powiedzieć tym, co tam spoczywali. Wtenczas spostrzegł po dachu jedne-

go z pawiloników przebiegający płomień, który się przesuwał na dach średni, i w kilku miejscach go zatlił. Płomień ten coraz częstszemi i grubszemi kitami wybuchający, za każdym razem padał na dach główny, i czerwone plamy rozszerzał. Wkrótce cały dach pawilonu błysnął jednym płomieniem, który przerzucił się jak lawa na dach korpusu, ogarnął go w mgnieniu oka, i w téjże saméj chwili zajaśniały czerwonym blaskiem wszystkie okna drugiego pawilonu, szyby pękły i wyskoczyły, i z każdego z nich pożar, wewnątrz już grasujący, ognistemi językami syczéć i grozić zaczynał.

Wszystko to nie trwało kilkunastu minut i wprowadziło w takie zdumienie młodzieńca, że stał osłupiały i słowa wymówić nie mógł.

— Co to za blask, Gabryelu? — zapytał ks. Pilecki, który już siedział na posłaniu i miał się położyć.

— Pożar, okropny pożar! — krzyknął wówczas Gabryel, przychodząc do siebie. Zerwał się ks. Pilecki, przyszedł do okna i załamał ręce, widząc wszystkie już dachy w ogniu, patrząc z przerażeniem, jak wiatr, który nagle powstał, szarpie płonące gąty i daleko zanosi, jak blask wewnątrz budynku coraz się rozszerza, i płomień, jak furya rozsrożona, zagartuje wnętrza głównego mieszkania i zagraża niebezpieczeństwem życiu jego mieszkańców.

— Panie Strzembski! panie gospodarzu! — wołał ks. Pilecki, odziewając się prędko. Wyskoczył szlachcic jak oparzony, i spostrzegłszy, co się dzieje, krzyknął:

— Masz tobie! Otóż to ten szelma komisarz wszystkiemu winien. A mówiłem, sprowadzać kominiarzy. Nie! uparła się bestya, teraz ma! Aj! aj! jak się prędko

rozszerza. Wszystko to stare, drewniane. Oho! już we środku, w korpusie pali się. Jezus Marya! taż to tam pani z duszą nie ucieknie.

— Trzeba ich ratować — zawołał ks. Pilecki. I zaledwie słowa te wymówił, Gabryel już był na placu, i biegł jak strzała ku płonącemu domowi. Ks. Pilecki i gospodarz austeryi poszli za nim. Pan Strzembski zbudził wprzód swoje sługi, i dziewkę posłał na wieś, aby krzykiem i wołaniem mieszkańców jéj rozbudziła.

O kilkadziesiąt kroków od płonącego budynku, poczuł nasz bohater siłę ognia, który go już tam objął duszącym żarem, témbardziéj, że wiatr dął ku stronie dziedzińca, i jakby zgartując z dachu dym i płomień, oblewał jego lawą ścianę frontową, i do drzwi przystępu bronił. Z krzykiem przerażającym zbliżył się młodzieniec do domu, a nie zważając na upał, dostał się do drzwi głównych. Drzwi były zamknięte, i żaden krzyk, żaden zakręt nie okazywał, aby wewnątrz ktokolwiek wiedział o niebezpieczeństwie. Wszyscy widać spali. Gabryel całą siłą, którą chęć niesienia pomocy bliźnim podwoiła, uderzył we drzwi. Pękł zamek i drzwi roztwarły się, a w téjże saméj chwili, z różnych stron mieszkania, wpadali do ogromnych sieni wpółubrani i nieprzytomni sobie słudzy hrabiny. Widok ich twarzy, oświeconych pożarem, na których wyryte było przerażenie, ich krzyk pełen rozpaczy, ich pośpiech i niepewność, gdzie się udać, gdzie szukać ratunku, powiększyły okropność téj sceny.

— Pani! pani tam! — wołała z przerażeniem młoda jakaś kobieta, która z lewéj strony apartamentów wypadła do sieni prawie w koszuli, z rozpuszczonemi włosami — ratujcie panią! dajcie powóz! koni! koni! — Krzy-

czała co siły, biegnąc ku drzwiom dziedzińca. Inni słudzy, wrzeszcząc i powtarzając jéj słowa, wybiegli za nią. Gabryel, jakby jakimściś głosem wołającym ratunku wiedziony, wpadł na lewo, minął jednę salę i drugą, a gdy był przy drzwiach trzeciéj, drzwi te otwarły się i wyskoczyła z nich, oglądając się ze strachem po-za siebie, młoda i piękna kobieta. Gdy spostrzegła przed sobą Gabryela, zatrzymała się, i w twarzy jéj okazało się więcéj podziwienia na to niespodziewane zjawisko, niż przestrachu i rozpaczy na niebezpieczeństwo, które ją otaczało. Gabryel poznawszy ją, stanął w osłupieniu, zapomniał o pożarze, zapomniał o wszystkiém co było, nie myślał o tém, co być może, a czując tylko niewypowiedziane szczęście, patrzył z zachwyceniem na tę twarz, jeszcze piękniejszą przy nieładzie stroju, przy wrażeniu jakiego doznawała, przy tém świetle płomienia, który już ogarniał pokoje i ze drzwi, z których wyszła, szerokim wymykał się strumieniem. Milczenie ich trwało parę minut. Nareszcie trzask okropny dał się słyszéć za nimi. W sypialnym jéj pokoju upadł sufit, dym na nich buchnął, gorąco niesłychane objęło ich, a Helena, obejrzawszy się po-za siebie, krzyknęła, i z przerażeniem wyciągając ręce:

— Gabryelu! ratuj mnie! — zawołała i padła bez zmysłów w jego objęcia. Porwał ją Gabryel na ręce, utulił nieprzytomną sobie i nie czując prawie tak drogiego ciężaru, niósł przez pokoje, które jeszcze nie stały się pastwą ognia. Ale sień była już pełna dymu, drzwi w około trzeszczały i płomień z nich buchał. Jednym skokiem prawie przebył ją nieustraszony młodzieniec, i gdy ujrzał się na otwartém powietrzu, odetchnął z głębi piersi, szedł naprzód i nie uważał prawie na krzyk prze-

rażonych ludzi, którzy się zewsząd zbiegali i sami nie widzieli, do czego się wziąć i co ratować. Wśród tego zgiełku, wśród słaniającego się i otaczającego ich dymu, usłyszał nagle Gabryel znajomy sobie głos, który mu mówił: — daléj, daléj, nieś ją pan do powozu! — Biegł więc bez pamięci jeszcze kilkanaście kroków, póki nie postrzegł pędem niezwykłym zachodzącéj karety. Wówczas natężywszy sił, zbliżył się do niéj, i kareta stanęła. Otworzył ją jakiś mężczyzna, którego twarzy Gabryel nie dojrzał, a chcąc delikatniéj i bezpieczniéj ułożyć w powozie zemdloną i nieprzytomną sobie Helenę, wszedł także do karety. Ale zaledwie się tam ujrzał, w téjże chwili zatrzasnęły się drzwiczki, konie ruszyły i bohatera naszego, wraz z tą, któréj wspomnienia nawet wyrzekł się, któréj już nigdy spotkać nie spodziewał się, pędem strzały uniosły.

— Gabryelu! Gabryelu! — wołał ks. Pilecki, który właśnie nadszedł i widział siostrzeńca, niosącego piękną jakąś kobietę i wsiadającego z nią do powozu. Ale próżno starzec wołał i wyciągał ręce z rozpaczą. Gabryel nie słyszał jego głosu. Trzask pożaru, krzyk przelęknionych ludzi, turkot pędzącego powozu zrobiły go głuchym, a widok twarzy cudnéj i bladéj, i téj głowy kruczym włosem odzianéj, która na jego ramieniu leżała, zasłonił przed nim zbolałe lice wuja, i białych włosów jego dojrzéć mu nie pozwolił.

W godzinę potém, już tylko szczęty pięknego niegdyś domu dogorywały, gromada ludzi stała zdaleka i przypatrywała się ruinie, któréj niepodobna było zapobiedz, a ks. Pilecki usiadł na murze, otaczającym dziedziniec, patrzył na drogę, którą Gabryel pojechał, i łzy zrosiły to li-

ce, na którém osiadł smutek głęboki i ciężkie zwątpienie ślad swój wyryło.

XVIII.

Chociaż opowiadanie nasze jest takiego rodzaju, że żadna, najdziwaczniejsza nawet okoliczność nie potrzebuje usprawiedliwienia, chcąc jednak ile możności zaspokoić tę nieszczęśliwą chorobę natury ludzkiéj, która jeszcze od czasów raju pomiędzy nami grasuje, i któréj najwidoczniejszym symptomatem jest to wieczne: *dla czego?* z którém co chwila wyjeżdżamy, postaramy się ile możności objaśnić wypadek, w poprzedzającym rozdziale opisany, a którego wpływ, jak to czytelnicy widzą, musi być stanowczym. Wróćmy więc do téj chwili, w któréj zostawiliśmy Helenę, po wizycie dziwnego jéj gościa, bladą i zemdloną.

Piękna ta wdowa przyprowadzona prędko do przytomności przez Karlinę i starego sługę, sfatygowana tak ciągłém i długiém czytaniem, zmęczona wrażeniami, jakich doznała i przestraszona widokiem, który ją o utratę zmysłów przywiódł, zasnęła mocno i spała smacznie kilka godzin. Sen ją pokrzepił i dodał sił do zastanowienia się nad sobą. Jakkolwiek oświecona i od dzieciństwa nawykła wszystko, co się na ziemi dzieje, uważać za kolej konieczną przyczyn i skutków, jakkolwiek w nic nie wierzyła, i oddana doczesnemu życiu, nie przenikała nigdy ciasnéj sfery widzialnego świata, nie mogła jednak w obecnéj chwili znaléźć pomocy ani w swoim rozumie, ani w swojém niedowiarstwie. Powieść Karliny, stwierdzona ogniami leżącego przed nią dyamentu; zjawienie się jeźdźca przed oknem jéj karety i spełnienie obietnicy wtedy,

kiedy czytała swoję własną historyą, kiedy znalazła w rękopiśmie, który nie wiedziéć jak dostał się jéj do rąk, powtórzone słowa i Gabryela i ślepego starca, które zapamiętała, a których nikt nie słyszał; zniknienie wreszcie wczorajszego gościa, którego nikt ani wchodzącego, ani wychodzącego nie widział, oraz rękopismu, który także nie wiedziéć gdzie się podział, wszystko to dawało jéj ten straszny domysł, że wpadła w ręce jakiéjś excepcyonalnéj istoty, jakiéjś siły potężnéj, ale złéj i zgubnéj. Strach więc ogarnął jéj serce, a mgła ciemna i nieprzejrzana zakryła przed jéj wzrokiem dalsze wypadki. Pierwszy raz wówczas z niewypowiedzianą trwogą zaczęła myśléć o przyszłém życiu. Obejrzała się więc mimowolnie po swoim pokoju sypialnym, szukając krzyża, coby ją obronił, szukając jakiego wizerunku, którego świętość stanęłaby na straży jéj serca i zasłoniła ją od téj władzy, w któréj się nagle ujrzała. Ale gdziekolwiek rzuciła okiem, wszędzie spotykała tylko ziemię i jéj uciechy. Tu Io wieńczyła rogi byka, tam Danae broniła się od złotego deszczu, tam Leda bawiła się z łabędziem, ówdzie stał Bachus uśmiechający się i piękny, tam Bachantki, trzymające świeczniki, podwajały prześliczne formy swego ciała w ogromnéj szybie zwierciadła. Wszystkie te postacie zdawały się spędzać z jéj ust słowa modlitwy, w których chciała szukać ulgi i ratunku. Stojąc więc na środku tego ustronia rozkoszy i zbytku, a nie widząc nic, gdzieby się przygarnąć i utulić mogła, załamała ręce i podniosła oczy w górę. Ale tam znowu spostrzegła tylko siebie w wyobrażeniu Dyany, przypatrującéj się śpiącemu kochankowi, i obraz cudnego młodzieńca stanął w jéj myśli z całym powabem, miłość z tym rajem, jaki obiecuje, zalała

jéj młode i pełne życia piersi; odezwały się chęci, które chwila trwogi potłumiła, a dobre intencye, obrazami szczęścia ziemskiego odwiane, odlatywały z jéj serca. Uciekła więc na ganek między kwiaty i krzewy, które go zdobiły, spojrzała na ogród rozległy, zacieniony ogromnemi drzewami, pociągający rozkoszną zielonością, i odświeżona powietrzem, którém zdrowiéj jakoś pierś jéj odetchnęła, wspomniawszy na tę piękną i niewinną Salunię, która tak ogródek swój kochała, wspomniawszy, że Gabryel równie prosty, równie niewinny jak ona, ma także przy sobie anioła, który go strzeże, zawołała mimowolnie: pokocham cię, Gabryelu, miłością czystą i świętą, i ty wyratujesz mnie, jak ona tamtego wyratowała.

Lżéj się jéj zrobiło, gdy takie postanowienie weszło do jéj duszy; uczuła się bezpieczniejszą, i odtąd obraz Gabryela, który jéj nie odstępował, rodził w niéj tylko słodką skłonność i rozrzewnienie, które ją w jéj własnych oczach podnosiło. Taki był stan jéj myśli i serca w pierwszych chwilach po tym ważnym w życiu jéj wypadku. Stopniami oswajając się ze swojém położeniem, przywołała właściwą sobie energią, i uważając się już niejako za narzeczoną Gabryela, któremu w duszy poślubiła miłość i wiarę, postanowiła stać się godną opieki tego boskiego stróża, który nad nim czuwał, a swojemi obyczajami, całém swém postępowaniem i życiem sparaliżować zamysły potępieńca, którego już nie mogła uważać za fikcyą poetyczną, którego widziała na własne oczy, który zatém rzeczywiście był, i chciał ją użyć za narzędzie do zgubienia niewinnéj i czystéj duszy młodzieńca.

Mimo to jednak, pusto i straszno zrobiło się jéj w domu. Gdy się więc pogrzeb męża skończył, urządziwszy

interesa, przekonawszy pana Strzembskiego, swojego rządcę, którego już cokolwiek znamy z opisów jego imiennika, że pomimo długów, dochód powinien być daleko znaczniejszy niż jest, że go zna lepiéj niż się spodziewał, poleciwszy mu sumienniejsze gospodarowanie, pogroziwszy, że za najmniejszém uchybieniem lub oznaką złéj wiary, straci miejsce i do rachunków powołanym zostanie, zabrała fundusze, jakie zebrać się dały, i wyjechała do Lwowa. Już tam przybycie jéj uprzedziła wieść o śmierci hrabiego Tumierskiego. Rozmaite plotki, jak najmiłosierniéj utkane, rzucały winę jéj na Helenę, i szarpały ją pobożnie i z westchnieniem. To jednak nie przeszkodziło starym i młodym utracyuszom, myśliwym na bogate żony, łakomym wszelkiego nabytku bez pracy i mozołu, dowiadywać się, w jakim téż stanie został ogromny niegdyś majątek nieboszczyka. Wiedzieli wszyscy, że jego nieład i zbytki żony okrutną w nim zrobiły szczerbę; ale że majątek i wady drugich zawsze się wydają ludziom większe, niż są, sądzili, że i to co pozostało jest jeszcze znaczną fortuną i nabytkiem korzystnym, zwłaszcza przy tak małéj fatydze, jaką jest podanie ręki ładnéj i młodéj kobiecie, i zaprowadzenie jéj przed ołtarz. I ten więc i ów zaczął się dowiadywać o głównych zmarłego kredytorów, zaczął szperać po aktach i odwiedzać adwokatów i plenipotentów hrabiego. Z tych wszystkich poszukiwań pokazało się, że cały majątek nieboszczyka, po przyciśnieniu zręcznem i prawném niesumiennych wierzycieli i odtargowaniu większéj liczby lichwiarskich procentów, wyniesie jeszcze w dobrach, w bogatych ozdobach Dusanowa, tudzież Lwowskiego pomieszkania i domu hrabiny, około pięciu milionów. Wieść ta gruchnęła prędko po mieście, a że

wiedziano także, że Helena odziedziczyła cały ten spadek, wyglądano więc z niecierpliwością jéj przybycia.

— Otworzy dom i używać będzie za wszystkie czasy — mówiła jedna z jéj przyjaciółek.

— A żałoba?

— Co ona tam zważać będzie na żałobę? taka kokietka, taka rozkosznisia! Obaczysz, jakie to będą stroje, te żałobne suknie. A cudnież jéj będzie w czarném!

— Hrabia Artur zainstaluje się teraz formalnie.

— Gdzie tam, prędzéj pułkownik Szmit.

— Lepiéj powiedz Staś, ten cudny dzieciak, któryby mógł dać lekcyą starym. Ale czegoż ty, moja duszo, czerwienisz się i wzdychasz?

— Bynajmniéj. Żal mi tylko téj biednéj Heleny. Taka młoda, taka piękna, a taka nieuważna. Skompromituje się niezawodnie.

— Niezawodnie, tego jestem pewna, obaczysz — zakonkludowała przyjaciółka.

Takie i tym podobne były rozmowy pomiędzy paniami wysokiego Lwowskiego towarzystwa, na kilka dni przed przybyciem hrabiny. Przyjechała wreszcie, rozlokowała się w swoim domu, ale go nie otworzyła. Owszem, przyzywając tylko kiedy niekiedy adwokata i plenipotenta, z nimi konferowała, nie pokazując się więcéj nikomu.

— Zbrzydła niewątpliwie — rzekła znowu ta sama przyjaciółka.

— To być bardzo może — odpowiedziała druga, i nachyliwszy się do ucha pierwszéj dodała: — domysły o powodach śmierci męża muszą być prawdziwe. Wstydzi się.

— Głupia! przy takim majątku! — mówiła pierwsza, i nie dowierzając, aby przy takim majątku, mogła się wstydzić kobieta, że, jak wieść niosła, stała się powodem śmierci starego męża, dodała: — Nie, nie! nie dla tego ona się zamyka i nie pokazuje w świecie. Jest w tém coś innego.

I daléj-że i jedna i druga na wzwiady po mieście, na łowienie pogłosek, z których wkrótce najpotworniejsza utworzyła się banialuka. Wszystko to tak zaostrzyło ciekawość pań i panów, których zamożna wówczas stolica królestw Galicyi i Lodomeryi była pełna, że drzwi przedpokoju Heleny nie zamykały się, i lokaj jéj tak przywykł do jednéj i téjże saméj odpowiedzi, że przez sen nawet powtarzał: — Pani hrabina przeprasza, że chora.

Nareszcie Helena, sprzykrzywszy sobie to natręctwo, i widząc, że się trudno daléj wymawiać i udawać pustelnicę, bez ściągnienia na siebie podejrzeń o jakieś tajemne związki, których właśnie uniknąć chciała, zaczęła przyjmować poważniejsze damy i wizytę im oddała. Zdziwiły się, znając zwłaszcza dawniejszą jéj kokieteryą, jéj zamiłowanie zbytków i wykwintów w ubraniu, znalazłszy ją w prawdziwéj żałobie, nieprzesadzonéj wprawdzie, ale skromnéj; znalazłszy w jéj ułożeniu powagę, na czole zamyślenie i jakby rzeczywisty i nieudany smutek, a w każdém jéj słowie rozum, naturalność i zupełny brak pretensyi i chęci przypodobania się.

— *Comme elle est bien, cette femme* — mówiła jedna.

— *Délicieuse* — odpowiedziała druga, dodawszy po chwili niby od niechcenia — *cette bonne Hélène,* jak ona troskliwie wypytywała się o mego Henryka. Napisałam téż już do niego do Wiednia, żeby tam wszystko porzucił

i przyjechał. Ale sądziłam, że więcéj daleko nadszarpali majątku, niż się pokazało.

— Czy to rzecz pewna — zapytała pierwsza — że ma jeszcze około pięciu milionów?

— Ale najpewniejsza — odpowiedziała druga.

Rozstały się przyjaciółki uściskawszy się serdecznie i pierwsza, skoro się ujrzała w swoim pokoju, napisała także list do swego syna, aby natychmiast przyjeżdżał, że ma dla niego doskonałą partyą. Expedycya ta co prędzéj wyprawioną została sztafetą na wieś, gdzie jedynak bawił się polowaniem, jako człowiek, który był w Anglii i wiedział o tém, że żaden lord w jesieni nie siedzi w Londynie.

Takich projektów ze strony matek dla synów, ze strony ciotek dla siostrzeńców, ze strony babek dla wnuków, było więcéj, skoro wszystkie postrzegły niespodzianą zmianę w obyczajach i postępowaniu Heleny, i skoro przekonały się, co było jeszcze mniéj spodziewaném, że majątek jéj do pięciu milionów wynosi. O wyżéj wspomnionych kawalerach i wdowcach, których kwerenda przyczyniła się najwięcéj do tych wszystkich zabiegów około tak powabnéj wdówki, nie ma już co i mówić. Otoczyli oni ją najtroskliwszém nadskakiwaniem. Gdzie się pokazała, byli przy niéj, — spojrzała na prawo, już jakiś aspirant zgadł czego sobie życzy, — rzuciła okiem na lewo, już tam był drugi, który domyślnością pierwszego wyprzedzał. Gdy wychodziła z domu, zawsze znalazł się ktoś, co jéj podał rękę; gdy wracała, znowu był ktoś, co otworzył karetę i wprowadził na schody. Nie dziwiło jéj to bynajmniéj. Jako kobieta znająca świat, rozumna i przenikliwa, widziała dobrze cel tych wszystkich zabie-

gów, i choć od owéj lektury i wizyty, jaką przy końcu jéj odebrała, śmiech zginął prawie z jéj serca i z ust jéj uciekł, uśmiechała się niekiedy widocznie i jakby z urąganiem, patrząc na te daremne hołdy mężczyzn, a nadewszystko słuchając panegiryków, które jéj matki i babunie prawiły. Trwało to czas niejaki. Ale gdy nie zmieniała w niczém swojego sposobu postępowania, zachowując ciągłą, chociaż nieprzesadzoną powagę, okazując wszystkim grzeczność, ale surową, poważną, pozbawioną wszelkiéj chęci podobania się temu lub owemu, przyprowadziła wszystkich do tego, iż widząc, jak daremnemi są nadskakiwania, dali za wygraną i powoli odstępować jéj zaczęli. Tym sposobem po trzech czy czterech tygodniach pobytu we Lwowie, piękna, rozumna i bogata Helena, że nie miała otwartych salonów, nie dawała wieczorów i obiadów, nie stroiła się, nie kokietowała, nie bawiła się sama, nie bawiła drugich, a nadewszystko, że nie podawała żadnéj nadziei matkom i ciotkom, że ją złapią dla synów lub siostrzeńców, — podszarzanym utracyuszom, że utargują jéj dziedzictwo, — młodym rozpustnikom, że znajdą łatwy przystęp i powabną intrygę, wkrótce opuszczoną i zapomnianą została. Stare tylko i doświadczone komeraźnice nie spuściły jéj z oka, i na konferencyach swych zadecydowały, że owa melancholia w takiéj kobiecie nie jest bez przyczyny, że takie postępowanie w tak pięknéj i młodéj wdowie, zwłaszcza po mężu starym i niedołężnym, jest nienaturalne, że zatém musi być jakiś pocieszyciel na wsi, za którym tęskni, którego na niejaki czas tylko dla przyzwoitości i zderutowania opinii opuściła, ale że wkrótce do niego pośpieszy. Aż klasnęły w ręce z radości, i serdeczniéj się

uścisnęły, zebrawszy się jednego dnia, gdy się pokazało, że niby zgadły, że wszystko jest co do joty tak, jak przewidziały: bo jakżeby się one w téj mierze omylić mogły!

Rzeczywiście pokazało się, że Helena, ni ztąd ni z owąd, ze Lwowa wyjechała. Znudzona pobytem, który nie dał jéj ani rozrywki, ani ulgi; wzgardziwszy oznakami przychylności i zabiegami, które dyktował interes, jak równie odstępstwem towarzystwa, które ją zaniedbało dla tego, że nie odpowiedziała jego widokom; straciwszy swobodę myśli; pragnąc i nie wiedząc jak się zbliżyć do Gabryela, a nie mogąc zbyć z głowy obrazu potępieńca, który jak zmora jaka w czuwaniu i we snach ją prześladował — wyjechała, aby zmienić miejsce, aby skryć się przed sobą samą. Samotność zdawała się jéj lepszém lekarstwem, niż widok twarzy ludzkich, ciekawych, badających, szperających w jéj sercu, którego okropną tajemnicą z nikim podzielić się nie mogła. Myślała więc długo, dokądby się udać; ale jak człowiek stojący nad przepaścią, gdy się wpatrzy w jéj głębią, poczuwa jakiś niezwyciężony powab, który go do niéj ciągnie, tak i Helena zatęskniła za tém miejscem, gdzie ją czekać mogła zguba, i powróciła do domu, aby być bliżéj Firlejowa.

Po kilkunastu dniach pobytu swego w Du anowie odebrała następującą karteczkę: „Wdzięczny pani jestem, „żeś powróciła, mam jednak ważny powód żądać i żądać „stanowczo, abyś zamieszkała na niejaki czas we wsi swo- „jéj Mylnéj, gdzie pani masz znaną sobie i miłą rezyden- „cyą, a zwłaszcza piękny i obszerny ogród, który w sa- „motném jeszcze życiu pani, i przy tak pięknéj porze, „stanie się pożądaną rozrywką.“ T.

Wstrzęsła się i pobladła Helena, przeczytawszy te

słowa, i upuściwszy fatalny bilecik, załamała ręce i padła na krzesło, ciężkiemi przybita myślami. Rzeczywiście znała ona to miejsce: tam się prawie wychowała, tam grzeszyła jéj matka, tam ci, co mieli czuwać nad jéj sercem i kierować jéj krokami, otaczali jéj młodość złemi przykłady i prowadzili do złego, i teraz, w takiém położeniu, kiedy serce jéj skłaniało się do czystéj i świętéj miłości, miałaby się tam zamknąć sama, aby wszystkie te wspomnienia opadły ją, dokończając niejako dzieła, którego żywe czyny nie dokonały. Wstrzęsła się biedna na ten obraz, i szlachetne postanowienie oparcia się złemu powstało w jéj duszy. Ale bunt ten jéj serca i myśli był krótki. Podjąwszy jeszcze raz odrzuconą karteczkę, spostrzegła tam dopisek, którego nie widziała i którego rzeczywiście nie było. Zamykał on te słowa: „Wahasz się „Heleno, i chcesz się oprzéć mojemu życzeniu? Po „cóżeś mnie szukała? Już nie czas. Mogłabyś nie oba„czyć go więcéj. T.“

Przestraszona nagłém zjawieniem tych słów zagrażających, przekonana teraz, że ją niepojętą władzą swą otacza, i każde poruszenie jéj myśli widzi i słyszy, szemrząc na ciężki przymus, nieszczęśliwa i prawie złorzecząca życiu, wykonała rozkaz.

Takim to sposobem Helena znalazła się w pałacyku, który zgorzał, i wpadła w ręce kochanka, którego przybycie było zapewne przewidzianém, i który na to widać zbłądził w lesie, aby daléj jeszcze błądził w życiu, aby się coraz zbliżał do téj przepaści, którą fatalność jakaś otworzyła przed jego nogami. Wiodła go ona do zguby zwolna, ale stanowczo, mimo szlachetnéj natury, którą wziął z matki, mimo przykładu ojca, który błądził także, ale

wrócił do prostoty i pracy, co go ocaliły, mimo zasług i świętości wuja, który go osłaniał i bronił radą i modlitwą, a jednak nie mógł przeszkodzić, aby się przeznaczenie jego spełniło. Gorzkie sobie czynił wyrzuty ks. Pilecki, i gdy nazajutrz zeszło słońce pięknie i jasno, gdy oświeciło dymiącą się jeszcze ruinę, i przypomniało mu żywiéj cały wczorajszy wypadek, gdy się ujrzał samotnym, pozbawionym owocu długiéj swéj pracy i usiłowań, gdy przypomniał, że mu przyjdzie stanąć bez Gabryela przed siostrą i Agatą, i na krzyk ich rozpaczy odpowiedzieć: nie ma go, zgubiony! takim przejął się bólem, tak upadł na duchu, że usiadłszy w kącie izby pustéj jeszcze i cichéj, parę godzin jakby w odrętwieniu przepędził.

W takim stanie znalazł go pan Strzembski, który został był jeszcze przy pożarze, tam się krzątał, dysponował i klnąc pana komisarza i przypisując mu całe nieszczęście, zabrał do siebie cały dwór hrabiny, i pocieszał jak mógł, szczególniéj garderobiany, które wszystkie swoje stroje i elegancye potraciły i ledwie z duszą uciekły. Gdy cała ta zgraja, płacząca i narzekająca, rozprawiała w izbie gospodarza, z jakiéj przyczyny, jakim sposobem tak wielkie nieszczęście i tak prędko stać się mogło? gdy niektórzy ze sług pobiegli na wieś i na folwark dla dostania furmanek, któreby ich do Dusanowa odwiozły, gdzie zapewne pani ich schroniła się, pan Strzembski wyszedł do pierwszéj izby, i spostrzegłszy tam swego gościa, splunął najprzód, gniewając się sam na siebie, że o nim zapomniał, potém przystąpił i rzekł:

— Już niech ksiądz dobrodziéj daruje, że mi wyszło z głowy, iż ksiądz dobrodziéj tu, i może czego potrzebować. Ale w takiém nieszczęściu to trudno, jakem szlach-

cic. Gdyby ta bestya była mnie posłuchała, tego wszystkiego nie byłoby. Ale co jemu gadać! on tylko o sobie myśli. Oj! będzie się on jednak miał z pyszna za takie niedbalstwo. Tażto, gdyby nie ten śmiały panicz, co z księdzem dobrodziejem przyjechał, i panią z ognia wyniósł, byłaby się spaliła na węgiel. Bo to delikatne i zepsute, samoby się ratować nie potrafiło, i myślałoby, że i pożar powinien być grzecznym i zaczekać, aż się ustroi i aż kto przyjdzie pomagać. Tymczasem gdzie u djabła tam było komu w głowie o kim inszym myśléć, kiedy sam ledwie z duszą mógł uciec? Tylko ten poczciwy panicz przypomniał sobie: nu! ależ śmiały i silny, jakem szlachcic, wart, żeby mu pięknie podziękowała.

Słuchał tych wszystkich pochwał ks. Pilecki z milczeniem i wyrazem twarzy, w którym odmalowała się cała jego boleść. Widząc to pan Strzembski, tak daléj mówił:

— Ale czegoż to ksiądz dobrodziéj taki zmartwiony? Paniczowi temu nic się nie stanie. Odwiezie zapewne panią hrabinę do Dusanowa, i z dobrym podarunkiem nazad powróci. Ztąd tylko trzy mile do pałacu pani, gdzie zawsze mieszka. A ona wspaniała i umié podziękować, kiedy jéj kto taką zrobi przysługę. Taż to ten młody człowiek uratował jéj życie. A to czegoś warte. Ot, żeby go komisarzem swoim zrobiła, na miejscu tego szelmy...

— Jak się ta pani nazywa? — przerwał ks. Pilecki, powstając, i jakby ożywiony postanowieniem, które chciał natychmiast wykonać.

— Czyż to ksiądz dobrodziéj nie wié, czyje są dobra Dusanowskie? To jest panie dobrodzieju hrabina Tu-

mierska, urodzona z Włoszki, która tutaj właśnie z nieboszczykiem mieszkała. A co wyrabiali, to sam Pan Bóg wié. Koniec końców, że matka ustąpiła córce, i hrabianka Helena została żoną nieboszczyka, naszego hrabiego Janusza. Patrzałem ja na to, jakem szlachcic, bo tu już od dwunastu lat siedzę na téj karczmie, która dawniéj przynosiła więcéj, jak tu bywało dużo gości, a potém została pustką, jak to ksiądz dobrodziéj widzi. To téż dopominałem się, żeby mi zmniejszyli arendę. Ale co z tym niegodziwcem gadać? choć to mój imiennik.

— Helena! Helena! — powtarzał ks. Pilecki, jakby co przypominając, i nie słuchał już użaleń pana Strzembskiego, które się zawsze kończyły na jego imienniku, tak go widać serdecznie nienawidził. — Panie Strzembski — dodał po chwili ks. Pilecki, i pokazując mu miniaturę — czy widziałeś kiedy z blizka tę panią?

— Czym ją widział z blizka? — zawołał szlachcic, uśmiechając się do portretu i przechylając głowę. — Toć ją znam, jak swoje pięć palców, toć to żywy obraz naszéj pani, jakby jéj z oka wyjęty. Ot tak i wczoraj uśmiechała się, jak chodziła na spacer i ja gadałem jéj, jak ten huncwot komisarz ją okpiewa.

Nie słyszał i téj nowéj inwektywy ks. Pilecki. Wziąwszy prędko pudełko z rąk pana Strzembskiego, zamknął je, schował drżąc cały, i usiadłszy, wsparł głowę na ręku i namyślał się widać, co począć. Po chwili powstał znowu, przeszedł się parę razy po izbie, i zwracając się do gospodarza, rzekł prędko:

— Panie Strzembski! każ mi zaprzęgać konie i powiedz co się należy.

— Niewiele, niewiele, księże dobrodzieju — odpowie-

dział gospodarz, patrząc ciekawie na staruszka i chcąc go zapytać, zkąd dostał takiemi perłami obsypany portret pani. — Możeby choć piwa zgrzać księdzu dobrodziejowi; z rana trzeba się ogrzać.

— Dziękuję — odpowiedział ks. Pilecki i poszedł sam ku drzwiom, widząc, że pan Strzembski chce gadać, ale rozkazu jego wypełnić nie myśli. Nim konie zaprzężono, nim rachunek dość spory zapłaconym został, zaczepiał jeszcze gościa swego gospodarz, którego paliła ciekawość, i któremu przybycie jego z pięknym młodzieńcem, odjazd tegoż młodzieńca w karecie pani, i jéj portret w ręku księdza, różne podawały suppozycye. Ale ks. Pilecki, dowiedziawszy się tylko, którędy droga do Dusanowa, na nic już nie odpowiadał, tylko ułożenie rzeczy i wyjazd swój przyśpieszał. Przed południem stanął w rezydencyi hrabiów Tumierskich. Już tam wiedziano o nieszczęściu, które się zdarzyło w Mylnéj, już widać było w austeryi i w pałacu ruch i bieganinę, jakie zwykle niespodziewany przyjazd państwa sprawia we dworze. Dowiedział się więc ks. Pilecki, że pani o świcie przyjechała przeziębnięta i ledwo żywa, że teraz śpi i podobno chora, że dziś trudno się będzie z nią obaczyć, i z jakim interesem do niéj przystąpić. Nie zważając na te przestrogi, gotował się pójść do pałacu i upomnieć się o skarb swój najdroższy. Ale jakież było jego podziwienie i boleść, gdy rozpytując się przybywających ztamtąd ludzi, dowiedział się także, że pani przyjechała sama jedna, że nikogo z nią nie było w karecie, że nawet panna Karlina, która jéj nigdy nie odstępuje, gdzieś została w Mylnéj, a może i spaliła się. Nie mógł zatrwożony starzec pojąć, co to znaczy, gdzie się Gabryel podział; a powtarzając zapytania to temu, to

owemu, i odbierając od każdego tęż samą odpowiedź, tém boleśniéj się przeraził, i tém śpieszniéj pragnął stanąć przed samą panią, aby od niéj jakąś pewniejszą powziąć wiadomość, i powagą swojego powołania, potęgą swojego żalu, wymódz na niéj przyznanie prawdy.

Gdy stanął w sieni pałacu, zdumiał go zbytek i przepych, ale go nie zastraszył bynajmniéj. Chociaż siedzący tam lokaj nie powstał nawet z miejsca przed starcem i kapłanem, nie uważał tego ks. Pilecki za upokorzenie, ale westchnąwszy nad grzeszną pychą panów naszych, odbijającą się w głupiéj dumie ich służących, z powagą zażądał, aby go do pani zaprowadzono.

— Pani śpi — odpowiedział galonowany, i patrząc w okno poświstywać zaczął.

— Mój kochany — rzekł ks. Pilecki łagodnie — ja mam interes pilny i ważny, który równie twoją panią, jak i mnie obchodzi.

— A mnie co do tego — odpowiedział lokaj — to niech ksiądz zaczeka. Ja nie mogę wejść, póki nie zadzwonią.

Szczęściem w téj chwili dał się słyszéć dzwonek, i lokaj pobiegł na górę. Po niejakim czasie wrócił i rzuciwszy księdzu niedbałe: — zaraz, — znowu stanął w oknie i poświstywać zaczął. To *zaraz* trwało z kwadrans, który gdy minął, pokazał się jakiś, widno starszy lokaj, we fraku i bez galonów. Ten zapytał ks. Pileckiego: kto jest? i czego żąda?

— Widzisz kochanku, żem kapłan, nazywam się Pilecki i jestem proboszczem w Haliczu. Mam ważny interes do pani, i pragnę z nią mówić.

— Zaraz — odpowiedział numer drugi lokajskiéj go-

dności i poszedł na piętro, a biedny starzec ze zbolałém i śmiertelną trwogą przejętém sercem, znowu musiał czekać. Nareszcie po kwadransie zjawił się ten sam introduktor i wezwał ks. Pileckiego na górę. Tam, minąwszy pierwszą i drugą salę, weszli do niewielkiego salonu, którego bogactwo i zbytek olśniły oczy starca.

— Pani zaraz wyjdzie, i prosi, żeby ksiądz proboszcz chwilkę zaczekał. — To powiedziawszy poszedł, i chwilka ta trwała więcéj niż półgodziny. Długim bowiem jest i wymagającym wielkiéj cierpliwości ze strony ubogiego, ten pański ceremoniał. Przodkowie nasi nie znali go. Przyszedł on do nas wraz z obcemi obyczajami i ślepém zamiłowaniem wszystkiego, co cudze. Przesadziliśmy w nim naturalnie, jak zwykle we wszystkiém przesadzają dorobkowicze, małpujący maniery i formy pańskie. Panowie bowiem nasi zeszłego wieku odegrali zupełnie rolę dorobkowiczów względem arystokracyi francuzkiéj, którą zbyt wiernie kopiować usiłowali; a ich potomstwo przejąwszy wraz z innemi wadami i tę wadę ojcowską, mimo zmiany czasów i wyobrażeń, wyleczyć się z niéj przecież nie daje.

Skończyła się wreszcie i ta chwila oczekiwania, drzwi się cicho otwarły i weszła Helena. Twarz jéj miała wyraz powagi i uprzejmości; była cudnie piękna, choć blada i niezmiernie znękana. Czarno i skromnie ubrana, całém ułożeniem okazywała ona tę łatwość i pewność siebie, jaką tylko mają kobiety przywykłe do obcowania w wyższém towarzystwie, i dla których salon jest warsztatem, a przyjmowanie w nim rzemiosłem.

Siadając i ukazując miejsce starcowi, który ją mierzył okiem i powstał, rzekła:

— Wszak ksiądz Pilecki?

— Tak się nazywam — odpowiedział marszcząc czoło i wpatrując się w jéj twarz, na któréj żadnego zawstydzenia, żadnego zmieszania nie dostrzegł.

— Nazwisko to nie jest mi obce — mówiła daléj, czerwieniąc się lekko — ksiądz Pilecki mieszka podobno w Haliczu. Ale jakiż powód sprowadza go do mnie?

— Jeżeli pani wiész, kto jestem — odpowiedział z powagą — to musisz także dobrze wiedzieć, po co tu przyszedłem.

— Przeszłam téj nocy — rzekła Helena — przez nieszczęście tak wielkie i tak niespodziewane, byłam tak blizką utraty życia, że doprawdy nie mogę zebrać myśli i do zgadywania jestem zupełnie nieusposobioną. Nie domyślę się więc, po co pan tu jesteś i dla czego takim tonem do mnie przemawiasz.

— Dla tego — odpowiedział — żem téj nocy przeszedł także przez największe nieszczęście, jakiego człowiek doznać może na ziemi, żem stracił to, co mi było najdroższém, żem wziął skarb matce i zgubił go, że bez tego dobra, które mi dziś zginęło, ztąd nie wyjdę i do domu wrócić nie mogę.

— *Je ne vous comprends pas, monsieur* — rzekła Helena tonem obrazy.

— Ja po francuzku nie umiem — odpowiedział starzec z żalem, i trzymając w ręku jéj list i pudełko z miniaturą, powstał i dodał — dla tego zwracam pani to pismo, którém chciałaś zapewne odurzyć mego siostrzeńca. Zwracam je pani nieczytane i bez skutku, jakiegoś się spodziewała; bo język, któregoś użyła, obcy nam obu. Oddaję pani także ten podarunek, który był w jego ręku,

i zostawił może zgubny ślad w jego sercu i myśli. Weź to pani napowrót i zawstydź się, jeżeli jeszcze możesz się wstydzić. Przebaczę pani złe, któreś zrządziła, jeżeli w zamian za to, co nam już niepotrzebne, oddasz mi tego nieszczęśliwego młodzieńca, który panią dzisiejszéj nocy z ognia wyniósł i któregoś uwiozła z sobą.

— Księże Pilecki — rzekła Helena spokojnie i powstrzymując wzruszenia, których doznawała — szanuję twój wiek i tę boleść, jaką widzę w twojéj twarzy, dla tego odpowiem ci na to tak, jakbym komu innemu wcale nie odpowiedziała. Siostrzeńca twego widziałam raz jeden i przyznaję, że mnie zajął, że opanował moje myśli, i wówczas, kiedym mu ten wizerunek przesłała, były może w mojém sercu grzeszne chęci, za które ciężko już ukaraną zostałam. Odtąd zmieniło się moje położenie. Jestem wolna, donoszę mu właśnie o tém w tym liście, który mi zginął z mego stolika, i nie wiem jakim sposobem dostał się do rąk waszych, ale gdyby był zrozumianym, wystawiłby mnie w inném świetle, i możeby mi oszczędził tych przykrych wymówek, których od kogo innego nie zniosłabym pewnie, i które dziwnie brzmią w uszach kobiety, zajmującéj na świecie taki stopień, jaki ja zajmuję. Nie widzę więc, dla czegobym się wstydzić miała uczuć moich, kiedy chęci moje dla młodego człowieka, którego serce moje pokochało, miały na celu tylko jego szczęście i wyniesienie. O tém więc nie mam już co więcéj mówić — dodała, odsuwając na bok list i miniaturę — ale powiadasz księże Pilecki, że on mnie dzisiejszéj nocy wyratował z ognia? Więc to nie był sen, nie było przywidzenie? Ja przecież tak sądziłam, bo jest w mojém życiu okoliczność okropna, któréj nie śmiem

ci objawić, a która kazała mi mniemać, że mnie oczy złudziły, tak jak już raz podobnego doznałam złudzenia. Przytém byłam tak przestraszona, tak nieprzytomna sobie, że z wypadku tego zdać sobie sprawy nie mogę. Pomóż mi w tém księże Pilecki. Szczęśliwą będę doprawdy, jeżelim jemu winna życie i ocalenie. Więc to był w rzeczy saméj Gabryel? Gdzież on?

— Gdzie on? — zawołał ks. Pilecki powstając. — Ja właśnie zapytuję panią, gdzie jest ten Gabryel, któregoś wydarła mnie i nieszczęśliwéj matce jego? Bo to był on z duszą i ciałem, on który téjże nocy, wraz ze mną zabłądziwszy w lesie, do wsi pani przybył, który pierwszy pożar postrzegł, rzucił się na ratunek pani, wyniósł cię na rękach, do powozu wraz z panią usiadł, i razem z tobą pędem niezwykłym uniesionym został. Dziwny to, nadzwyczajny wypadek. Ale to dziwniejsze, że tak niewyraźnie utkwił w pamięci pani; że uważasz za przywidzenie, żeś była na jego rękach wśród płomienia i dymu, że omdlenie pani, jeżeli rzeczywiście miało miejsce, było tak silne i długie, żeś przybyła aż tu o kilka mil, i nie wiész gdzie ci się podział z powozu, gdzieście byli we dwoje. Kobieto! — dodał z żalem i mocą — jesteś zręczna, to widzę, przywykłaś udawać na tym wielkim świecie, gdzie cię los postawił i dał ci wszystko co do szczęścia ziemskiego potrzeba. Ale nie zapominaj, że przed tobą stoi starzec w rozpaczy, z którego białych włosów nie godzi się urągać.

— Księże Pilecki! — zawołała wówczas Helena, porwawszy się z miejsca i przystępując do starca, który upadł na krzesło i zakrył twarz obiema rękoma. — Przestraszasz mnie. Więc doprawdy Gabryela nie ma? Kie-

dym się ocknęła z omdlenia, drżąca i przeziębła, byłam sama w karecie, sama jedna, klnę się tém wszystkiém, co uważasz za święte. Ale czy jesteś pewny, że wyszedł z pożaru, że wsiadł ze mną do powozu?

— Widziałem go na własne oczy, skazane na to, aby zgubę jego opłakiwały — odpowiedział starzec, załamując ręce.

— O! nie tylko ty sam opłakiwałbyś jego zgubę — rzekła Helena drżąc i chwytając rękę ks. Pileckiego, który na jéj wzruszenie z podziwieniem patrzéć zaczął. — On mi równie drogi, jak i wam. Jabym go kochała za was wszystkich, kochałabym go silną, świętą miłością, gdyby niebo nie było się mnie wyrzekło, gdyby mnie nie było oddało w takie ręce... Ale stój, księże Pilecki! teraz przychodzi mi wszystko na myśl, teraz wiem, czyja to sprawa... i to wasze zbłąkanie w lesie, i ten pożar, i to porwanie Gabryela. Znajdziemy go, bądź pewny, wyratujemy go; ale stań przy mnie, nie odstępuj mnie — potém obejrzawszy się w około i tuląc do ust rękę zdumionego starca, dodała przerażona: — Teraz widzę, że Bóg się nade mną zmiłował i zesłał mi ciebie. Twoja święta postać, twój wiek, twoje powołanie mówią mi wyraźnie, com uczynić powinna. Tobie powiem wszystko, i niech ta spowiedź mego serca wybawi razem...

W téjże chwili drzwi od bocznéj sali otwarły się i zatrzasnęły się napowrót z takim hukiem, jak gdyby piorun uderzył. Wszystkie okna zadzwoniły, ks. Pilecki wstrząsł się i przeżegnał, a Helena odskoczywszy z przerażeniem, zwrócona ku drzwiom, z których nikt nie wyszedł, stała tak w osłupieniu. Wyprowadził ją z tego odrętwienia

służący, który wszedł, nim jeszcze myśli zebrać mogła i odzyskać mowę, i oddał jéj list zapieczętowany.

— Jakiś pan był tylko co konno na dziedzińcu, i kazał to pani natychmiast oddać — doniósł sługa.

— Idź sobie — rzekła Helena rzuciwszy okiem na adres, i prędko rozpieczętowała. W bilecie były te słowa: „Niebaczna! widzę cię i słyszę. Jeżeli jeszcze słowo powiész, Gabryel zginie.“ T.

— O ja nieszczęśliwa! — krzyknęła Helena i padła na sofę drżąca i jak trup blada.

Ks. Pilecki przystąpił do niéj, i po chwili łagodząc jéj trwogę, rzekł:

— Co to się stało? Uspokój się pani! wezwij na pomoc Boga, który ci zesłał tak dobre natchnienie, i kończ, kończ coś mówić miała. Nie ma grzechu, któregoby szczery żal nie zgładził. Jesteś młoda, zostaje ci dużo czasu do pokuty, i kto wié, może jeszcze miłosierdzie nieba wróci ci pokój i da szczęście ziemi, dla któregoś była stworzona. Ale dla czegoż milczysz? cóż tak nagle zmieniło twoje myśli i chęci? Co się tu dzieje w tym domu, nad którym widać przekleństwo jakieś ciężyć? Czyś się dowiedziała, gdzie jest Gabryel? Czemuż nie mówisz?

— Nie mogę, nie mogę — odezwała się z jękiem Helena.

— Czy ten list — rzekł ks. Pilecki wyciągając rękę i chcąc wziąć fatalne pismo.

— Starcze! nie dotykaj się go, on cię zabije — krzyknęła biedna kobieta, i z konwulsyjnym ruchem podarła list na drobne kawałeczki. — Idź już sobie, idź, księże Pilecki, zostaw mnie memu losowi!

— A Gabryel! Gabryel! — wołał starzec łamiąc ręce.

— Nie pytaj mnie o nic, nie powiem ci ani słowa.

To wymówiwszy, podniosła się, szła przez pokój słaniając się, i gdy chciała uchwycić ręką klamkę drzwi, któréj ująć nie mogła, pochwiała się i padła przy progu bez zmysłów.

Dwa dni jeszcze ks. Pilecki siedział w Dusanowie. Kilka razy na dzień chodził do pałacu, prosząc o przystęp do Heleny. Ale drzwi były zamknięte i za każdą razą odpowiadano mu, że pani chora i widzieć się nie może. Próżno wypytywał służących, którzy się przy pożarze znajdowali. Niejeden widział, jak jakiś młody człowiek wyniósł panią z ognia, i wsiadł z nią do karety; wszyscy zeznawali, że kareta była hrabiny i jéj konie, ale kto nią zajechał, kto otworzył drzwiczki, kto powoził, tego nikt w zamieszaniu i trwodze nie uważał. Tylko pewna, że to nie był jéj stangret, który upiwszy się w wieczór, spał jak zabity, i ledwie na drugi dzień dobudzić się go zdołali. Te okoliczności strasznemi myślami napełniły głowę starca. Unosząc więc nieuleczoną boleść w sercu, i modląc się do Boga, aby mu pozwolił znieść widok siostry i duszę jéj na przyjęcie ciężkiéj wieści umocnił, wybrał się trzeciego dnia w drogę i wrócił do domu.

Nie będziemy opisywać boleści, jaka uderzyła serce takiéj matki, jak Apolonia, gdy przed nią stanął ks. Pilecki sam, bez Gabryela; gdy jéj opowiedział całe zdarzenie, i scenę z hrabiną powtórzył. Przez kilka dni życie jéj było na włosku: ale widać, że się nie wyczerpnęły jeszcze i wszystkie jéj klęski, i wszystkie pociechy, kiedy przeżyła te chwile i wytrzymała cios, jakim ją prze-

znaczenie uderzyło. Młodość i zdrowie ciała uratowały życie Agaty. Ale serce jéj pękło i rozum prysnął i rozstroił się pod tém uderzeniem, które za silnie dotknęło jego struny, zbyt mocno przez wygórowaną namiętność naciągnione. Ten jéj stan tak bolesny, a już przez Apolonią przewidziany, wyraził się tylko przez spokojne milczenie, przez krzątanie się około przygotowań do ślubu, przez nieustanne szycie sukienek, które cięła na niekształtne kawałki i znowu zszywała; przez znoszenie wszelkich chwastów, które zbierała nucąc cicho piosenkę, i potém plotła z nich wianek i co chwila go przymierzała. Wszyscy słudzy płakali, patrząc na tę cudną dziewczynę, tak niegdyś swobodną i wesołą, tak świeżą i rumianą, dziś zmienioną do niepoznania, dziś cichą wprawdzie, uśmiechającą się, śpiewającą czasem, ale uśmiechającą się tym śmiechem, który łzy wyciska, i śpiewającą tę pieśń gorzką, która się z głębokiego płaczu serca zrodziła.

XIX.

Dwa lata upłynęło od téj ciężkiéj chwili, któréj słaby obraz w poprzednich skreśliliśmy rozdziałach. Przez całe te dwa lata żadna wieść nie doszła o Gabryelu, i nie pocieszyła zbolałéj matki i znękanego starca. Gabryel przepadł, jak gdyby nie egzystował na ziemi, i niepodobna było trafić na ślad, jakim sposobem znikł i gdzie się obraca. Próżno ks. Pilecki pisał i posyłał; daremnie jeździł sam do Lwowa, badał znajomych, poznał się z jego kolegami, zapytywał, czy go który gdzie nie spotkał; daremnie ogłaszał zaginienie młodzieńca w gazetach, udawał

się nawet do rządowych poszukiwań. Wszystkie te starania były bez owocu, i nic odkryć nie mogły. Po upływie kilku miesięcy, sądząc, że może Helena, która zdawała się szczerze zajętą, odszukała go; że może natrafi znowu na szczęśliwy moment żalu i skruchy téj szczególnéj kobiety, i jeżeli go już nie odzyska, to przynajmniéj zaspokoi się, że żyje, pojechał do Dusanowa. Ale w pałacu hrabiny nie było nikogo, a ona sama zagranicą, dokąd przed dwoma miesiącami wyjechała. Powrócił więc starzec bez skutku i z téj wycieczki, i odtąd, zdawszy los swojego wychowańca na wolę Boga, szukał pociechy w modlitwie i w wypełnianiu jeszcze ściślejszém obowiązków swego powołania. Apolonia nie martwiła już brata zapytaniami, znosiła krzyż swój z pokorą i cierpliwością. Wynędzniała tylko, pochyliła się do ziemi, gdzie wkrótce spodziewała się znaléźć spokój i zupełne wytchnienie. Oczy jéj zapomniały płakać. Czasem tylko odzyskiwała łzy, gdy patrzyła na Agatę, dziwacznie w kawałki różnych sukienek ustrojoną, przybraną w wieniec z zeschłych liści i śpiewającą smutną piosneczkę, w oczekiwaniu, aż przyjdzie ta niedziela, na którą ślub jéj naznaczony.

Dopiéro trzeciego roku w Marcu odebrał ks. Pilecki ze Lwowa list następujący: „Wielmożny mości dobro-„dzieju! Nie pisałem dotąd, gdyż nie mogłem wielmożne-„mu panu dobrodziejowi żadnéj pocieszającéj przesłać „wiadomości. Dziś zdaje mi się, że jesteśmy na drodze „odkryć ważnych i stanowczych, i że zaginiony siostrze-„niec wielmożnego pana dobrodzieja zjawił się na świe-„cie, i zjawił się w postaci tak świetnéj i okazałéj, że ta „okoliczność daje mi cokolwiek powątpiewania, czy się „i sam nie łudzę, i czy wielmożnego pana dobrodzieja

„w błąd nie wprowadzam. Osądzisz to sam lepiéj, i je„żeli każesz, możemy o nim bliższych zasięgnąć wiado„mości. Mam kolegę i korrespondenta w Wiedniu, który „na miejscu rzecz całą sprawdzi, i ze szczegółami donie„sie. Tymczasem niech za skazówkę, jak postąpić wypa„dnie, służy, co tu przyłączam. Jest to wyjątek dosło„wnie tłómaczony z artykułu jednéj z gazet Wiedeńskich, „która z zabaw upłynionego karnawału corocznie zdaje „sprawę. Oczekując dalszych poleceń wielmożnego pana „dobrodzieja, mam honor być i t. d.“

Wyjątek z gazety brzmiał jak następuje:

„Do najświetniejszych balów, które w upłynionym „karnawale były ozdobą naszéj stolicy i punktem zebrania „najwyższego towarzystwa, należą całotygodniowe zaba„wy z tańcami, wydawane przez hrabiego Czarosz (Tscha„rosch), zamieszkującego jeden z najokazalszych pałaców „na Graben. Co tylko przepych, dostatek i gust najwy„kwintniejszy wymyślić mogą, wszystko to rozwijało się „co tydzień i w coraz nowych kształtach przed oczyma „zadziwionych gości, których uprzejmość, wysokie ukształ„cenie i pozycya socyalna gospodarza, oraz nieporównany „wdzięk i piękność gospodyni, w licznych ściągały tłu„mach. Wielki świat stolicy naszéj, jeżeli żałuje, że się „karnawał skończył, to najwięcéj dla tego, że się prze„rwały te świetne zabawy, których wszyscy oczekiwali „z niecierpliwością, a które każdy opuszczał z żalem. Mo„żemy wszakże tę wysoką i zasmuconą publiczność pocie„szyć. Z dobrych źródeł wiemy, że tygodniowe zgroma„dzenia u hrabiego Czarosza nie ustaną. Nie będzie „wprawdzie tańców, ale przemysł i dobra chęć gospoda„rzy, wsparte ogromnemi dostatkami, zapełnią tę lukę,

„jaką post nakazuje. Między innemi sposobami zajęcia „gości, najpierwsze miejsce trzymać będzie muzyka. We„zwani przez hrabiego i na jego koszt czterej najznako„mitsi artyści europejscy śpieszą już do Wiednia i w tych „dniach przybędą. Z łaski więc tego wspaniałego ma„gnata, oprócz koncertów w jego domu dawanych, bę„dziem miéć zapewne i publiczne. Kto tak używa fortu„ny, zasługuje na krótką wzmiankę. Hrabia Czarosz „jest mieszkańcem Galicyi, gdzie posiada ogromne dobra. „Pochodzi on ze znakomitéj i zasłużonéj w dawnych dzie„jach polskiéj rodziny. Jest młody, wysoko ukształcony „i bardzo uprzejmy i popularny. Młoda hrabina, pocho„dząca także z wysokiego rodu i z siebie niezmiernie bo„gata, należy dziś do najpiękniejszych kobiet w stolicy. „Mówimy to śmiało, bez bojaźni obrażenia skromności téj „rzadkiéj pary; całe miasto bowiem, dla którego ozdoby „niedawni ci małżonkowie opuścili Paryż, tak ich zna i tak „o nich mówi. Sądzimy zaś, że co jest odgłosem publicz„nym i co najmocniéj zgadza się z prawdą, to nam wolno „wydrukować.“

Zdumiał się ks. Pilecki, przeczytawszy to doniesienie, a kombinując wszystko, co wiedział i co sam widział, nie wątpił prawie, że ten wielki pan, który tak wspaniale rozrzuca za granicą polskie pieniądze, jest Gabryel. Przypomniawszy słowa hrabiny, w uniesieniu i żalu wymówione, wniósł, że musiała go odszukać, że jéj kosztem zapewne był w Paryżu, gdzie nabył owego „wysokiego ukształcenia“, że za nim bez wątpienia wyjechała z kraju, i tam oddawszy mu swą rękę i fortunę, przyuczyła do tego życia wystawy i zbytku, tak sprzecznego z jego pierwotném wychowaniem, i z jego dawniejszém usposobie-

niem i naturą. Zmartwił się głęboko szlachetny i prawy starzec, widząc, jak próżnym, jak pełnym pychy musi być jego wychowaniec, kiedy pozwolił, aby tak przesadzony i szumny artykuł o nim był wydrukowanym, kiedy zniósł, a może i sam poddał zapłaconemu redaktorowi, tych historycznych przodków i te ogromne dobra w Galicyi, które mu tam przyznane zostały. W tém bolesném wrażeniu, jakie na nim ta wiadomość sprawiła, to jedno było jego pociechą, że przynajmniéj połączony związkiem małżeńskim z kobietą, którą kocha, i od któréj kochany; że nadszarpawszy przez marnotrawstwo fortuny, opamięta się, wróci do kraju; a z biedy i konieczności wróci także do zasad umiarkowania i téj prostoty obyczajów, o których widać zupełnie zapomniał i których pogarda mogłaby go zgubić, tak jak tylu innych zgubiła.

Gdy Apolonia list ten przeczytała, złożyła ręce, podniosła oczy do nieba i rzekła:

— Przynajmniéj żyje! niech będą Bogu dzięki i za to!

— Żyje — odpowiedział smutno ks. Pilecki — ale zepsuty, ale wyrodzony, ale nie twój syn i nie mój wychowaniec.

— Sprowadzę go na dobrą drogę, jak wróci — zawołała matka, ufna w potęgę głosu, wychodzącego z téj piersi, co go wykarmiła.

— Biedna siostro! — rzekł, patrząc na nią z żalem, doświadczony kapłan — on się do ciebie nie przyzna, on się zawstydzi twojéj prostéj sukmany, on cię odepchnie od swego progu, przy którym pycha i próżność stoją na straży, i examinują suknie i pargaminy przychodniów.

— Ale ja mu dałam życie! — zawołała z bolem Apolonia.

— On życie wziął, i jeszcze każe ci być wdzięczną za ten honor, że się z żywota twego narodził i mlekiem twojém wykarmił — odpowiedział z oburzeniem starzec.

— Bracie! nie zabijaj mnie przed czasem — rzekła, składając ręce.

— O! dałby Bóg, żebym się mylił! Ale patrz, Apolonio! — dodał, ukazując w liście miejsce, które go najwięcéj ubodło. — On ma tytuł, na który niczém nie zasłużył, on już nauczył się łgać wspaniale i przyznał sobie dobra, których nie posiada, i znakomitych przodków, których nie było. Biedny mój Stanisławie! lepiéj ci, żeś już w grobie i nie widzisz, jak twój syn zaparł się twojéj ojcowskiéj siermięgi, którąś ty uzacnił rozumem, uświęcił pracą i poczciwością.

Te słowa, wymówione z mocą i żalem, przerwał śpiew Agaty, mocniejszy i głośniejszy niż zwykle. Siedziała ona przy oknie w czasie całéj téj rozmowy i szyła. Nikomu bowiem w niczém nie zawadzała, nie rozumiała tego co mówiono, nie pojmowała nic, co się w koło niéj działo. Duch jéj nie był w jéj ciele, a przynajmniéj zajęty jednym tylko przedmiotem, jedną myślą, obcym się stał na wszystko, co ją otaczało. Wszyscy więc w domu przywykli już do tego jéj stanu, i nikt ani w swych czynnościach, ani w swych słowach na nią nie zważał. Teraz widać, że ją uderzyło wspomniane przez Apolonią imię Gabryela, gdy jéj ks. Pilecki list oddał, i słowo: *powróci*, które wymówiła. Przestała więc szyć, opuściła robotę swą na kolana, na niéj położyła ręce, a podniosłszy głowę i nie patrząc na rozmawiających, zdawała się słuchać. Gdy ks. Pilecki wyrzekł ostatnie swe słowa, raptem, nie

zmieniając położenia, zaczęła na smutną nutę śpiewać następującą piosneczkę:

— Kotek się myje, piesek już szczeka;
Dziewczyna szyje i gościa czeka.

Sukienka składna, którą uszyła,
Będzie w niéj ładna, będzie mu miła.

W Farnym kościele zapalą świéce,
W przyszłą niedzielę wezwą dziewicę.

Tam przed ołtarze ją poprowadzą,
Postawią w parze i ślub jéj dadzą.

I zdejmą z głowy zeschły jéj wianek,
I inszy, nowy, da jéj kochanek.

A potém zapyta całując: Agato! czy chcesz Gabryela? i cóż ja mu powiem, kiedy go nie ma?

To wymówiwszy głosem, który przeniknął serca obecnych, westchnęła głęboko, pochwiała głową, położyła rękę na czole i tak siedziała przez chwilę, jakby w zamyśleniu. Ksiądz Pilecki patrzał na nią milcząc, a Apolonia odwróciła się i gorzko zapłakała. Agata, jakby dopiéro wtedy ich spostrzegła, powstała i zbliżywszy się, rzekła:

— Powiedzcie, czemu teraz słońce nie świeci, i trawa nie zielona, i wszystkie kwiatki gdzieś się podziały? czy to dla tego, że Gabryela nie ma? Ale nie smućcie się. Byłam tylko co bardzo daleko i widziałam go. On mnie z razu nie poznał; ale jak się dobrze przypatrzył, wziął moją rękę i powiedział mi tak: — Agato! idź, ubierz się

biało i włóż na głowę zielony wianek. Ja wrócę za trzy dni. — Dajcież mi sukienki i mirtu, żebym się ubrała biało i zielony wianek włożyła na głowę. Nie chcecie, odwracacie się. O! Pan Bóg was ukarze, żeście się tak ze mną obeszli!

Ksiądz Pilecki wyprowadził z pokoju zanoszącą się od płaczu siostrę, a Agata wróciła spokojnie do swego miejsca i znowu szyć zaczęła.

Przy końcu Kwietnia, odebrał znękany tém wszystkiém starzec, drugi list ze Lwowa, następującéj treści: „Nie ma już teraz żadnéj „wątpliwości, że hrabia Czarosz „jest rzeczywiście siostrzeńcem wielmożnego pana dobro- „dzieja, gdyż ma imię Gabryel, a żona jego Helena, jest „wdową po hrabi Januszu Tumierskim. Taką odebrałem „wiadomość od mojego korrespondenta z Wiednia, i je- „dnocześnie dowiedziałem się, że młodzi małżonkowie „zjadą wkrótce do Lwowa i zamieszkają dom, który był „zawsze hrabiów Tumierskich własnością. Żeby się o tém „przekonać, udałem się do dawnego ich murgrabiego i od „niego dowiedziałem się o rychłém ich przybyciu. Opro- „wadzał mnie on po tém wspaniałém pomieszkaniu, ja- „kiego jeszcze miasto nasze nie widziało. Całe dawne „umeblowanie zostało za bezcen sprzedane, lub rozdaro- „wane. Wszystko nowe, i wszystko z Paryża, z Londy- „nu lub z Wiednia. Koszta niesłychane wyłożono na sa- „me rzeczy, na ich sprowadzenie, na rzemieślników i ta- „picerów zagranicznych, przysłanych razem, aby to wszy- „stko z najlepszym gustem urządzili i aby przystroili dom „prawdziwie po królewsku. Panowie tutejsi i panie bie- „gną tam, jak na odpust, przypatrują się, admirują, za- „zdroszczą, a nadewszystko w głowę zachodzą, zkąd te

„ogromne summy, jakie na to wszystko wydano. Niebo-
„szczyk i jego żona, uszczuplili mocno wielką niegdyś for-
„tunę hrabiów Tumierskich. Wszystko to wiadomo, i tém
„bardziéj dziwią teraźniejsze excessa, że rzeczywiście
„przechodzą wszelką miarę. Bardzo mi więc żal, że po-
„cieszając wielmożnego pana dobrodzieja zjawieniem się
„aktualném jego siostrzeńca i jego tak nadzwyczajném
„wyniesieniem, muszę go oraz zasmucić przewidywanym
„przez wszystkich, bardzo blizkim interesów jego upad-
„kiem. Gdyż, jak słyszę, cała ta okazałość jest dziełem
„dziwnego jakiegoś kredytu; oddzielnych zaś dóbr, same-
„go hrabiego Czarosza nigdzie nie ma, a massa długów
„na fortunie Tumierskich jest równa, a podobno już i wię-
„ksza od samego majątku.“

Zmartwiony starzec nie pokazał tego listu siostrze, bo na cóż miał napróżno serce jéj zakrwawiać. Czekał więc cierpliwie i z poddaniem się następnéj wiadomości, o przybyciu Gabryela do Lwowa, i wtedy umyślił sam pojechać, dla obaczenia, czy się da jeszcze uratować i na dobrą naprowadzić drogę.

Niejeden z czytelników naszych zadziwi się zapewne, że ten młodzieniec tak prosty i skromny, tak umiarkowany z natury i z wychowania, przez te dwa lata edukacyi, którą zdala od strzechy rodzicielskiéj pobierał, wszedł na to bezdroże zbytków i próżności, które zawsze i wszędzie prowadzi do zguby. W rzeczy saméj, jest to okoliczność niełatwa do objaśnienia. Widać że Twardowski, żeby uskutecznić względem niego swoje plany, i czując trudność zadania, postanowił był seryo użyć pomocy wdzięków i miłości Heleny. Żeby środek ten był skuteczniejszym, musiał Gabryela postawić na równi z tą piękną kobietą,

co do nałogów, obyczajów, co do ogłady zewnętrznéj, znajomości wielkiego świata, zamiłowania obczyzny, i wszystkich narowów i przymiotów, jakie mają ludzie w téj sferze urodzeni i wychowani. Tym sposobem zdjął z niego tę sukmankę chłopsko-szlachecką, jaką od urodzenia nosił, a odział go w odzież wyższego kroju, kształtną, pełną powabu i swobody, ale z którą tak łatwo do nieostrożnéj piersi wchodzi wstręt do rodzinnych obyczajów, wchodzą zachcenia i potrzeby, które się zaspakaja bądź co bądź, wchodzi zamiłowanie złota, nabytego nie pracą, nie potem czoła, ale lekko, bez trudu, cudzemi rękoma, czego nasz mistrz najmocniéj pragnął, bo to był główny środek, jaki mu dla gubienia dusz niewinnych, do rąk i do użycia dano.

Z poprzedzających listów widno, że już w części celu swego dopiął. Jakiemi zaś namowami przerodził naturę Gabryela, jaką mocą uniósł go z karety Heleny, gdzie go ukrywał, jak do Paryża przeniósł, ile także do jego przekształcenia przyczyniła się sama Helena, i czy z własnego popędu, czy z natchnienia Twardowskiego, została jego żoną, tegośmy przeniknąć nie mogli, to przed nami nawet zostało tajemnicą, a zatém odkryć jéj czytelnikom naszym nie możemy. Byłaby to wprawdzie rzecz niezmiernie ciekawa, gdybyśmy mogli, śledząc stopniowo ten proceder piekielny, wystawić przed ich oczy cały ciąg wybiegów i chytrości, w których znany nam już kusiciel musiał rozwinąć wiele rozumu i właściwéj sobie wymowy; gdybyśmy mogli dać poznać, jak i o ile opierał się nasz bohater jego podszeptom i potężnym sidłom, które na niego zastawił; jak dalece Helena oswoiła się ze swoją rolą i jak prędko znikły jéj trwogi, zrodzone z niéj skrupuły

i zbawienne ratowania siebie i kochanka natchnienia; że jednak nie śmiemy dokomponowywać tego, czegośmy się z dobrych źródeł nie dowiedzieli, dla tego musimy zostawić tę przerwę, któréj nam samym żal, i rozpocząć dalszy ciąg naszego opowiadania od téj chwili, gdy już Gabryel wraz z żoną powrócił do kraju, i tu ukaże się nam na niejaki czas, jako hrabia Czarosz, jako wielki pan, jako człowiek do dawnego niepodobny i zupełnie przerodzony.

W pierwszych dniach Maja, młodzi małżonkowie przybyli do Lwowa, i rozlokowali się w przygotowaném dla nich z wielkim przepychem pomieszkaniu. W mgnieniu oka rozeszła się ta pogłoska po mieście i oczekiwania wszystkich natężyły się. Wielki świat wyglądał zabaw i traktamentów, wizyt i spacerów, bo wielki świat tym tylko sposobem zbywa z głowy natrętnego wierzyciela swego i wroga, jakim jest czas; artyści oczekwali zachęcenia od wspaniałego magnata, który do Wiednia nawet sprowadzał i płacił najznakomitsze europejskie reputacye; uczeni spodziewali się pomocy w nakładach i wydaniu ich prac, mających przynieść użytek i honor literaturze krajowéj; kupcy, znający od dawna wykwintny gust hrabiny i jéj wstręt do nizkich cen, porozkładali po magazynach swych co najkosztowniejsze artykuły i przecierali szyby w swych oknach, aby wszystko w jak najlepszém okazało się świetle; nawet do warsztatów celniejszych rzemieślników docisnął się ten odgłos powszechny i tam obudził nadzieję obstalunków i zarobku.

Chociaż gadania było bez końca, konferencye nieustanne między paniami, i bez wątpienia nie na korzyść nowo przybyłych, szczególniéj zaś z nadszczerbieniem reputacyi Heleny, chociaż niektórzy panowie, dźwigający

w miarę sił historyczne imiona, nie mogli pojąć, zkąd się wziął nowy przybysz, który jak widać kupiwszy tytuł, zaćmiewał ich dostatkiem, rozrzutnością i ukształceniem, to jednak nie przeszkodziło, że z największą niecierpliwością wszyscy oczekiwali otwarcia tego domu, z którego każdy spodziewał się czerpać pełną ręką uciechę i zabawę, nie dbając, gdzie źródło tych rozkoszy, które tam rozsypywać miano, i zostawując sobie prawo odwrócenia się tyłem i wydrwienia próżności, skoroby to źródło wyschło.

Najpierwszy raz, w parę dni po przybyciu, obaczyła ich publiczność Lwowska na tak nazwanych Wałach, które zastępowały miejsce bulwarów i gdzie całe miasto, a szczególnie jego elegancya, wychodziła na spacer. Wieczór był piękny, powietrze świeże, liczba spacerujących wielka. Nagle, między najstrojniejszemi kobietami i między mężczyznami, z dawną galicyjską starannością wymuskanymi, powstały szepty, i cała ta massa zwróciła się nieznacznie ku miejscu, gdzie był wchód na wały. Wkrótce pokazała się tam kareta, błyszcząca jak zwierciadło, ostatniéj mody, ozdobiona złotą tarczą, w któréj zamiast herbu jaśniały dwie litery: G. i H. Ciągnęły ją dwa gniade anglezy niewidzianego u nas kształtu i piękności, w szorach angielskich, których bogactwo, gust i lekkość wprawiały w podziwienie znawców. Liberya była ciemno-zielona ze złotem, a na kołnierzu stangreta i ogromnego strzelca jaśniały te same, co i na karecie cyfry.

Gdy strzelec drzwiczki otworzył i axamitne odrzucił stopnie, wszystkich oczy zwróciły się na wysiadających z powozu Gabryela i Helenę. Helena była wesoła, rumiana i jaśniejąca strojem, świeżo widać z Paryża sprowadzo-

nym, ale tak zastosowanym do miejsca i pory, że wszystkie panie oka z niego nie spuszczały. Gabryel, ubrany z najstaranniejszą elegancyą, zadziwił wszystkich pięknością rysów, łatwością, swobodą ruchów i tém wzgardliwém spojrzeniem, które się poniżéj siebie, jakby z łaski, rzuca. Był wszakże blady, ziewał, i zdawało się, że po dwóch dniach przybycia do Galicyi już się zaczął najarystokratyczniéj w kraju swym nudzić. Nie pojmowało wielu, jak można ziewać przyjechawszy do Lwowa, a zwłaszcza wysiadając z takiéj karety, i prowadząc pod rękę tak piękną żonę. Ale niektórzy panowie, co niedawno z zagranicy wrócili, i porównywali wały lwowskie z bulwarami paryzkiemi, znajdowali poziewanie to bardzo naturalném.

Tymczasem Gabryel i Helena poszli z wolna wałami, a cała massa spektatorów szła za nimi przypatrując się, szepcąc i rozmaite robiąc uwagi. Trwało to póty, póki się oczy nie oswoiły, póki się wszyscy nie dowiedzieli, kto to? póki się nie napaplały języki. W pół godziny już każdy spacerował na swój rachunek, a admiracye i wszystkie wrażenia, jakie nowość sprawiła, stopniami znikły w ogóle publiczności. Wyższe tylko towarzystwo przybliżało się coraz, otaczało nowo przybyłych gości i przyszłego uciech lwowskich Amfitryona. Znajome niegdyś Helenie damy przypominały się jéj z dawną przyjaźnią i z najserdeczniejszém współczuciem winszowały jéj głośno szczęścia, a ciszéj tak młodego i pięknego męża. Tu nastąpiły zapoznawania się i rekomendacye. Ta prezentowała Helenie swoją krewnę, ta córkę, ta siostrę, które wszystkie pasyonowane do tańca; ta prosiła, aby ją Helena zapoznała z swym mężem i tuż zaraz przedstawiała mu swego, a ten znowu rekomendował Gabryelowi swego brata lub

kuzyna, tamten kolegę i sąsiada, ten przyjaciela od serca, który każdą zimę przepędza za granicą i zna wszystkie stolice jak swoje kieszenie. Tym sposobem zapoznał się Gabryel mniéj więcéj z całém towarzystwem, i oświadczył z góry i głośno, że we czwartek otwierają dom, i że każdy, kto ich raczy odwiedzić, *sera le bienvenu.*

— Jeżeli — dodał, patrząc niby z roztargnieniem na mury, które widać było z wałów — nie zdołam przed czwartkiem kogo z panów odwiedzić, proszę się nie formalizować, przyjmując dziś zaproszenie i wymawiając mnie krótkością czasu. — Helena to samo powtórzyła damom. Mężczyzni okazali gotowość ukłonem, na który Gabryel nie patrzył, damy ściskając paluszki Heleny, które z gracyą wyciągała, a wyraz ten *czwartek, czwartek,* jak parol po armii, rozszedł się po całéj kompanii, przebiegł wały, a ztamtąd rozlatując się po wszystkich ulicach, jeszcze tegoż wieczora, gruchnął po całém mieście.

— Macie tu państwo — rzekł Gabryel niedbale i kiwając się — swoje bulwary.

— Nie są to *les boulevards des Capucines,* ani *des Italiens* — odpowiedział z ironicznym uśmiechem jeden z panów, który był w Paryżu i na tych bulwarach jednę wioskę zostawił.

— Tak, trochę kapucyńskie — dodał Gabryel skrzywiwszy się, a nie słuchając uwagi drugiego pana, który także był w Paryżu, odwrócił się do kogo innego i ziewając zapytał: — Cóż to za mury odrapane i brudne ztąd widać?

— To są mury Jezuickie, gdzie Akademia — odpowiedział zapytany.

— A! — zawołał nowy magnat i znowu ziewnął.

On zapomniał już, gdzie chodził do szkoły, gdzie się uczył filozofii, gdzie był wesołym i szczęśliwym, gdzie słuchając o transcedentalnym i empiryczno-krytycznym dualizmie, którego nie rozumiał, marzył o swéj serdecznéj matce i świętym swym wuju, o cienistych lipach probostwa, o cichym domku ojcowskim, i o tym dębie podkasałym, na którym bocian rodzinny stał na jednéj nodze, i podnosił do nieba oczy i myśli igrającego swobodnie i niewinnego chłopaka.

Wśród téj rozmowy zbliżyło się do kompanii dwóch panów. Obaj już niemłodzi, obaj przystojnéj twarzy i okazałéj postaci, zwrócili na siebie uwagę spacerujących. Był to książę L* i z nim Firlej. Pierwszego, jako powszechnie znanego i szanowanego we Lwowie i całéj Galicyi, wszyscy powitali ukłonem, o drugiego wszyscy zapytywali ciekawie, bo równie jego powierzchowność, pełna wyrazu wartości wewnętrznéj, i poufałość takiego człowieka, jak książę, obudziła dlań interes ogólny.

— Rekomenduję znajomości i szacunkowi moich współobywateli — rzekł głośno książę L* — pana Jana Firleja, którego nazwisko wam pewnie nie obce, a o którego zasłudze dla kraju przekonałem się, gdyż właśnie wracam od niego z Firlejowa. Gdybyśmy wszyscy tak używali czasu i majątku, byłoby nam lepiéj.

Mężczyzni otoczyli Firleja, podawali mu rękę, witali go i rekomendowali się wzajemnie, i we wszystkich twarzach był wyraz szacunku i współczucia dla człowieka, który wydobywał z grobu poważne imię i na innéj drodze, tak stosownéj do okoliczności i położenia kraju, starał się uczynić je godném czci i uszanowania. Odgłos bowiem działań i usiłowań Firleja już się rozszedł po

Galicyi; a jak zwykle sława, i dobre i złe powiększa, rozszedł się w wymiarach przewyższających rzeczywistość i zjednał dlań uwielbienie tych wszystkich, którzy tylko dowiedzieli się o jego zakładach, o jego urządzeniach dla dobra i ulgi włościan, o téj staranności, z jaką zdobi i porządkuje majętność, nabytą za pieniądze, które zrobił pracą, rozumem wykopał i przemysłem pomnożył. I niech się nikt nie dziwi wrażeniu, jakie widok takiego obywatela na obecnych sprawił. Jest w nas bowiem ta szczególność, ten instynkt szlachetny, że co dobre i użyteczne dla nas, to pojmujemy prędko, czujemy serdecznie i uwielbiamy ze szczerością, która dowodzi, jak delikatnym jest w nas ten zmysł, pokazujący co nam potrzebne, jak głębokiém jest uczucie miłości dla tego zakątka ziemi, który radzibyśmy widzieć kwitnącym i szczęśliwym. Ale niestety! chwalebne to i święte dla dobra bliźnich usposobienie jest zawsze tylko słowem, którego nie umiemy w czyn zamienić i zrobić go duszą i ciałem. Wszystko nam w téj mierze przeszkadza: brak silnéj i energicznéj woli, najgorsze wychowanie, próżność światowa, absorbująca czas i fundusze, moda, przez którą myślą i sercem żyjemy za granicą i nieszczęśliwy nałóg wiecznego bawienia się. Szanując więc tych wszystkich, którzy są między nami excepcyą, nie jesteśmy w stanie ich naśladować, a aprobując z całego serca i przekonania prace, trud ustawiczny, umiarkowanie i użycie majątku w tych, co zaprowadzają u siebie użyteczne zakłady, budują szpitale i szkoły dla włościan, zdobią swoje domy nauką i sztuką, wspierają przemysł i literaturę, sami tymczasem bawimy się, gramy w karty, paplamy złą francuzczyzną, zbytkujemy za granicą i śpieszymy do własnéj ruiny tak syste-

matycznie i z takim zapałem, jak gdyby przy każdym z nas stał Twardowski i szeptał nam i dyktował, jak się najzręczniéj zgubić i najweseléj do rąk jego dostać.

Słowa, które wymówił książę L*, rekomendując Firleja, doszły i do dam, w oddzielném kółku stojących. Helena usłyszawszy je, podniosła wzrok, spojrzała na znaną sobie twarz człowieka, który ją od pierwszego poznania zainteresował, i w Wiedniu u niéj nieraz gościł, a piękne jéj lice okrył żywy rumieniec. Wrażenie to nie uszło oka kilku jéj przyjaciółek, które dowiedziawszy się, że to jéj sąsiad, że także był niedawno w stolicy i tam ją widywał, zaczęły między sobą szeptać, uśmiechać się, i wytłómaczyły sobie najnaturalniejszym sposobem niespodziane zjawienie się Firleja we Lwowie, gdzie nigdy nie bywał, i dokąd właśnie przybył teraz, gdy przybyła i sąsiadka jego Helena. W téj myśli utwierdziło ich i to, że Gabryel, obaczywszy Firleja, zmarszczył się i pobladł. Czy tak było w rzeczy saméj, za to nie ręczymy, ale owe panie widziały wyraźnie, że młody mąż nie kontent był z przybycia swego sąsiada. Wszakże mimo to, Gabryel do niego się zbliżył; przywitali się z sobą, nastąpiło poznanie się naszego bohatera z księciem L*, i zaproszenie obu na czwartek.

— Pamiętam gościnność pana hrabiego w Wiedniu — rzekł Firlej z uśmiechem, w którym było więcéj politowania, niż ironii — i nie sądzę, abyś pan miał tu tyle łatwości, co w stolicy Cesarstwa, tak ucieszyć i zadziwić swoich gości przepychem i gustem.

— Mam wiele rzeczy z zagranicy — odpowiedział Gabryel z pyszną pewnością swoich zasobów — *et j'espère que cela ira.*

Potém obaj przystąpili do dam. Książę przywitał Helenę jako dawną znajomość, a Firlej, przemówiwszy kilka słów, patrzył na nią z zajęciem i twarz jego przybrała wyraz smutny i melancholiczny. Wszystko to nie uszło także oka przyjaciółek, w których każde poruszenie, tyczące się bliznich, najmocniejszy obudzało interes.

Przez następne dni, przez które zapomniano już o Firleju i o jego obywatelskich zasługach, a myślano tylko i mówiono o czwartku, o balu i o całéj wystawie i przepychu, jakie na nim rozwinąć się miały, Gabryel i Helena zajmowali się oddawaniem wizyt najcelniejszym miasta osobom, powtarzając zaprosiny i obligując nadto, aby się nikt nie żenował i przyprowadził z sobą znajomego lub przyjaciela, z którym dla krótkości czasu wprzód zapoznać się nie może.

U Żorża, znanego wówczas lwowskiego restauratora, siedziało za stołem kilku mężczyzn z najbogatszych obywateli Galicyi i następująca toczyła się rozmowa:

— Jak znajdujesz, Leonie, tego hrabiego Czarosza? — rzekł pierwszy.

— *Quel drôle de nom!* — odpowiedział zapytany, ruszając ramionami. — Ten tytuł przy tém nazwisku przypomina mi nasze przysłowie: przypiął kwiatek do kożucha.

— Chociaż ja nie bardzo zajmuję się gospodarstwem — rzekł trzeci, gładząc wąsiki — bo to rzecz ekonoma, któremu płacę, ile jednak sobie przypominam, zdaje mi się, że w inwentarzu jednéj z moich wiosek jest podobne nazwisko.

— *Au moins c'est sûr, que ce n'est pas un nom historique*—zawołał czwarty, także hrabia, i który rzeczywiście miał przodków znakomitych, ale posiadających inne tytuły.

— *Que voulez vous, mon cher?* — odpowiedział pierwszy. — To nie wszystkim dano. Ale przyznać trzeba, że ma maniery zupełnie pańskie, tłómaczy się po francuzku bardzo ładnie i cudne ma ręce.

— Cóż to dziwnego? — rzekł inny. — *Jest dobrze,* bo się wychowywał w Paryżu; ale to dziwniejsza, gdzie odkrył tę studnią, z któréj czerpie złoto.

— Oczywiście majątek żony pęka — odpowiedział pierwszy. — *Elle est folle de lui,* a panicz, dorwawszy się, szafuje.

— Ba! czyżby to wystarczyło? — odezwał się hrabia, dzwoniąc na garsona, aby mu podał szampana. — Tak żyć, jak oni słyszę żyli w Paryżu i w Wiedniu, to można zjeść dwa takie majątki. *J'en peux dire quelque chose.* A potém i ta miłość pięknéj Heleny dla małżonka nie jest tak klassyczną, jak się wam wydaje.

— Jakto? jakto? — zawołało kilku, przysuwając się — czyś hrabia co słyszał?

— Czy widzieliście tego fenixa, o którym więcéj mówią, niż to warto — rzekł hrabia lekko skrzywiwszy się, — tego pana Firleja, który wziął się nie wiedzieć zkąd z dawném i zaginioném imieniem.

— Daj pokój, panie hrabio — odezwał się inny — to obywatel szanowny i wzorowy.

— *On le dit* — odpowiedział młody pan, podstawiając szklankę garsonowi, pod którego palcem wystrzeliła butelka. — Ale mówią także, *qu'il est immensement riche,* i że nie tylko na swoje zakłady fabryczne i dobroczynne łoży. *Il a du goût, ce gaillard là,* a jako bankier, bo podobno był i bankierem, przywykł do expensowania w kompanii.

— Czy widziałeś go? — zapytał któryś.

— Nie byłem wtenczas na wałach — odpowiedział — a ten pan z tamtego świata nie pokazywał się między nami, póki tu nie było jego pięknéj sąsiadki.

— Jest-to komeraż, który się zapewne urodził w salonie koło Dominikanów — rzekł tamten. — Musiałeś, panie hrabio, widzieć hrabiego Czarosza i przyznasz sam, że jest najpiękniejszym mężczyzną z całéj Galicyi.

— Doprawdy? — odpowiedział hrabia. — Nie widziałem go. Pan Czarosz nie raczył mnie odwiedzić.

— Pójdziesz ze mną we czwartek — rzekł pierwszy — ja cię zaprezentuję.

— *Merci, mon cher* — odpowiedział hrabia — mam iść nieproszony do tego chłopa milionowego? *ce serait ridicule.*

Wtém turkot dał się słyszéć. Elegancki koczyk mignął przed oknami i po chwili drzwi się na oścież otwarły i wszedł Gabryel. Prawie wszyscy ruszyli się z krzeseł, a on, zbliżając się do gruppy młodych ludzi, zdjął kapelusz na środku sali, patrzył na nich, przymrużając oczy, i przywitawszy się z tymi, którzy mu się przypomnieli, jako już znajomi, przyłożył lornetkę do oka, które było niegdyś tak zdrowe i jasne, i przyglądał się wzgardliwie sali i całemu jéj umeblowaniu.

— Zajechałem tu umyślnie — zawołał potém, rozwalając się na krześle — żeby obaczyć, czy też macie co porządnego. *Que c'est misérable!* i to wasza najpierwsza restauracya! *Quel pays! mon Dieu!* jakże wy tu żyjecie!

Usłyszawszy te słowa młody hrabia, który tylko co odgrażał się, że do milionowego chłopa nie pójdzie, zbudował się ich treścią i sposobem, jakim były wymówione,

i zmiękłszy w swoich uprzedzeniach, szepnął swemu sąsiadowi:

— *Presentez moi, s'il vous plait, au Comte Czarosz.*

Nastąpiło poznajomienie się, i w skutek tego zaproszony na czwartek z wielką gotowością przyjęte.

Około godziny jedenastéj tegoż dnia, w dość bogatym, ale już cokolwiek przybrukanym salonie koło Dominikanów, siedziało kilka pań różnego wieku; ale równie z języka, którym mówiły, jak i z przedmiotu rozmowy, poznać było można, że należały do dam pierwszego rzędu. U Żorża rozmowa była mieszana, i raczéj polska niż francuzka, bo kompania składała się z samych mężczyzn. Tu, że i przedmiot był delikatniejszy i zebrało się kółko najstaranniéj wychowanych Polek, rozmowa toczyła się francuzczyzną, któréj każda z rozmawiających starała się dać tok i akcent lepszy jeszcze od francuzkiego. My rozmowę tę przełożymy na polskie i podamy ją w treści, gdyż nie ufając sobie, i nie znając dobrze języka, którym prowadzoną była, nie chcemy razić uszu naszych pięknych czytelniczek i stracić na ich opinii, jaką może o nas mają.

— Czy to być może? — rzekła jedna. — Ten pan Firlej?

— Uważałyście, jak się zaczerwieniła, gdy książę wymówił jego nazwisko? Przeniknęłam to natychmiast — zawołała gospodyni domu, klaszcząc w ręce z radości, jak Archimedes w wannie.

— Mój Boże! mając tak pięknego i młodego męża! — odezwała się trzecia.

— Ten mąż, to parawan, nic więcéj. Ale jakkol-

wiek dobroduszny, jednak zbladł, gdy się do niego Firlej zbliżył — dodała gospodyni — uważałyście to?

— Tegośmy nie postrzegły — odpowiedziały inne.

— A zbladł, niewątpliwie zbladł — rzekła pani domu, kiwając głową.

— Wprawdzie ten pan Firlej *nie jest źle* — odezwała się inna, najmłodsza i najprzystojniejsza ze wszystkich. — Ale to już człowiek niemłody.

— A hrabia Janusz? — rzekła znowu gospodyni, któréj to widać leżało na sercu, aby dowieść i przekonać. — Ona przywykła do starców. Za to ma miliony, któremi dysponować może, bo niezmiernie bogaty. Czytałyście w gazecie o karnawale wiedeńskim. Zkądże te wszystkie cuda? On tam był. Porzucił swoje fabryki, swoje zakłady, swoje zbiory i machiny, całe to wzorowe gospodarstwo oddał na los szczęścia i poleciał do Wiednia, skoro się dowiedział, że ona tam przyjechała.

— Czyż ten mąż tego nie widzi? — zapytała inna.

— Jakaś ty poczciwa! — odpowiedziała wymowna gospodyni. — Co mąż widzi nawet wtedy, gdy chce widzieć? a dopiéroż gdy nie chce, gdy mu z tém dobrze. To hołysz, moja droga! podobno jakiś mieszczuch, czy chłop, którego edukacyą dokończyli, kupili mu tytuł i mydlą mu teraz oczy. Za pół roku w Paryżu, za drugie pół roku w Wiedniu zjedli parę milionów. Zkądże to wszystko? majątek Heleny na toby nie wystarczył. To rzecz jasna. A tenże dom tu? Obaczycie, jakie to cuda! Zkądże to? Nieprawdaż?

— Naturalnie! — odpowiedziała jedna.

— To być bardzo może — rzekła druga — i wszystkie zaczęły nakłaniać się do zdania gospodyni, któréj

w téjże chwili lokaj Helenę zaanonsował. Porwała się z miejsca, pobiegła ku drzwiom salonu, i gdy sponiewierana tylko co piękność weszła, wyciągnęła do niéj ręce z najszczerszym uśmiechem, ściskała jéj dłonie i poprowadziła do kanapy, obsypując słowami grzeczności i admiracyi. Wszystkie chórem podzielały radość pani domu, i to czyniąc zręczne alluzye do cudnego jéj stroju, to wypytując o męża, to wynurzając ze szczerością, jak są szczęśliwe, że ich mają w swojém mieście, chciały dać jéj to przekonanie, że się między najserdeczniejszemi przyjaciółkami znajduje. Ale Helena znała je dobrze i przeszła już w krótkiém swém życiu przez wielką szkołę. Całe to wylanie obecnych zasępiło jéj piękne czoło. Przypomniała sobie pobyt swój między niemi po śmierci pierwszego męża, a bolesny stan, w jakim się wówczas znajdowała, przyszedł jéj tém żywiéj na myśl. Zabawiwszy więc krótko, i ponowiwszy zaprosiny na czwartek, wyszła.

— Czy uważałyście ją dobrze? — rzekła gospodyni, wróciwszy z drugiego pokoju, do którego ją odprowadziła. — Miałam racyą, mnie trudno zderutować.

— To być bardzo może — rzekła druga — nawet to ją zrobiło starszą.

— Ja znajduję, że nie jest już tak nadzwyczajnie piękna, jak była i jak ją okrzyczano — mówiła młodsza od tamtych.

— Muszę pomyśléć o swojéj czwartkowéj toalecie — rzekła najmłodsza, i potém zabierając się do wyjścia, dodała: — Czy i ten pan Firlej będzie na balu?

— Uważałam na wałach, że ci się bardzo przypatrywał — przerwała inna.

— Co za myśl! — odpowiedziała młoda kobieta, czerwieniąc się, i pożegnawszy wszystkie, wyszła najpierwsza.

— Ma plany na wzorowego obywatela — rzekła pani domu, odprowadziwszy do pół salonu wychodzącą, i wszystkie zaśmiały się.

— Muszę jeszcze zajechać do Geblowéj, żeby mi jakiego czupiradła nie zrobiła — rzekła druga, i pożegnawszy się wyszła.

— Ładnyż to będzie toczek, jeżeli ona sama doda gustu Geblowéj — odezwała się któraś.

— Będą kolory najpiękniejszéj papugi — rzekła gospodyni domu, odprowadziwszy do pół salonu wychodzącą, i wszystkie znowu się zaśmiały.

Tym sposobem rozchodziła się kolejno cała ta kompania, a gdy już nikogo nie było i lokaj dał znać, że kareta gotowa, gospodyni domu wzięła książkę do nabożeństwa, w axamit oprawną, i pojechała do kościoła.

Nadszedł nareszcie upragniony czwartek. Już od rana zbierały się gruppy ciekawych przed domem Gabryela, dla przypatrywania się, co téż tam się dzieje, i jakie robią się przygotowania do balu, na którym miało być wszystko nadzwyczajne i kolosalne. Jeden drugiemu opowiadał, co słyszał z największą pewnością od takiego, który widział na własne oczy i pod słowem honoru upewniał. W sali naznaczonéj do tańców, miało się palić trzy tysiące świec; orkiestrą miał dyrygować sam Lipiński, a gdy hrabina będzie tańczyć, wtenczas on miał grać solo na jednéj strunie najcudniejsze waryacye z tematów tegoż tańca; kuchmistrz hrabiego, którego wywiózł z Paryża i który był kiedyś naczelnym kucharzem Ludwika XVIII, ma być tak doskonały, że kucharz ks. Arcybiskupa pomaga

mu tylko jako kuchta; wszystkie ściany w pokojach mają być wybite złoconą materyą i axamitem; kandelabry wszystkie są srebrne i złote, a zwierciadła z jednéj tafli tak wielkie, jak okna w katedrze lwowskiéj; do usługi ma być sześćdziesięciu lokajów paradnie ubranych, których sama liberya kosztuje trzykroć sto tysięcy. Te i tym podobne wiadomości ze wszystkiemi waryantami i z exageracyą, do któréj mamy tak nieoceniony talent, przez jednych roznoszone, słuchane były przez resztę widzów z tą poczciwą łatwowiernością, która nas cechuje, zwłaszcza wtenczas, gdy przedmiot opowiadania próżność naszą łechce i skłonność do parady podsyca.

Im bliżéj było do wieczora, tém więcéj zbierało się przechodniów w ulicy i przed samym domem; a chociaż pora piękna zachęcała do spaceru na świeżém powietrzu, ogród Jezuicki i wały były prawie próżne. Nakoniec po godzinie dziewiątéj, błysnęły światła we wszystkich oknach pierwszego piętra, zajaśniała ulica, licznemi i sztucznie ułożonemi lampami oświetlona, i zaczęły się sunąć powozy, wiozące strojne panie i starannie wymuskanych panów. Przybywającym gościom wyzłoceni lokaje ukazywali drogę na schody, widne jak w dzień, wyłożone dywanami i ubrane w zwierciadła i kwiaty; w pierwszéj sali, gdzie niektórzy panowie przyczesywali włosy i wąsy, naciągali białe rękawiczki, gdzie panie i panny równały fałdy swoich sukien, poprawiały bukiety i berty, a z ostatniego rzutu oka w ogromne zwierciadła wnosiły o efekcie, jaki sprawią, marszałek dworu, Francuz, przyjmował nazwiska gości lub ich karty, prowadził do drzwi zamkniętych, otwierał je na oścież, i wymawiał głośno kto przybył, przekręcając najpocieszniéj polskie, nawet historyczne

imiona. Tam był Gabryel, który przechadzał się lub rozmawiał z roztargnieniem, często poświstując zamiast odpowiadania, a zawsze trzymając ręce pod frakiem, żeby nie każdemu je podać, i niedbałym ukłonem przyjmował mężczyzn, lub słuchał nowych rekomendacyj. Przy następnych drzwiach znajdowała się Helena dla witania dam, i podbiegała czasem do pół sali, gdy marszałek zawołał: — Madame la princesse Pozenska, madame la comtesse Kanika, i tym podobnie.

Po godzinie dziesiątéj napełniły się salony niesłychaném zebraniem gości, z których niektórzy, wezwani listownie przez zamieszkałych we Lwowie znajomych, o kilka i kilkanaście mil przybyli. Damy i mężczyzni przechadzali się z ciekawością po pokojach, deptali z rozkoszą przepyszne kobierce, zalegające wszystkie podłogi, oprócz téj, gdzie miano tańczyć; przypatrywali się obiciom, świecznikom, zwierciadłom, firankom i portyerom, kosztownym meblom, błyszczącym żyrandolom, cudnie ułożonym kwiatom, któremi każdy pokój inaczéj był przystrojony. Wszystko to było nowe i świeże, gust formy wyprzedzał drogość materyału, przepych bogactwa walczył o lepsze z wygodą. A wszystko było zagraniczne, wszystko paryzkie! Łatwo sobie wyobrazić, ile tam podniosło się wykrzykników, ile było szeptów zazdrości, ile wyliczań, coby téż to wszystko kosztować mogło, jak niejeden dotykał tych rzadkich rzeczy palcami, nie chcąc oczom swym wierzyć, jak panienki, trzymając się pod ręce, siadały rzędem na axamitnych meblach dla spróbowania, jak téż się siedzi na paryzkich krzesłach i kanapach, które dla Palais Royal obstalowano, których książę Orleański, jako

zbyt drogich nie kupił, a które hrabia Czarosz, jako polski pan, zapłacił.

Zagrzmiała wreszcie orkiestra, huczna i wyborna, choć w niéj nie grał Lipiński, i bal rozpoczął się zwykłym trybem. Szły tańce jedne za drugiemi przepisaną koleją, roznoszono rozkoszne napoje i chłodniki, a oprócz tego był w oddzielnym pokoju bufet, gdzie każdy rozkazywał sobie podać, co mu się podobało, i gdzie wkrótce było pełno, bo tam butelki strzelały i lał się szampan strumieniem. Gdy się zrobiło gorąco, pootwierano okna od ulicy, i zgromadzona na niéj publiczność cieszyła się bijącém z nich światłem, odgłosem harmonijnym muzyki i widokiem strojnych główek, które w nich stawały, aby ochłodzić ciało rozgrzane wirem walca i ulżyć piersi, które wznosiły słowa pochlebstwa, a czasem tkliwy wyraz szczerego uwielbienia. Gdy się bal uorganizował, gdy już wszyscy wszystkich przejrzeli, gdy kobiety tym biegłym rzutem oka, którego żaden kupiec nie ma, i żaden jubiler nie posiada, oceniły materye sukień i karaty brylantów swoich przyjaciółek i sąsiadek; gdy mężczyzni jednogłośnie oddali palmę pierwszeństwa Helenie, jako najpiękniejszéj, najgustowniéj ubranéj, najbogaciéj ustrojonéj w drogie kamienie niesłychanéj wartości, poformowały się gruppy rozmawiających, z których niektóre wydobędziemy.

Znajoma nam już pobożna gospodyni owego salonu koło Dominikanów, gdzieśmy niedawno byli, przyłożywszy lornetkę do oczu i przejrzawszy świetne grono, napełniające salę, rzekła do swojéj sąsiadki:

— Jak one się postroiły! mówią, żeśmy ubodzy i goli. Gdyby Szwedzi, jak za dawniejszych czasów, na nas na-

padli, jeszcze mieliby co brać pełną garścią. Patrz, co tu atłasów, co koronek, co dyamentów! Czy widzisz tam, *chère comtesse*, tę pulchną i białą blondynkę?

— Ładna, i coś niewinnego w oczach i ułożeniu — odpowiedziała.

— Wyobraź sobie, to tylko konsyliarzowa, a co za kolce! *n'est-ce pas, comtesse*, że prześliczne?

— Bardzo piękne.

— I zkądże to? czy z téj pensyi, którą jéj mąż pobiera? *Savez vous ce qui en est?* — i nachyliwszy się, szepnęła coś swojéj interlokutorce. Ta uśmiechnąwszy się i zapewne uwierzywszy, wyrzekła:

— *C'est très possible.*

A konsyliarzowa tymczasem tańcowała z zapałem i spotkawszy oczy męża, który na nią patrzył z miłością, uśmiechnęła się do niego tym serdecznym i wdzięcznym uśmiechem, który aniołów w niebie raduje. Obie rozmawiające przeszły w inne miejsce, gdzie w kole z najpierwszych piękności złożoném Helena rej wodziła. Za nią stali Firlej i książę L**. Chociaż zdawało się, że zajęci rozmową, widać jednak, że o niéj rozmawiali. Firlej nie spuszczał z niéj oka, jakby go każdy jéj ruch i jéj powodzenie interesowało; a ona instynktem pięknéj kobiety zgadła, że o niéj mówią, czerwieniła się, a jednak ile razy oczy jéj spotkały wejrzenie Firleja, zdawała się być kontentą, że się nią zajmuje i dziękować mu za to uśmiechem.

— Patrz, patrz, kochana hrabino — rzekła znowu nasza znajoma — jak się do niego uśmiecha, jak on z niéj oka nie spuszcza. Wszystkie te brylanty to jego podarunki! Wiem to z pewnego źródła.

Hrabina niby podzielała podejrzenia staréj komerażnicy; ale rzuciwszy okiem na Firleja, i spojrzawszy na to czoło szerokie i wyniosłe, na którém zdawało się, że żadna myśl płochości i nizkiéj intrygi posta by nie śmiała, rzekła z powątpiewaniem — ależ Helena miała i po pierwszym mężu przepyszne brylanty.

— *Quelle idée!* czyż takie? — odpowiedziała pierwsza, zgadując myśli hrabiny, usprawiedliwiające niejako heroinę naszą. Tymczasem Helena tańczyła. Gdy wśród zakrętów kadryla, lub śmiałych skoków mazura, spotykała twarz Firleja, oddychała swobodniéj, jakby ten widok przynosił jéj ulgę; ale w téjże chwili szukała oczyma Gabryela, a widząc go z daleka bladym, ziewającym lub nachmurzonym, wstrzęsła się nieraz i puszczała się z tym większym zapałem, aby tym ruchem mierzonym i coraz bardziéj szalejącym zagłuszyć w sobie głos serca, który wołał: zgubiłaś go i sama z nim giniesz.

Przy wnijściu do pokoju, gdzie były stoły do gry, niektóre już zajęte, inne jeszcze próżne, stał Gabryel znudzony, i patrząc niedbale na otaczających go mężczyzn, zapytywał, kto ten, a kto tamten. Znajdowało się tam dwóch uczonych, którzy wówczas byli we Lwowie, i kilku poetów, którzy są zawsze i wszędzie.

— To jest właśnie ów badacz starożytności naszych — rzekł poważny jeden mężczyzna, odpowiadając na zapytanie Gabryela — którego panu hrabiemu rekomendowałem. Bardzo znakomity archeolog.

— Starożytności! — odpowiedział Gabryel z miną wątpliwą, i zaczął poświstywać; a potém dodał: — Alboż wy macie jakie pomniki godne uwiecznienia? *Tout ce que j'ai vu est misérable.* Właśnie na jednym balu *chez le mi-*

nistre de l'intérieur, prezentowano mi uczonego, który zebrał i wydawał w przepysznych rycinach wszystkie katedry, jakie się we Francyi znajdują. Prosił on o wsparcie rządowe dla kosztownego dzieła swego, gdyż inaczéjby nie wyszło. Widziałem, że się minister skrzywił i byłby odmówił. Uprzedziłem go więc. *Je lui ai donné cinquante mille francs* — dodał kiwając się i założywszy rękę za kamizelkę — i dzieło wyjdzie. Ależ bo to pomniki! *cela vaut la peine.*

W czasie tych słów postąpił bliżéj nasz uczony, i usłyszawszy co Gabryel mówił, pomyślał sobie: — Otóż mi i mecenas! zjawił się przecież pan, jacy dawniéj bywali. Kiedy Francuzowi dał tyle, czyż mnie odmówi? — Skłoniwszy się więc, rzekł:

— Ja także, jaśnie wielmożny hrabio, mam zebrane rysunki z textem historycznym wszystkich celniejszych świątyń naszych, znajdujących się w nich nagrobków, tudzież ruin zamków, porozrzucanych w różnych częściach naszego kraju. Rysunki są dokładne i piękne, ale dla braku funduszów nie mogę przystąpić do ich wydania. Gdybym miał choć tysiąc dukatów na pierwsze poszyty... — tu umilkł biedak uczony; postrzegł bowiem, że Gabryel ani go widział, ani słyszał jego pokornéj prośby, któréj słowa odleciały od skamieniałéj nagle twarzy naszego bohatera, jak groch od ściany. Cofnął się więc archeolog z westchnieniem, a Gabryel, wziąwszy pod rękę jakiegoś chłystka Francuza, który za nim przybiegł z Wiednia i bazgrał akwarelowe miniatury, a którego już damy Lwowskie wyrywały sobie, jako wielkiego artystę, zwrócił się ku téj stronie, gdzie stały stoliki okrążone grającymi, i zkąd dochodził go brzęk złota. Gabryel zbliżył się

do jednego stołu, przy którym siedzieli najśmielsi i najhazardowniejsi gracze wistowi. Postawił ogromny zakład o robra, wyrzucił kilka wexlów na figurę, a gdy przegrał jedno i drugie, co kilkaset dukatów wyniosło, odwrócił się nachmurzony i poszedł ku drzwiom sali balowéj. Tam huczała muzyka. Krew młoda, rozkołysana szybkim taktem, ruchem walca wirowym i szalonym, powabnym strojem, magnetyczném zbliżeniem, biła przyśpieszonym biegiem w pulsach kobiet i mężczyzn; silniéj ściskały się ręce, z większém opuszczeniem zwieszały się na ramionach swych tancerzów rozmarzone panie; we framugach okien otwartych poformowały się słodkie *a parte*; wszyscy byli weseli, wszyscy kontenci, wszyscy wołali: *mais c'est un bal magnifique!* co za zgromadzenie! jak tu wesoło! co za szczęście dla naszego miasta, że oni tu przybyli! Tylko Gabryel przechodził ponuro wśród świetnego zamętu kręcących się par, nie słyszał głosu szepcących ust, i nie postrzegał rozmawiających z sobą oczu i serc rozmarzonych; ale widząc Helenę zamyśloną i niedaleko od niéj Firleja, który na nią melancholicznie i nawet ze smutkiem patrzył, zbliżył się do niéj, porwał ją z jakimściś konwulsyjnym ruchem i puścił się walca tak szybko, tak szalonym pędem, jak gdyby z ostatnim jego taktem, z ostatnią wściekłą jego nutą, mieli oboje wyzionąć duszę i oddać ją w szpony tego, który na nią oddawna już czekał. Wszystkie pary zatrzymały się, wszyscy umilkli i patrzyli z zachwyceniem na dwoje najpiękniejszych w kraju ludzi, na te dwie cudne twarze, tak blizkie siebie, na których przecież nie było wyrazu szczęścia, jakie według świata i jego pozorów powinno było być ich udziałem. Przebiegłszy tak kilkanaście razy ogromną salę,

Gabryel zbliżył się do okna, posadził tam Helenę, prawie nieprzytomną sobie, i sam wychylił się, chcąc świeżego zaczerpnąć powietrza. Wtém na pustéj już ulicy dał się słyszéć tentent galopującego konia. Grzmiały kopyta, uderzające gwałtownie o kamienie bruków, a echo tego dziwnego i mierzonego huku doszło do sali, któréj okna były otwarte, gdzie wrzawa tańca i odgłosy muzyki na chwilę ustały. Helena zbladła, chwyciła się ręką za serce, i oparła znękaną głowę o ścianę, a Gabryel, poznawszy jeźdźca, który go nie odstępował, zadrżał w głębi duszy, wychylił się jeszcze bardziéj i usłyszał te słowa: baw się kochanku! baw się! jeszcze pora!

Chwila ta przerwy była krótka. Nikt jéj nie zrozumiał. Na rachunek walca poszło osłabienie Heleny, które prędko przeminęło, bo to była dusza mocna i energiczna; a Gabryel, na którego mniéj uważano, jak zwykle na gospodarza domu, w którym żona jest gwiazdą, przemógł się także, zbliżył się do Firleja i zaczął z nim rozmowę o jego zakładach i ulepszeniach. Mazur podniósł ruch i wesołość. Gdy go muzyka zagrała, zagrała i krew w Galicyanów żyłach, stanęło dzielne koło jakby do boju, i wkrótce, wśród śmiałych poskoków, wśród energicznego i męzkiego hołubca, wśród figur tak rozmaitych, tak malowniczych, gdzie tyle jest życia, tyle śmiechu i wesołości, zapomniała się Helena, i jeśli się nie rozweseliła, przynajmniéj odurzyła się na chwilę.

Już dnieć zaczynało, gdy otwarły się drzwi bocznéj sali i ciągnących się za nią pokojów, które wszystkie były pysznie oświecone i gdzie stoły uginały się pod porcelaną i złocistym przyborem. Wówczas, za danym znakiem, muzyka uderzyła poloneza; Gabryel podał rękę jednéj

z pierwszych dam i tak wszyscy parami poszli do stołu. Wieczerza była rzeczywiście królewska, choć kuchmistrz nie był naczelnym kucharzem Ludwika XVIII. Brzęk talerzy, dzwonienie łyżek i widelców mieszały się z gwarem wesołym rozmowy, z głośniejszemi wykrzykami dam, którym siedzący obok kawalerowie grzeczności mówili, z serdecznym śmiechem panienek, zebranych przy osobnym stole, który otaczała młodzież z talerzami w ręku, prosząc o kąsek bażanta lub pulardy, który śliczna rączka kładła na talerz, a na twarz odbierającego padało przeciągłe spojrzenie i pełny znaczenia uśmiech. Nareszcie wystrzały butelek dały znać, że się uczta kończy. Rozlał się szampan potokiem, wniesiono zdrowie gospodarza i gospodyni, które poszło ochoczo koleją, i długo i wielokrotnie się powtarzało. Za wszystkie razy Gabryel podziękował, wychyliwszy ogromny puhar duszkiem, a Helena, dotknąwszy ustami szampana, wdzięczniejszym, niż iskry tego napoju, podziękowała uśmiechem.

W godzinę potém jasny dzień bił już w okna pustéj i cichéj sali, turkot daleki powozów dochodził z krzyżujących się ulic miasta, sklepy się otwierały, ruch się zaczynał na warsztatach, jedni zabierali się do pracy i przemysłu, innych sygnaturki po kościołach wołały do modlitwy, a państwo szli spać i marzyć o przebytéj rozkosznie nocy.

Gabryel, który nieraz ziewnął i zdawał się śpiącym w tym świetnym i gwarnym tłumie, skoro został sam, stracił do snu ochotę. Rozciągnąwszy się na najpiękniejszéj kanapie, depcąc nogami jéj axamity, podłożył ręce splecione pod głowę i tak patrzył w sufit. Nagle obraz téj izdebki na Halickiém, gdzie był stolik bibułą przykryty, gdzie stało skrzypiące sosnowe łóżeczko ze słomia-

nym siennikiem, gdzie wisiał jego płaszczyk, obłożony papierem na papierowéj podkładce, gdzie na przeciw lustra było stłuczone lusterko, między portretem Cesarza Franciszka i Kościuszki, mignął mu przed oczyma. Przerażony tym widokiem, jak gdyby się bał kojarzących się tak łatwo z sobą myśli, ktoreby go może do Halicza zaprowadziły, zerwał się na nogi i postrzegł przed sobą Helenę. Jeszcze była ubraną, ale czarny włos jéj, uwolniony ze sztucznych splotów, wił się po jéj ramionach, i ten nieład głowy przy stroju balowym tém piękniejszą ją czynił.

— Gabryelu! — rzekła słodkim głosem — nie przyszedłeś do mnie; nie mówisz mi, jak wyglądałam.

— Byłaś piękną, jak zawsze; i nie tylko ja to widziałem — odpowiedział, zaciskając usta i odwracając się od widoku wdzięków, które serce jego ciągnęły.

— Co tobie? Gabryelu! tyś ze mnie nie kontent? — rzekła, zbliżywszy się i kładąc rękę na jego piersiach.

— Z ciebie? O nie!... alem niekontent z siebie. Jam chłop ociosany i oheblowany, a tobie potrzeba imienia, choćby było wydobyte z grobu — dodał z przyciskiem.

— Gabryelu! Gabryelu! ty marzysz na jawie! — zawołała, cofając się.

— Czyż ja wiem — odpowiedział, chwyciwszy się obiema rękoma za głowę — co w mojém życiu jest prawdą, a co marą, marą straszliwą i okropną?

— To jest prawdą, że cię kocham — odpowiedziała, tuląc się pieszczotliwie do jego piersi — i ty kochaj mnie, kochaj, Gabryelu, i wierz we mnie!

— Czyżem w ciebie nie uwierzył? czym cię nie kochał? — odpowiedział Gabryel. — O! gdybyś się nie stała potrzebą moich oczu, żywiołem moich myśli, powie-

trzem jedyném, którém piersi moje odetchnąć mogą, roztrzaskałbym sobie łeb dziś jeszcze. Ja cię kocham, Heleno! — zawołał, przypatrując się jéj — aż nadto kocham! — Potém, chwyciwszy ją w objęcia i okrywszy pocałowaniami, w których było więcéj rozpaczy, niż miłości, puścił nagle i uciekł z pokoju.

Helena została sama; załamała ręce, i tak szła ze spuszczoną głową do swojéj sypialni. We drzwiach podniosła oczy i postrzegła przed sobą przenikający wzrok i uśmiech Twardowskiego.

— Wywieź go na wieś — rzekł do przerażonéj Heleny tonem rozkazującym.

— Dobrze, wywiozę — odpowiedziała.

— A teraz idź spać i bądź dobréj myśli — mówił daléj.

— Oh! Oh! — jęknęła głęboko, i cisnąc serce obiema rękoma, poszła prędko. On popatrzył za nią z uśmiechem i wyszedł także w tę stronę, którędy udał się Gabryel.

Nazajutrz wieczorem, gdy wyższe towarzystwo Lwowskie rozbudziło się ze snu, gdy mężczyzni zbierali się odwiedzić uprzejmą gospodynią wczorajszego balu; gdy sala Żorża na spóźnionym obiedzie rozległa się wspomnieniami jego cudów, gdy damy, marzące o swojéj toalecie na przyszły czwartek, w pantofelkach, w rannych szlafroczkach i nieuczesane śpieszyły na poufałe koncyliabula, dla udzielenia sobie wzajemnie balowych wrażeń; rozeszła się pogłoska, że hrabia Czarosz i Helena opuścili Lwów i nagle wyjechali. Wyraz ten *wyjechali* brzmiał tego wieczora we wszystkich ustach. Powtarzali go panowie starzy i młodzi z zadziwieniem i dodatkiem: — cóż to u djabła

znaczy? — powtarzały go panie po polsku i po francuzku, jedne z żalem, inne z domyślnym uśmiechem i z zapytaniem: — czy i Firlej wyjechał? — powtarzały go panny z prawdziwym smutkiem, żegnając w myśli i nowe sukienki, i cudnego mazurka, który brzmiał jeszcze w ich uszach, i ten stół osobny przy wieczerzy, gdzie się tak serdecznie śmiały i z którego karmiły biednych swych tancerzów, którzy niby gdzie indziéj docisnąć się nie mogli. Wszyscy tegoż jeszcze wieczora, nie dowierzając pogłosce, przechodzili lub przejeżdżali przed domem Gabryela. Ale dom był zamknięty, we wszystkich oknach ciemno, a stary sługa siedzący na progu, odpowiadał zapytującym: — Państwo wyjechali. — Kiedy? — dziś — a dokąd? — ja nie wiem.

Łatwo sobie wyobrazić, ile potém było domysłów, ilu dodatkom, zmianom i interpretacyom uległ fakt ten osobliwy i niespodziewany.

XX.

Przez cały ciąg pobytu Heleny za granicą, pan Strzembski, ów imiennik znanego nam szlachcica z Mylnéj, rządził jéj dobrami z tą sumiennością, w skutek któréj majątki wielu naszych panów przeszły w ręce ich rządców. Pan Strzembski nie pochodził bynajmniéj ze starozakonnych rodziców, ale, że miał w fizyognomii swojéj coś izraelskiego, posądzali go liczni nieprzyjaciele, że wychrzta, szczególnie jego imiennik oberżysta, który trąbił o tém w uszy każdemu, kto chciał i nie chciał słuchać. Niewielkiego wzrostu, dość chudy, ale ruchawy, miał nasz rządca dużą głowę, cokolwiek rudą i łysą, twarz ku

brodzie jak klin ściętą, oczy siwe, nos ostry i usta małe; ale w krótkiéj piersi jego było dosyć miejsca na postanowienie zostania panem, a pod szerokiém i wytartém czołem dosyć biegłości i światła do odkrycia dróg najprostszych i najpewniejszych, które go do tego celu doprowadzić mogły. Po śmierci pierwszego męża, Helena strwożyła go była wprawdzie energicznem wzięciem się do interesów i przenikliwém jego wybiegów odgadnieniem; gdy jednak po jéj wyjeździe do Lwowa cokolwiek ze strachu ochłonął, rachunki zregulował, wszystkie baterye ustawił, odzyskał prędko dawną pozycyą i dawną przewagę, jak wódz dobry niespodzianie zaskoczony, chociaż ugnie się na chwilę i zmiesza, prędko odzyskuje przytomność umysłu i na nowe zdobywa się fortele, skoro niebaczny przeciwnik zostawi mu cokolwiek czasu do opamiętania się.

Helena, powróciwszy na wieś znękana, smutna, strwożona tą tajemniczą siłą, która owładnęła jéj myślami, jéj losem, jéj przyszłością, zajęta coraz bardziéj obrazem Gabryela, którego na jawie i we śnie przed oczyma swemi widziała, którego pragnęła duszą i ciałem, nie wiedząc jak skarb swój posiąść, a wstydząc się szukać go po prostu pod ubogą i chłopską strzechą, stała się niezdolną do trudów i czujności, jakich rządzenie wielkim majątkiem i kierowanie skomplikowanemi interesami wymaga. Zmiarkował prędko pan Strzembski i nie dał jéj chwili wytchnienia. Szedł do niéj z rzeczami ważniejszemi, szedł z najmniejszym drobiazgiem gospodarskim. Donosił jéj o każdym płocie, który miał rozgrodzić, o każdym kołku, który gdzie wbić kazał. Zaledwie usiadła w najustronniejszym saloniku i zaczęła marzyć o sobie i o Gabryelu,

w ten moment drzwi się otwierały i pan Strzembski z plikiem papierów przed nią stawał. Tém dobrze wyrachowaném natręctwem tak się uprzykrzył, że po tygodniu téj męczarni zabroniła mu do siebie wstępu i kazała rządzić, jak mu się podobało, byle jéj dał pokój i nie nudził więcéj. Tego właśnie chciał zacny plenipotent. Ale, że to był człowiek rozumny i znający panów naszych na wylot, przewidywał on, że Helena nie usiedzi długo w domu, znudzi się prędko i wyjedzie wkrótce za granicę. Do tego więc czasu był tak starannym, gorliwym i niezmordowanym, tak zbierał grosz do grosza, że Helena, to patrząc na jego działalność z daleka, to uwiadomiona o jego zabiegliwości i uczciwych rządach przez różne nastawione osoby, a szczególniéj przez Karlinę, skaptowaną prezentami i serdeczną przyjaźnią pani Strzembskiéj, wróciła mu zupełną swą ufność; i w czasie pobytu swego w Mylnéj, lub nie słuchała wcale zaskarżeń starego szlachcica, lub się tylko uśmiechała, nie wierząc. Wyjeżdżając więc w kilka miesięcy za granicę, nagle, i w skutek jakiéjś tajemniczéj kommunikacyi, któréj nikt przeniknąć nie mógł, ponowiła dla pana Strzembskiego najzupełniejszą plenipotencyą, a mianowicie: wydzierżawienia majątków, robienia nakładów na ich ulepszenie, układania się z wierzycielami, prowadzenia i kończenia procesów, jakie były i powstać mogły, słowem: rządzenia i gospodarowania, jak uzna za najlepsze dla dóbr sobie powierzonych i ich właścicielki. Helena przed wyjazdem znajdowała się w tak dziwném usposobieniu, tak była ciągle drżąca, blada i roztargniona, że podpisała wszystko, nie czytając, a nawet zostawiła kilkanaście blankietów na wexle, jéj własnorę-

cznym podpisem opatrzonych, z upoważnieniem zaciągnienia długu, gdyby tego okazała się potrzeba.

Skoro pan Strzembski, tym sposobem uzbrojony, wyprowadził panią swą za wrota pałacu, utkwił się szeroko na obu nogach, jakby chciał wrość w tę ziemię, ręce założył na tył, z jednéj z nich zdjął białą łosiową rękawiczkę, i trzymał ją w drugiéj, i tak stojąc w znanéj, zdobywczéj postawie, któréj tylko szaraczkowego surduta brakowało, przysłuchywał się oddalającemu się turkotowi karety, jak gdyby to był grzmot oddalających się lekkich bateryi, które za uciekającym z placu nieprzyjacielem salwy swe posyłały. Gdy turkot zupełnie ucichł, pan Strzembski spojrzał z uśmiechem wokoło siebie, i dokończając widać głośno uczciwego pasma myśli, które go zajmowały, zawołał: bo też to piękny majątek!

Jak motyw w kompozycyi muzycznéj powtarza się i w jednę całość wszystkie odskoki waryacyi zlewa, tak te słowa w ciągu dalszych jego działań często z ust jego wychodziły, przypominając mu niejako cel, do którego dążył, usprawiedliwiając środki, których używał. W użyciu tych środków uwolnił się od reszty skrupułów, jakie miał jeszcze dawniéj, gdy na jego działania właściciel i właścicielka, choć z daleka, choć zamgloném przez pańskość okiem patrzali. Teraz, gdy się ta ostatnia zupełnie oddaliła, gdy się całkiem na niego zdała, postanowił sobie pozwolić. Rezonował pan Strzembski tak: jeżeli, jak uczy przysłowie, strzeżonego, a raczéj strzegącego się Pan Bóg strzeże, ztąd wypada, że jeżeli kto się nie strzeże, tego i Pan Bóg nie strzeże, a zatém pozwala używać przeciw niemu wszelkiéj broni, jaka tylko skuteczną być może. Takim argumentem umocniony, wydzierżawił

wszystkie dobra podstawionym przez siebie posesorom za bezcen, i tym sposobem stał się dzierżawcą całego majątku, nie płacąc ani grosza. Rozpoczął razem kilka budowli dla ulepszenia dóbr. Budowle te, klecone pańszczyzną i z lasów Heleny, wzrastały powoli, ale rachunki wydatków na nie rosły ogromnie i do znacznych summ pęczniały. Wyrobił sobie w cyrkule, że mu niby za jakieś zaległości przyaresztowano dochody, w skutek czego ułożył wielką likwidacyą kosztów dla uwolnienia dóbr od pomienionego aresztu, a niby nie mając tym czasem gotowizny na potrzeby administracyi i na przysłanie pani do Paryża, u podstawionych wierzycieli pożyczał z tychże dochodów, każąc niebacznéj marnotrawnicy płacić wielki procent za jéj własne kapitały i obciążając majątek tém, co z tegoż majątku wydobył. Z dawniejszemi wierzycielami, których milczenia i łakomstwa był pewny, zniósł się, niby kupiwszy u nich cierpliwość, nowe im powydawał wexle na summy daleko wyższe. Wszystkie te przewyżki, z których ogromny urosł kapitał, w jednéj czwartéj tylko poszły na korzyść wierzycieli i zapłaciły ich grzeczność; w trzech czwartych zaś zostały w szkatułce pana Strzembskiego, coraz pełniejszéj, coraz cięższéj, w któréj złoto przyciskało bankocetle, bankocetle leżały na wexlach, a te miały pod sobą wszystkie najsumienniejsze likwidacye i najskrupulatniejsze pretensye do dóbr, któremi administrował i z któremi w swoim czasie miał się odezwać.

W takim stanie zastała majętność swą Helena, gdy do niéj niespodziewanie z młodym swym mężem powróciła. Był to stan zdesperowany; wszystko wisiało na włosku i dosyć było odezwania się licznych wierzycieli krajowych i zagranicznych, którym jeszcze, mimo tajemniczych źró-

deł, z jakich czerpał Gabryel, winni zostali, aby cała ta ogromna niegdyś fortuna rozsypała się w ruinę.

P. Strzembski, jeszcze do jakiegoś czasu cierpliwy, i nowego pana swego, ani jego resursów nie znający, nie zbaczając z metody, która mu się pierwszym razem tak dobrze powiodła, i teraz użyć jéj postanowił. W kilka więc dni po przybyciu państwa, gotował rachunki i ogólne zdanie sprawy o interesach, i stanął przed panią z ogromnym plikiem pod pachą, za sobą zaś miał dwóch kancelistów, którzy nieśli księgi rachunkowe, mające każdą pozycyą usprawiedliwić. Przestraszyła się Helena, spojrzawszy na te przybory pracy i ślęczenia, a przywykłszy przez cały pobyt swój za granicą do szafunku ogromnych summ, które Gabryelowi, uprzedzając ich potrzeby, tajemniczym sposobem do rąk przychodziły, nie chciała nawet rzucić okiem na rezultat administracyi p. Strzembskiego. Żeby go się jednak gładko pozbyć, a razem dać właściwą powagę Gabryelowi, odesłała go do męża. Przedstawił się więc plenipotent nowemu swemu panu, pokornie prosząc o rewizyą jego administracyi, i bojąc się w duchu, żeby nie trafiła kosa na kamień. Wkrótce jednak zaspokoił się, postrzegłszy, że Gabryel urosł na zbyt wielkiego pana, aby chciał podjąć się takiego trudu i wejrzéć, jak też obfitém jest źródło, zkąd pańskość jego nadal płynąć miała. On także nawykł wydawać, ale nie rachować wydatków; lekko i bez mozołu zgartywać do kieszeni pieniądze, które mu od bankierów przynoszono, a podpisywanie wexlów, bez czytania nawet ich treści i zapamiętania oznaczonego w nich terminu wypłaty, uważał za jedyny trud, który godności jego nie poniżał.

— Przyjdź wasan później kiedy z króciutką notatką

i bilansem całego rozchodu i przychodu — rzekł, leżąc na kanapie i przerzucając gazetę francuzką — teraz widzisz wasan, że nie mam czasu. Tym czasem gospodaruj, jak gospodarowałeś, i nie uprzykrzaj się z drobiazgami ani mnie, ani mojéj żonie. *Nous avons autre chose à faire* — dodał, nie myśląc nawet o tém, czy p. Strzembski umié, czy nie umié po francuzku. Uspokojony takiém przyjęciem obojga, i winszując sobie w duchu dobréj polityki, kłaniał się chytry rządzca pokornie, wycofywał się tyłem i myślał: dobryś! a potém dodał: pięknyż to majątek! Gdy już był przy drzwiach, odezwał się Gabryel:

— A propos! Panie Strzembiński!

— Wawrzyniec Strzembski, jaśnie wielmożny panie! — odpowiedział plenipotent wracając i kłaniając się.

— Otóż, mój panie Strącki — mówił Gabryel, podając mu niedbale list, który puścił z dwóch palców na ziemię, bo nie czekał, aż się pan Strzembski zbliży — weź to wasan. Upominają się tam o dziesięć tysięcy reńskich w walucie — trzeba to zaraz zapłacić, aby mię takiemi fraszkami nie nudzili.

— Obecnie, jw. panie, w kassie nie mamy gotowizny — odpowiedział pan Strzembski. — Podatki, których właśnie termin, wyabsorbowały wszystko, a nowy dochód ledwie za parę tygodni wpłynie. Ale jeżeli jaśnie wielmożny pan każe, mogę dostać tu niedaleko.

— Mój panie Strzembowski — zawołał Gabryel zniecierpliwiony — cóż mi do tego, gdzie wasan masz dostawać? To już wasana rzecz. A jeżeli potrzeba podpisać wexel, to mi przyślij, a nie nudź mię.

— Dobrze, jw. panie — odpowiedział plenipotent,

kłaniając się jeszcze niżéj, i myśląc znowu: dobryż to pan! pięknyż to majątek!

Takim sposobem szły rzeczy w Dusanowie, który się ożywił pobytem państwa, potrzebujących rozrywek i starających się wszelkiemi sposobami zagłuszać wewnętrzne i tajemne trwogi. Gabryel, przybywszy na wieś, chciał się bawić po wiejsku. Te jego gusta, równie jak i przybycie, rozgłosiły się prędko w sąsiedztwie. Zbiegła się więc bogata i próżnująca młodzież, częste bywały obiady i podwieczorki, przejażdżki i spacery całą świetną kawalkadą: wieczorem napełniały się salony, rozstawiono nawet zielone stoły; a rano, gdy rosa stała na kwiatach, na świeżych listkach i młodéj jeszcze trawie, chociaż to nie była pora do polowania, rozlegały się lasy szczekaniem ogarów, odgłosem trąbek i wystrzałami rozognionych rozrywką tą myśliwych.

„Baw się, baw się! Gabryelu!“ wołał na niego Twardowski, który czasem w głuchym lesie, czasem w głębokim parowie na karym koniu swym obok niego przemknął. Mimo to Gabryel nudził się, ziewał. I te wiejskie rozrywki prędko mu się bardzo sprzykrzyły. Nawet czasem przychodziło mu na myśl, jak był wesołym i zdrowym na duszy, gdy się bawił nie zabawą, ale pracą. Wszakże, gdy się ze snu obudził, gdy rzucał okiem na ten przepyszny pokój sypialny, który już znamy, a obok siebie widział tak piękną, tak kochającą, tak rozkosznie uśpioną Helenę, zapomniał, jakim kosztem wszystko to otrzymał, za jaką cenę rozrzucił nie jeden milion, i powstawał ze wspaniałego łoża jako pan, w którego krew i naturę przeszła już miłość przepychu, potrzeba próżnowania i najwykwintniejszéj wygody.

Czasem, gdy się wcześniéj od żony ocknął, nie budząc jéj ze snu, wstawał, posilał się lekkiém śniadaniem, a przywdziawszy ranny strój i dosiadłszy dzielnego wierzchowca, jechał przez wieś, przez pola i lasy, które chociaż nie były tak uprawne, tak urozmaicone, tak powabne, jak okolica między Paryżem a Wersalem, miały jednak dosyć woni, dość zdrowego oddechu do odświeżenia pańskiéj piersi. Gdy przejeżdżał przez wieś, przechodzący z ciężarem na ramionach włościanie zdejmowali kapelusze; kobiety mizerne i blade, to niosąc wodę do domu, to pędząc wyschłe krówki na paszę, schylały się przed panem; dzieci obdarte i prawie nagie zrywały się z przed bram i drzwi chat obszarpanych i brudnych, i naginały do ziemi rozczochrane i nieuczesane swe główki. Gabryel, galopując na wytresowanym koniu, tego wszystkiego nie widział, z nikim nie pomówił, o nic nie spytał. On był roztargnionym. Jemu w téjże chwili przyszła na myśl prześliczna dekoracya Opery paryzkiéj, wystawiająca piękne, szwajcarskie *chalais*, i balet, który ta chatka zdobiła, i tysiąc franków, które dla uczczenia talentu tancerki, któréj był benefis, za krzesło zapłacił. Świszcząc więc szpicrózgą przy uszach konia, minął wieś z uśmiechem, przez to wspomnienie wywołanym, i puścił się w pole. Gdy się ujrzał między łanami oziminy, która na bujnéj galicyjskiéj ziemi wysoko się już podniosła; gdy z jednéj strony drogi wytryskujący już gdzie niegdzie ze źdźbła kłos pszenicy, z drugiéj kłos żyta chylił się przed nim i także zdawał mu się kłaniać, Gabryel, galopując, pomyślał tylko, ileby mogło być dukatów za te kłaniające się kłosy, ileby za nie można miéć uciechy, i jaką wrzawę sprawić za granicą; ale nie przyszło mu nawet do głowy, kto tę ziemię

uprawił, te ziarna w nią rzucił, kto, na skwarze słonecznym cały dzień zgięty, zetnie to bogate żniwo i z każdego kłoska złote ziarno wydobędzie i oczyści. Ztamtąd puścił się w las, który się rozkosznie zielenił i chłodnym okrył go cieniem. Tam na czole każdego prawie drzewa było jakby napisane: — ja będę podwaliną, ja belką, ja jako krokiew wysmukła pójdę na dach, ja jako łata legnę pod okrywającą mnie gątą, ja dam się pociąć na kawałki i spłonę pod kotłami gorzelni; a ze wszystkich nas będą dukaty dla pana, aby miał wygodę, aby się rozkosznie bawił, aby pomiatających nim Niemców i drwiących z nazwiska jego Francuzów zadziwiał przepychem, aby nie miał czasu pomyśleć, kto nas zetnie, kto obrobi i zwiezie, i zdarłszy nam z głowy ten wieniec cienisty, na złoto nas przemieni. — Ale Gabryel téj mowy dębów i sosen nie słyszał; nabywszy cokolwiek apetytu do posilniejszego śniadania, i znudzony jednostajnością widoków, które go otaczały, powrócił do domu. W sieniach pałacu spotykał zwykle pana Strzembskiego, który się kłaniał, i ukazując gruby plik papierów, zapytywał pokornie, czy nie raczy jaśnie wielmożny pan zająć się ich przejrzeniem?

— Daj mi wasan pokój — odpowiadał hrabia Gabryel — *j'ai autre chose à faire* — i obracał się tyłem do plenipotenta, który śmiał się w duchu, i powtarzając ulubiony motyw: bo téż to piękny majątek! szedł do swojéj szkatułki, którą nowym wexlem dopełniał, nową likwidacyą kompletował.

Wśród takiego życia raz tylko odwiedził Firleja w nowéj jego dziedzinie. Jakkolwiek go nie lubił, bał się, a tajemny wstyd i upokorzenie, jakie poczuwał w sobie, widząc się w obliczu znakomitego obywatela, znającego

całą ważność swego stanowiska, zwalał na zazdrość, na podejrzenie skłonności jego dla Heleny, i interesu, jaki on nawzajem w sercu jéj obudza; nie mógł jednak nie zadziwić się i nie zastanowić się, gdy obaczył to wszystko, co go otaczało. Zdawało mu się, że jest w innym kraju, inném owiany powietrzem. Gdziekolwiek rzucił okiem, wszędzie uderzał go ruch, zdrowie, wesołość i praca. Droga była ubita i ugładzona, most na Lipie kamienny z żelaznemi poręczami; łąki po obu stronach téj rzeczki zieleniły się jak axamit, a wioska, która stała niedaleko, przybrała tę poetyczną postać, jakąby wioski nasze miéć mogły, gdyby ręka ludzka przyczyniała się do oczyszczenia i obrobienia téj siedziby prostoty i zdrowia, gdyby była myśl kierująca siłą jéj mieszkańców, i umiejąca w nich obudzić uczucie własnego dobra i przywiązania do téj ziemi, tak bogatéj i hojnéj. Zdziwił się Gabryel, widząc wszędzie dachy słomiane nowe, płotki czyste i ładne; przed każdą chałupą obieloną i jaśniejącą oknami, zasadzone drzewka, które już kwitły, wozy okute i tłuste w nich koniki; w środku wsi porządny dworek, z dużym dziedzińcem, na którym bawiły się dzieci całéj wioski, rumiane, odziane i śpiewające. Nie wszystko było jeszcze wykończone i takie, jak sobie zapewne właściciel ułożył, bo czas był krótki: ale wszędzie jawném było dążenie do porządku, do zajęcia, do skromnéj ozdoby, mającéj dodać powabu pracy i życie uczynić lekszém i ponętniejszém.

To samo postrzegł, tylko w większych wymiarach, gdy wjechał do miasteczka. Polskie miasteczka, to zbiór kilku złych karczem, to stek brudnego i szachrajskiego żydowstwa, to kałuża błotnista, gdzie kilka razy do roku biedne chłopstwo spędza nędzne bydło i konie pokale-

czone na tak zwane jarmarki, gdzie wydarty prawie sobie lichy ten dobytek zostawia za podrobioną czapkę, za łataną sukmanę, za ogromne i kaleczące buty, a najczęściéj za wódkę. Firlej w krótkim czasie potrafił mu inną nadać postać. Rynsztoki ściągnęły błoto i osuszyły rynek i ulice; forszus dawany na wypłatę oporządził domy; nowe budowy na przędzalnie, na ogromne kuźnie, gdzie się wyrabiały rozmaite narzędzia gospodarskie, wszelkiego gatunku żelaztwa do budowy i do fabryk potrzebne; wielkie stolarnie i stelmacharnie w oddzielnych mieszczące się budynkach; magazyny zbożowe na przypadek nieurodzaju; sklepy, gdzie były składy odzienia, tanie i ozdobne tkanki, stosy płócien i nici, sprzedawane wieśniakom za ceny fabryczne; nowe domy i warsztaty dla rozmaitych fabrykantów i rzemieślników, z różnych stron kraju zwołanych i już w znacznéj liczbie osiedlających się: — wszystko to otworzyło mieszkańcom miasteczka i okolicy źródła zarobku, zachęciło ich do ruchu, do pracy, do porządku; ocknęło z letargu nawet żydów, i każdemu podało w rękę to młot, to piłę, to topór, to kielnię, to inne jakie narzędzie, które okryło lepszém odzieniem grzbiet dawniéj nagi, rozlało rumieniec na twarz dawniéj bladą, a w usta niegdyś klnące lub wykrzywione pijaństwem włożyło śpiewkę wesołą i słowo wzajemnéj zachęty i błogosławieństwa.

Zastał Gabryel Firleja w jego biurze, gdzie kilkunastu ludzi różnego wieku pracowało. Siedział on nad rachunkami, a na ogromnym stole leżały w około plany budowli, mappy wiosek i miasteczek, anszlagi i wyrachowania rozmaitych przedsięwziętych robót. Przyjął go uprzejmie i poważnie, nie narzucał mu się z oprowadzaniem, po-

kazywaniem skutku swoich działań, wyłożonych na nie kosztów; ale zaprosiwszy do swego mieszkania, którego najpiękniejszą ozdobą była spora już biblioteka, kilka kapitalnych obrazów, i w oddzielnym pokoju zbiór rozmaitych modeli do warsztatów, narzędzi i budowli użytecznych, posadził go w niewielkim saloniku i wesołą zabawiał rozmową. Gabryel był smutny i upokorzony, mało mówił, i nie śmiał prawie oczu podnieść na człowieka, na którego czole była taka pogoda, w którego twarzy wyrażał się spokój serca i to przekonanie, że życie obywatela nie jest rzeczą płochą, marną błyskotką, która powinna przebrzmieć bez odgłosu i zniknąć bez śladu i znaczenia.

Niedługo mógł stan ten wytrzymać Gabryel. Pożegnał wkrótce mniemanego swego rywala i z sercem ściśnionem, a zamgloném gorzkiemi wspomnieniami okiem, przejechał ożywione i pracujące miasteczko. Widok ruin zamku, mimo których wieźć się kazał, i których mury połamane rysowały się malowniczo na niebie czystém i pogodném, przejął go bólem i zwrócił myśl jego do chwil upłynionych ciężkich i grzesznych, ale które w piersi jego zostały wieczną tajemnicą. Blady i znękany przybył do domu; a gdy Helena przybliżyła się do niego, usiadła przy nim i rozmowę z nim zawiązać chciała, spojrzał na nią z miłością i żalem, wziął jéj rękę i trzymając i tuląc, oparł głowę na dłoni i w głębokiém pogrążył się zamyśleniu.

Gdyby był w téj chwili zjawił się ks. Pilecki z szanowną swą postacią, z pełną łagodności i przebaczeniem twarzą, z tém czołem jasném, które włos biały jakby aureolą jaką otaczał, z temi ustami pełnemi prawdy, które tak dobrze umiały cele życia wykładać; gdyby była przy-

szła Apolonia z całą boleścią matki zawiedzionéj, zapomnianéj, a jednak kochającéj, i przemówiła do niego tym głosem serdecznym, tém słowem potężném, które najpierwsze uderza o duszę dziecka i uśpioną w pieluszkach niedołężnego ciała budzi do świata i życia; kto wié, może opór Gabryela nie byłby tylko myślą, ale czynem stanowczym i śmiałym; może byłby już wówczas uratował i siebie, i pociągnął za sobą na drogę zbawienia i tę piękną i ukochaną istotę, która warta była, aby i na nią padł promień prawdy i miłości, a która go dotąd może mimowolnie na drogę zguby ciągnęła. Ale oni oboje zostawieni byli własnéj swéj mocy; a ich moc spętało użycie, skrępowały nałogi zbytku i rozkoszy, sparaliżował i strach utraty tego blasku, co ich otaczał, i bez którego rozmiękła ich dusza nie pojmowała już bytu na ziemi, i bojaźń wiecznego rozdziału, którym w razie najmniejszego nieposłuszeństwa zagrożeni zostali. Ta więc chwila zbawienia minęła bez skutku, i nic się stanowczo ani w około nich, ani w nich nie zmieniło. Owszem, wzmagające się przeczucie blizkiego rozwiązania tak dziwnie splątanego życia, — wiszące nad nimi, jak miecz na włosku, słowo prześladującego ich złego ducha, który mógł dziś, lub jutro zawołać na nich: — Chodźcie! już dosyć! — dawały im potrzebę coraz nowego odurzania się i coraz huczniejszych uciech. Nie przeszedł więc dzień bez jakiéjś świetnéj rozrywki, nie przeszedł wieczór bez uczty, na któréj Gabryel rozlewać kazał szampana swym gościom, a i sam w nurtach jego pienistych zaczął trwogi swe zatapiać.

Raz w takiéj chwili dano mu znać, że ksiądz Pilecki jest w przedpokoju.

— Nie przyjmować — zawołał nie namyślając się — powiedz, żem chory i widzieć się nie mogę.

Próżno zacny starzec kilka dni bawił w Dusanowie; to z natręctwem dopominał się, aby go do Gabryela lub do Heleny dopuszczono, to czatował przy bramie, aby wyjeżdżających lub wychodzących na spacer spotkał, to wylawszy na papier całą gorycz swych uczuć, w liście do pałacu przesyłał. Nie przyjmowano go, gdy przychodził; ani Gabryel, ani Helena nie wychodzili wtedy, gdy po godzinach całych, jak żebrak, stał przy bramie; a listy jego nierozpieczętowane do rąk mu napowrót oddawano.

— Przewidywałem, że tak będzie — mówił sam do siebie i z rozpaczą w sercu powrócił do Halicza. Apolonia z suchém okiem słuchała jego opowiadania. Serce jéj nie wierzyło, aby ten syn ulubiony odwrócił się od swéj matki, aby ją od siebie odepchnął, aby świat i jego zepsucie były potężniejszemi, niż jéj głos, który najpierwéj rozumiał, niż jéj łzy, w których go tyle razy skąpała.

— Pójdę ja sama — mówiła sobie w duchu — pójdę o kiju żebraczym, odzieję się w dawniejsze me łachmany, stanę przed nim pochylona do ziemi, i zawołam takim głosem, jakim Anioł zawołał na umarłych: — Synu Gabryelu! patrz coś ze mnie zrobił!

To postanowienie głęboko utkwiło w jéj umyśle i czekała tylko chwili, aby czujność brata oszukać i do skutku je doprowadzić.

Tymczasem Gabryel jakby się nagle opamiętał. Zdaje się, że ten grzech ostatni, jakiego się dopuścił, ta niewdzięczność przeciwko opiekunowi i dobroczyńcy lat młodych, dopełniła już miary ciężkich prób, na jakie Opatrzność wystawić go pozwoliła. Zrobił się więc posępnym, milczą-

cym i dla żony nawet przykrym. Póki był kto obcy, póty okazywał się tylko znudzonym; ale gdy był sam, wtedy spadał z pleców jego ten pański płaszczyk i występował człowiek z pamięcią swéj przeszłości, która na jego stan obecny, a zwłaszcza na jego przyszłość okropne rzucała światło. Raz opuścił całą kompanią, chodził długo w takiém usposobieniu po innéj pustéj sali, potém poszedł do swego pokoju i na klucz się zamknął. Noc była cudna; księżyc pływał po niebie cicho i spokojnie; gwiazdy iskrzyły się, a z otwartego okna szło do pokoju świeże i wonne powietrze. Stanął w niém Gabryel i patrzał na rozległy ogród, otaczający pałac; przypatrywał się gruppom rozmaitych drzew, które lekki powiew, jakby rozkosznie łechcąc, kołysał; starał się oderwać od ludzi, ich społeczności, i zapomnieć o tém bezdrożu, na które zboczył; starał się wydrzéć z tych szponów, w które i sam wciągniętym został, a wiążąc się z naturą przez wspomnienia dawnéj swéj dla niéj miłości, przysłuchywał się téj mowie poetycznéj, jaką w czasie nocy pogodnéj i cichéj ziemia rozmawia z niebem. Zajęty temi myślami, uczuł, że mu lżéj na piersiach; podniósł więc oczy w górę i postrzegł tę samę konstellacyą, tak sobie dobrze znaną, która tkwiła nad Haliczem i nad domem rodzicielskim, któréj tyle razy przypatrywał się, gdy był we Lwowie, za pośrednictwem któréj przesyłał pozdrowienie wujowi swemu i pocałowanie serdecznéj swéj matce. Widok ten wzruszył go do głębi serca. Wspomniawszy, z jaką niewdzięcznością odepchnął od siebie dobroczyńcę swego dzieciństwa, wyciągnął mimowolnie ręce ku téj stronie, gdzie go te migające gwiazdy zdawały się powoływać, i z całéj mocy dawnéj swéj miłości zawołał: — O matko moja! gdzie ty? —

W téj saméj chwili postrzegł przed oknem światłą i przezroczą postać, która prędko mignęła i jakby go skrzydłem swém owiała i orzeźwiła. Świętém przenikniony drżeniem upadł na kolana, złożył ręce, i po raz pierwszy od lat trzech, gorąco modlić się zaczął.

Czy Twardowski nie chciał, czy nie mógł temu odrodzeniu się Gabryela przeszkodzić, i odstąpił, postrzegłszy zapewne silniejszy i święty zastęp, który nawróconego do rodziny, do modlitwy i nieba, tarczą swą osłonił, tego nie wiemy, a zatém i opisywać nie będziem. Powiemy tylko, co się po téj pamiętnéj nocy stało.

Gdy się dwór cały obudził i krzątać się zaczął, spostrzegli wszyscy z podziwieniem, że młodego ich pana nie było. Wczoraj nie rozbierał się i nie kładł się, a zatém w nocy wyszedł, ale gdzie i kiedy, tego nikt nie wiedział. Podziwienie było tém większe, gdy koło godziny dziesiątéj pani wyszła od siebie blada i zapłakana, gdy nie zapytując nikogo o męża, kazała sobie podać karetę i sama, bez Karliny, niewiadomo dokąd wyjechała. Mowy o tym wypadku i oczekiwanie ich powrotu trwały przez trzy dni. Wkrótce znalazł się inny przedmiot, z powodu którego o Gabryelu i Helenie w Dusanowie mówić i powrotu ich oczekiwać przestali. Pan Strzembski zaraz na drugi dzień po zniknieniu Gabryela i wyjeździe Heleny, spostrzegł, że czas mu wystąpić. Wiedział on, że chmura majątkowi zagraża i lada dzień odezwie się ze swym grzmotem. Postarał się więc o to, aby był pierwszym. W skutek więc jego reklamacyi i pretensyi, zjechał komisarz cyrkularny, wszystko opieczętował, pałac zamknął i majątek cały w tymczasową administracyą panu Strzembskiemu oddał. Jednocześnie na skutek innych reklamacyi to samo zro-

biono z przepyszném mieszkaniem we Lwowie. Wieść o tém wszystkiém gruchnęła po całym kraju, w mgnieniu oka doszła do Brodów i do innych miejsc, budząc wszędzie tłumy wierzycieli, którzy dotąd drzémali tylko, i czekali pierwszego hasła do ogólnego powstania. Nie upłynął miesiąc, a massa wexlów, skryptów i innych obligów tak krajowych, jak z zagranicy przysłanych i rządownie reklamowanych, podniosła summę długów do tak przerażającéj ilości, że jakkolwiek majątek był wielki, a sprzęty i inne kosztowne rzeczy w dwóch wspaniałych mieszkaniach nadzwyczajnéj wartości, ledwie połowa wierzycieli mogła się spodziewać, że jako tako zaspokojoną zostanie. Tak więc cały ten przepych, cały zbytek, całe oddanie się uciechom świata i poślubienie wszystkich rozkoszy ziemskich, skończyło się bankructwem, nędzą i zapomnieniem. Fajerwerk kosztem duszy założony pękł, zaświecił różnokolorowemi ogniami i zgasł; zostały tylko osmolone papierki, które wkrótce wiatr rozwiał bez śladu.

XXI.

Gdy się to wszystko działo w Dusanowie, gdy pan Strzembski przejeżdżał się po wsiach zapuszczonych, a powtarzając sobie swój ulubiony motyw, wcale inaczéj zaczął gospodarować, gdyż spodziewał się, że wkrótce przyznaną mu zostanie własność tych dóbr, i otworzy się przed nim pałac, do którego dawniéj ze schyloną głową wchodził, stanęła tam Apolonia.

Rozporządziwszy gospodarstwo, które skłaniało się do upadku, i wziąwszy z sobą tylko Agatę, posłuszną jéj i nie wiedzącą co robi, wyszła ona z Halicza tajemnie

i długo się błąkała, nim nareszcie trafiła do tego miejsca, gdzie spodziewała się znaléźć syna i wydobyć go z rąk pokusy i zatracenia. Znękana podróżą i głodem, bosa i o kiju, wspierając się tylko czasem na obłąkanéj dziewczynie, usiadła pod figurą stojącą nade drogą, i patrzyła ze wzgórza na rozległą wieś, na białe murowane zabudowania, na pałac obszerny i wielki, o którego liczne okna uderzały promienie zachodzącego słońca i ogniem swoim oblewały.

— Tam mój Gabryel! tam moje dziecię! — wołała, wyciągając ręce, i w sercu jéj macierzyńskiém miłość i przebaczenie tłumiły wyrzuty, z jakiemi przed nim stanąć i powitać go chciała.

— Tam Gabryel? — zawołała Agata. — A cóż ja zrobię? mój ty Boże! jaka ja biedna! Widzisz, babciu! kazałaś mi się rozebrać, mówiłaś, że to tylko raz w życiu, ja ciebie usłuchałam i rozebrałam się, a teraz co?... Ach! żeby mnie tylko tak nogi nie bolały, tobym pobiegła i wzięła swoje sukienki. Ej! co tam, przynajmniéj inszy wianek sobie splotę. Bo przecież muszę być ładna i młoda, żeby ludzie nie patrzyli na mnie, jak na dziwoląga, i żeby mnie Gabryel bardzo kochał... tak jak ja go kiedyś bardzo, bardzo kochałam.

To mówiąc rzuciła pęk chwastów, który miała w ręku, i poszła, rwąc nade drogą trawy i kwiatki, jakie jéj pod rękę popadły, potém zaczęła prędko wiązać wianek i śpiewać następującą piosneczkę:

Nie płacz, miła, nie płacz, droga,
Wszak niedziela tuż;

A w niedzielę, w imię Boga,
Będziesz moją już.

Matka dom ci swój otworzy,
Pocałuje skroń;
I na głowie twéj położy
Żegnającą dłoń.

Drużki przyjmą cię z pieśniami,
Skończy się twój ślub;
Potém przyjdą ze świecami,
I wykopią grób.

I daleko gdzieś od ludzi,
Będziesz cicho spać;
Aż cię ze snu Anioł zbudzi,
I znów każe wstać.

Nie płacz, miła, nie płacz, droga,
Wszak niedziela tuż;
A w niedzielę, w imię Boga,
Będziesz moją już.

— Wszystko to dobrze i czegoż chcieć? — mówiła zastanawiając się. — Ale cóż? kiedy to niewiedzieć kiedy będzie, a tu mnie tak nogi bolą i płakać się chce.

I westchnąwszy głęboko, usiadła niedaleko od Apolonii, a wsparłszy głowę na ręku, siedziała tak pogrążona w myślach, które dziwnie plątać się musiały, bo wkrótce zaczęła się uśmiechać i nie wiedziała zapewne o tém, że łzy płynęły po jéj twarzy.

W tym samym czasie do Apolonii zbliżyła się kobieta stara, w lichém odzieniu, z czerwoną jakąś płachtą na głowie, z pod któréj rozczochrane włosy wymykały się na twarz brzydką i szyderskim uśmiechem zeszpeconą. Czytelnicy łatwo się domyślą, że to była Anastazya.

— Dobry wieczór wam — rzekła, przechodząc mimo.

— Dobry wieczór — odpowiedziała Apolonia. — Jeżeliś tutejsza, kobieto, to powiedz, czy to jest Dusanów?

— A to — rzekła Anastazya, i ukazując swoją laską na budynki, które przed niemi leżały, dodała: — To jest pałac, w którym niedawno było bardzo wesoło, teraz pusty i zamknięty; a to karczma, gdzie ludzie piją i hulają, jak gdyby panowie ich nie byli w biedzie, i nie wałęsali się gdzieś po świecie.

— W biedzie? to oni w biedzie? co ty mówisz stara? — zapytała strwożona Apolonia.

— Et, co mówię — odpowiedziała czarownica ze złośliwym śmiechem — mówię to, co jest. Szumieli i wyszumiało się, rozrzucali bez pamięci djabelskie złoto, nareszcie djabłu sprzykrzyło się dawać, i teraz nie wiedzieć gdzie wałęsają się, i może boso i o kiju, tak jak ja i ty, coś także pewnie ze dwa dni łyżki strawy nie widziała.

— O mój Boże! — zawołała Apolonia, załamując ręce — więc go znowu nie obaczę!

— A kogoż to szukasz, biedna kobieto? — zapytała Anastazya z udaném współczuciem.

— Kogo szukam? — odpowiedziała z bólem. — A kogóż mam szukać, jeśli nie syna, którego jakiś zły duch opętał, który nie słuchał mojego głosu, zapomniał o téj piersi, co go wykarmiła, zrobił się wielkim panem

i tu mieszkał, a teraz mówisz, że w biedzie i błąka się po świecie?

— E, jeżeli tak, toś się wybrała za późno — rzekła baba — już go niéma, niéma. Jakoś trzy lata temu, jak go widziałam w zamku Firlejowskim, gdzie mówili, że był w gościach u djabła i ztamtąd gdzieś przepadł, i słuch o nim zaginął. A potém wrócił tu wielkim panem, i znowu go niéma. Ale może mi nie wierzysz? idź do wsi, tam ci wszyscy powiedzą. Chciało mu się państwa, pałaców i pięknéj żony, taj zapisał się djabłu. Djabeł dał państwo, pałac i żonę, ale czy to na długo? gdzie tam! ot nie wyszło dwóch lat, a i państwo przepadło, i żona gdzieś bez wieści zaginęła, a duszę pewnie djabeł w rękach swych trzyma i nie wypuści jéj. Pilno jemu było wtenczas do tego przeklętego zamku, który każdy omija.

— Gdzież to ten zamek? — zapytała Apolonia.

— Czybyś tam poszła? — rzekła Anastazya, patrząc na nią z ukosa. — Oj! tam ten sam djabeł. To jego gniazdo.

— Alboż nie jestem matką, kobieto? alboż nie powinnam go szukać wszędzie, gdzie tylko dowiem się, że tam był, że tam oddychał? Czy myślisz, że się zlęknę tego, który tam mieszka? i nie zaklnę go krzyżem i głosem mego serca, aby mi oddał syna, którego zgubił?

— Szkoda twoich nóg — odpowiedziała czarownica — ale idź, idź. Jak miniesz wieś, weź się na lewo. Droga szeroka i równa, tam każdy ci powié, gdzie Firlejów, a o ćwierć mili ztamtąd nad jeziorem stoi i zamek. A to twoja dziewczyna tam siedzi taka zadumana? Czy i ona go szuka! Oj! szkodaż jéj, szkoda. Widać, że była kiedyś rumiana i żwawa; usteczka jéj śmiały się i śpiewały,

nogi były ochocze do tańca, serce do kochania, a głowa do figlów i psot wesołych. Teraz coś zwiędła i zmarniała, nie ma rumieńca na jéj twarzy i oczy jéj nie błyszczą, a myśli jéj poplątane, jak motek nici, które tylko śmierć potrafi rozplątać i na porządny kłębek nawinąć. Szkoda, szkoda téj dziewczyny. Ale jéj lepiéj na świecie, niż tobie. Ona już niedługo będzie zbierać kwiatki do wieńca, a twoje łzy może nie zaraz jeszcze oschną. Idź, idź, Apolonio, szukaj swego Gabryela! może go znajdziesz, a może i nie znajdziesz, ja nie wiem.

Przestraszona Apolonia temi słowy, porwała się z miejsca, spojrzała na czarownicę, z któréj ust takie wychodziło proroctwo, mimowolnie prawie pobiegła do Agaty, podniosła ją z miejsca, i utuliwszy w swojém objęciu, zakryła przed oczyma nadchodzącéj za nią Anastazyi. Anastazya, przechodząc mimo, zaśmiała się głośno, i zwróciwszy się na prawo drożyną, idącą między wysokiém już zbożem, wkrótce z oczu jéj znikła.

Tymczasem wieczór się zbliżał, słońce zachodziło jasno i spokojnie, rozwijające się kłosy żyta i pszenicy lekko się pochylały pod kroplami spadającéj na nie rosy, z daleka dochodził turkot wozów chłopskich, wracających z pola, ryk krów, niosących pełne wymiona do domu; chłód świeży następował po upale dnia i niósł zdrowie i pokój do każdéj piersi, strudzonéj całodziennym mozołem; cała natura wzywała do odpoczynku istoty żyjące, jakby oddając je pod bezpieczne skrzydło nadchodzącéj nocy; a Apolonia nie czuła ulgi w swym trudzie, wieczór nie odświeżył jéj piersi, nie ochłodził łez gorących i gorzkich, które po jéj licu spływały. Trzymając i tuląc do siebie obłąkaną dziewczynę, patrząc w niebo,

którego pomocy i łaski żebrała, stała nade drogą, jak posąg Nioby, co straciwszy wszystko, co miała najdroższego, tuliła do piersi swéj ostatnią istotę, co macierzyńskiemu sercu jéj tyle przynieść miała pociechy. Tak ją zaskoczyła noc w polu, samą, głodną, bez nadziei obaczenia syna, nie wiedzącą co z sobą zrobić i dokąd się udać.

Nazajutrz dowiedziała się Apolonia w Dusanowie, że wszystko to, co jéj mówiła złowroga baba, było prawdą. Nikt nie wiedział, gdzie się podział Gabryel, dokąd wyjechała Helena. Upewniano ją tylko, że już tu nie mają po co wracać, bo teraz panem tych dóbr jest niegdyś ich rządzca, który sobie na nich ogromne summy narachował i z innemi kredytorami układa się; że oni więcéj mają długów, niż włosów na głowie, i że gdyby byli nie uciekli i nie skryli się, toby ich pewno wsadzono do więzienia, takie ze wszystkich stron są na nich krzyki i skargi. Upewniano ją także, że ich niegdyś pan wdał się z djabłem, brał, brał od niego pieniądze póty, póki ten nie wziął jego duszy, co zapewne musiało nastąpić téj nocy, kiedy przepadł, bo wtenczas słyszeli ludzie jakiś straszny łoskot i tu, i koło zamku Firlejowskiego, gdzie coś czarnego, jakby z kimściś pod pachą, popędziło na koniu i między ruinami przepadło. Biedna matka wysłuchała tych wszystkich baśni, które jéj ludzie ze zwykłą obojętnością i uśmiechem szyderskim w oczy rzucali, nie wiedząc, jak ranią jéj serce, jaką boleść do duszy jéj wnoszą. Wszakże nie straciła jeszcze nadziei. Ukrzepiwszy się świętém postanowieniem, wezwawszy na pomoc Boga i tego Anioła, który od młodości nad nią czuwał, wzięła za rękę obłąkaną towarzyszkę swą i poszła do Firlejowa.

Po kilkogodzinnéj podróży stanęły przed jéj okiem

ruiny zamku. Gdy się zbliżyła do rozwalonych i milczących murów, zaczęła się cicho modlić, położyła krzyż na swoich piersiach i na czole Agaty, i kalecząc zmęczone nogi na ostrych kamieniach, uścielających drożynę, która wiodła do bramy, weszła na dziedziniec. Strach ją ogarnął, gdy obaczyła te połamane ściany, wiszące urwiska, arkady wpół rozwalone; gdy ta pustka milcząca, zachodzącém już słońcem oświecona, przemówiła do niéj całą swą przeszłością, i objęła ją zgrozą tych wszystkich pokus, jakim tu syn jéj podlegał. Ale nie upadła na duchu. Oglądając się w około, mówiła sobie:

— Okropne to miejsce, to prawda, ale jakążbym ja była matką, gdybym się ulękła, gdybym nie przerzuciła tych gruzów, gdybym nie wynalazła przynajmniéj śladów mego syna, jeżeli tu był, jeżeli ztąd na nowo rzucono go w świat, aby się błąkał, i w nędzy gdzie i grzechu zginął. — Potém, wstępując do wnętrza ruin i budząc w sobie jakąś nadnaturalną siłę, zawołała głośno: — Przeklęty duchu, któryś tu obrał siedlisko! W Imię tego, co włada niebem i ziemią, który w sercu słabéj kobiety złożył najwyższą miłość, jak w twojéj piersi najwyższą nienawiść, wzywam cię, wystąp i powiedz mi, gdzie jest ten, któregoś mi wydarł?

Ale na to potężne wezwanie matki w rozpaczy tylko echo rozwalin głucho odpowiedziało, tylko puszczyk spłoszony odezwał się z jękiem, tylko kamień, gdzieniegdzie palcem niewidomym czasu trącony, spadał z szelestem, jakby znaczył swym upadkiem godziny bytu téj kruchéj ludzkiéj budowy. I wkrótce znowu wszystko umilkło, i żaden głos zbolałéj duszy Apolonii ulgi nie przyniósł. Usiadła więc biedna na złomie kamieni, i posadziwszy

u nóg swych Agatę, która oparła głowę na jéj kolanach i patrzała naokoło z uśmiechem, jakby sobie coś z dawniejszych czasów przypominała, oddała się gorzkim myślom. Okropnaż bo to chwila dla serca ludzkiego, kiedy ostatni promyk nadziei ucieka, znika jak deska zbawienia, która wyrywa się z rąk tonącego i którą bałwan morski w inną odrzuca stronę. W myślach, jakie taka chwila podać może, przesiedziała Apolonia na ruinie noc całą. Spodziewała się ona, że może dowié się czegokolwiek, gdy przyjdzie godzina duchów; — że jaka postać straszliwa i nadzwyczajna stanie przed nią i zapyta jéj: — Pocoś tu przyszła? — A ona nie ulękła zawołałaby: — Oddaj mi syna! Wróć mi mojego Gabryela! — Ale krótka letnia noc przechodziła w milczeniu. Żaden głos się nie odezwał, żadna nie zjawiła się postać. Kamyki tylko kiedy niekiedy spadały z wysokich murów, a przez poszczerbione okna i połamane arkady księżyc jasny i cichy zaglądał, i promieniami swemi oświecał bladą twarz Agaty, która u nóg jéj spokojnie i smaczno spała. Dopiéro o samém świtaniu zamknęły się zmęczone powieki Apolonii. Wtedy przyśniło się jéj, że szyła dla siebie całun. Uradowana i pocieszona, pracowała z nadzwyczajną pilnością. Wtém jasność wielka uderzyła jéj oczy. Podniosła więc głowę i spostrzegła przed sobą swojego Anioła. Twarz jego była piękna i rozradowana, a od białych skrzydeł jego biły boskie promienie. Gdy złożyła ręce z pokorą i patrzała nań z oczekiwaniem, posłaniec Boży rzekł jéj: — „Połóż to, Apolonio, jeszcze nie czas! Syn twój żyje. Obaczysz go.“ — Gdy go chciała zapytać, gdzie? i kiedy? Anioł ukazał jéj tylko ręką stronę, i znikł wśród jasności. Obudziła się Apolonia z lekką

i ukrzepioną piersią. Łzy pobożnéj wdzięczności płynęły po jéj twarzy, a gdy się obejrzała wokoło, gdy poczuła świeży oddech letniego poranku, ruiny, wśród których siedziała, wydały się jéj mniéj straszne, bo niebo nad nią było pogodne, bo do duszy jéj wstąpiła nadzieja, że znajdzie swego jedynaka, i wiara w słowo Boskiego pocieszyciela, który jéj nigdy nie odstępował.

Obudziwszy więc Agatę, wyszła z zamku, nie oglądając się na te złomki, gdzie już pewną była, że syna jéj niéma, i stanąwszy na kamienistéj ścieżce, na którą wczoraj w innóm zupełnie usposobieniu wstępowała, namyślać się zaczęła, dokądby się udać. Wtedy na drodze, o parę set kroków ztamtąd do blizkiego miasteczka prowadzącéj, spostrzegła podróżnego, który stał oparty na kiju i zdawał się smutno zamkowi przypatrywać. Widok ten dziwnie ją dotknął. Przyśpieszyła więc kroku, ile mogła, i zbliżając się coraz, widziała, że to był człowiek młody, urodziwy, ale na twarzy jego znękanéj były ślady czy przewinień, czy bólu, które ją zrobiły bladą i poważną. Odzienie jego było proste, nogi bose, w ręku kij podróżny, a na głowie, oprócz jasnych dużych włosów, nie miał żadnego nakrycia. Za każdym krokiem serce gwałtowniéj biło w piersiach Apolonii. A gdy się jeszcze zbliżyła, serce to poznało tego, którego pierwsze ocknienie do życia i bytu dało mu niewymowną radość, którego pierwszy płacz został w niém na zawsze, jako echo najwyższego szczęścia na ziemi.

— Gabryelu! — krzyknęła wówczas Apolonia, wyciągając do niego ręce. Gabryel ocknął się z zamyślenia, poznał swoją serdeczną matkę, ale widok jéj przejął go takim bólem i wstydem, że stał jak w osłupieniu, i nie

śmiał rzucić się w jéj objęcia. Apolonia, przystępując do niego, wzięła jego rękę i z głębi duszy zawołała:

— Gabryelu! to ja! Synu mój! to głos matki twéj, któréj Bóg nie opuścił, któréj święty Anioł jego tylko co powiedział, że cię znajdzie, że cię obaczy! I święte jego słowa sprawdziły się. Teraz wszystko już przeszło, teraz mam cię, i żadna już siła od piersi cię moich nie oderwie. — Wtedy wziąwszy znowu w obie dłonie jego głowę, przytuliła ją do łona i z uniesieniem całować zaczęła.

— Biedna matko! — rzekł wówczas Gabryel, jakby przychodząc do siebie i przypatrując się jéj. — Com ja z ciebie zrobił! Włos twój posiwiał od gryzących myśli, twarz poryły łzy za mną, a postać twoja pochyliła się i zmalała, tak ją przygniotła troska i boleść, żem cię zawiódł, żem złote twoje nadzieje w proch obrócił. Przebacz, dobra matko! — dodał padając przed nią — i niech winy moje zmyje ten płacz gorzki, którym nogi twe bose i pokaleczone obmywam.

— Powstań synu! — odpowiedziała Apolonia — taka była wola Tego, który zlitował się nad nami i pozwolił nam chwili téj dożyć.

Powstał Gabryel, otarł łzy, i patrząc na Agatę, która, nie wiedząc, co się wkoło niéj dzieje, odeszła kilka kroków, i zrywając polne kwiatki, przypatrywała im się z uśmiechem, rzekł:

— A taż biedna istota! O matko! to rana wieczna, niezgojona w mojém sercu.

— To moja wina, synu! — odpowiedziała Apolonia z ciężkiém westchnieniem.

— I nie twoja, dobra matko! — rzekł Gabryel — tyś chciała mojego szczęścia, a ja... Ale nie mówmy

o tém, co się już naprawić nie da. Usiądź tu, matko droga, i pomówmy z sobą, póki jeszcze będziemy razem.

— Póki będziemy razem? — zawołała strwożona — chcesz mię znowu opuścić? dokądże ty idziesz? dla czego na tobie to liche odzienie? czemu nogi twoje bose? kij podróżny w ręku? i głowa twoja od upału i słoty niczém nie nakryta?

— Uciesz się, dobra matko! że mnie tak widzisz — odpowiedział Gabryel z uśmiechem. — Gorzéjby ci było, gdybyś mię obaczyła w bogatém ubraniu, w wielkim pałacu, na axamitach i kobiercach. Wówczas możebym cię był nie poznał, możebym cię odepchnął od siebie, tak jak odepchnąłem tego, co był naszém światłem, co był moim i twoim dobroczyńcą. A teraz, ubogi i bosy pokutnik, przyciskam cię do serca i wołam z głębi duszy: serdeczna matko moja! jam twój syn! jam twój Gabryel!

Płacząc z radości, usiadła Apolonia na małym pagórku nad drogą, on usiadł przy niéj, trzymał jéj rękę, a Agata chodziła sobie niedaleko, uśmiechała się do każdego kwiatka, do każdego chwastu, który zerwała, i wiążąc je z sobą, nuciła piosneczkę, któréj tęskny odgłos mieszał się do rozmowy matki i syna.

— Bóg pozwolił — mówił Gabryel — abym wpadł w takie ręce, które mię szybko i nieubłaganie ciągnęły do zguby. Tu, w tych murach, którym teraz z bezpieczeństwem, choć ze smutném wspomnieniem, przypatrywałem się, popełniłem pierwszy grzech: tu najprzód zapomniałem o tobie. Jak się to stało, na cóż ci to, dobra matko, wiedzieć? przez jakie przechodziłem koleje, to w części wiész i powtarzać ci tego nie trzeba. Widziałem wiele krajów i ludzi; użyłem wiele tak zwanych uciech

świata; rozrzucałem miliony; zadziwiałem przepychem; z dumą i pogardą patrząc na takie strzechy, jak ta, gdziem ujrzał niebo i słońce, zamieszkiwałem same pałace; otrzymałem nawet prawdziwe dobro, miłość téj, co zapewne bez swéj woli pomagała do mojéj zguby i zatracenia; a przecież nie było radości na mojéj twarzy, ani szczęścia i pokoju w mojéj duszy: bo przy boku moim stał zły duch, którego był dziełem cały ten blask, jakim mnie otoczył, całe to przerodzenie mojéj natury prostéj, poczciwéj i z pod serca twego wziętéj, którém mię tak skrzywił i poniżył. I wiész, matko, co mnie uratowało?

— Co, synu jedyny? — zapytała, tuląc jego rękę i patrząc mu w oczy.

— Niedawno, w jednéj ciężkiéj chwili — mówił Gabryel z melancholicznym wyrazem twarzy — patrzyłem z okna mojego pałacu na otaczający go ogród. Noc była jasna i cicha; księżyc błąkał się po niebie i poglądał na mnie z góry; cała natura zdawała się do mnie przemawiać i przesyłać mi słowa przestrogi. Widok ten wzruszył mię niewymownie; podniosłem oczy do nieba, obaczyłem te gwiazdy, którem ci nieraz pokazywał, żem ci przez nie ze szkół serdeczne przesyłał pocałowanie; i obraz mojego dzieciństwa, wspomnienie twoich pieszczot i opieki, twoich rad i nauk, wszystkie echa domu i rodziny odezwały się we mnie tak żywo, tak potężnie mnie czarem swym ogarnęły, żem wyciągnął ręce do ciebie, i z całéj duszy zawołał cię na ratunek. — I patrz, w téjże chwili zdało mi się, że jakaś postać promienna przemknęła się przed mojém oknem i oświeciła moję duszę zamgloną i upadłą. Pierwszy raz od lat kilku odważyłem się upaść na kolana, i po długiéj dawniejszéj modlitwie, takiéj, jakiéj mnie ty nau-

czyłaś, powstałem tym, jakim byłem kiedyś przy twoim boku, pod okiem twojéj miłości, pod kierunkiem świętego człowieka, co modlitwę dziecka umiał zamienić w czujące siebie wzniesienie dojrzałego ducha.

Umilkł Gabryel, a Apolonia złożywszy ręce, dziękowała Bogu, że jéj takiego syna oddał.

— Téj saméj nocy — mówił Gabryel daléj — opuściłem pałac, któregom już nie uważał za swój. Téj ukochanéj istocie, za któréj szczęście i nawrócenie codzień modlę się i modlić się będę, zostawiłem piśmienne pożegnanie, wskazówkę dalszéj jéj drogi i nadzieję, że się kiedyś znajdziemy i połączymy. O matko! jak mi było dobrze i lekko, gdym się ujrzał ubogim, obnażonym ze wszystkich dostatków, wolnym od tych grzesznych bogactw, które mnie, marnotrawnemu próżniakowi, dawała złoczynna i na zgubę moję nastawiona ręka. Dla przekonania się, czy mnie ten zły duch odstąpił zupełnie i nade mną moc swoję utracił, przyszedłem umyślnie tu, gdzie się niedola moja zaczęła, i gdzie dla postrachu gminu niby siedzibę swoję założył. Wśród tych ruin przepędziłem dzień cały, a gdy przyszła noc, czekałem modląc się, czy się nie zjawi, czy kopyta jego konia na brukach zamkowych nie zatętnią. Ale wokoło mnie było cicho, tylko puszczyk czasem się odezwał, lub złomek jaki spadający z murów zaszeleścił. Wkrótce oparłem głowę na kamieniu i zasnąłem, i spałem tak smaczno, jak gdybyś ty, serdeczna matko, łóżeczko moje usłała i sama ręką mnie swoją utuliła. Obudziłem się spokojny, wesoły i szczęśliwy, i wówczas pomyślałem, co mi czynić wypadało. Bóg dał mi dobre natchnienie. Opuściłem te ruiny, najpierwszemu wędrownikowi, któregom spotkał, darowałem

moje piękne i kosztowne stroje, wziąłem od niego tę biedną sukmanę, ten kij pielgrzymi, i poszedłem do pierwszego miejsca, uświęconego cudami, jakie mi pobożni ludzie wskazali. Znalazłem je, przebyłem tam czas niejaki, i wtedy dopiéro udałem się do Halicza. Ciebie już wówczas nie było; ale widziałem dom ojcowski. Matko! — dodał z bólem — on się pochylił, on zmarniał, on wszędzie okazuje ślady mojego niedbalstwa, mojéj ciężkiéj winy i twojego bólu. Warsztat nasz ucichł, porozbiegała się czeladź, chwasty zaległy ogród, porozgradzały się płoty; szyby, przez któreś mnie wyglądała, zastałem potłuczone, dach, pod którym mnie wykarmiłaś, podziurawiony, a ten ganeczek, na którym uczyłaś mnie pacierza, w rozsypce i upadku. Dąb tylko na dziedzińcu stał jak dawniéj, i bocian na nim na jednéj nodze czekał; ale i ten patrzał na mnie smutno, jak gdyby mi ciężkie czynił wyrzuty. Zapłakałem gorzko i poszedłem obaczyć nasze pole. Zastałem je puste i niepoorane. Upadłszy więc na twarz na téj ziemi, którą ręce ojca mego uprawiały, przepraszałem cień jego, błagając, aby mnie natchnął, co mam czynić, abyś mi i ty przebaczyła i niebo winy mc odpuściło. Już było ciemno, gdym powstał spłakany, i usiadłem pod tym dębem samotnym, co tam stoi od wieku, jak stróż naszéj własności, i spocone czoło robotników cieniem swym ochładza. Tam i ojciec mój siadywał w południe, ja tam nieraz spałem po swywoli. O matko! tam mnie widać twoja modlitwa zaprowadziła, abym drogę swą wynalazł, nie błąkał się w życiu bez celu i myśli, i nie sterczał na drzewie społeczności, jak ten wilk nieużyteczny, z którego ani kwiatu, ni owocu. Zmęczony

drogą i łzami wkrótce zasnąłem, a gdym się obudził, patrz matko, co się znalazło na moich piersiach.

— Szkaplerz twojego ojca! — zawołała Apolonia z podziwieniem, gdy go jéj Gabryel, odkrywając suknią swą, pokazał.

— Ten sam — odpowiedział — który wisiał zawsze nad twojém łóżkiem, na téjże wstążeczce, którą tak dobrze pamiętam. Jak się on znalazł na moich piersiach, tego nie wiem. Ale gdym zaczął całować tę świętą pamiątkę i lepiéj się jéj przypatrzył, postrzegłem na téj stronie, co do piersi mojéj przyległa, słowo pełne wagi i znaczenia, którego tam dawniéj nie było, bo było w sercu i przekonaniu tego, co go nosił. Patrz, matko! tu stoi jeden tylko wyraz, złotem wypisany, wyraz: Praca. I to jest droga, o którą błagałem; w tém jedném słowie zamyka się tajemnica mojéj przyszłości. Wypisane ono złotem, bo takie tylko złoto jest uświęconym nabytkiem. Ja rozrzucałem miliony, które mi przyszły bez trudu, ale te pochodziły od zgubnéj siły i nie dały ani szczęścia, ani błogosławieństwa. Widział to bez wątpienia mój ojciec z téj krainy, gdzie go cnoty jego umieściły, i nie kto inny, jak duch jego, zawiesił na piersi mojéj ten drogi upominek, z którym rozstanę się tylko z życiem.

To mówiąc, przycisnął do ust tajemniczy podarunek, i łza pobożna spadła na białą materyą, na któréj jaśniały dziwnym blaskiem litery, tak wielkiego w wieku naszym wyrazu.

— Niech cię Bóg błogosławi, synu! — zawołała matka, któréj twarz rozpromieniły wysoka radość i pełne rozrzewnienia w jedynaku swym rozmiłowanie się.

— Jeszcze dzwonek naszego kościoła nie wzywał na

prymaryą — mówił Gabryel — a jużem był na probostwie. Zastałem wuja na wystawie. Tam patrzył za Dniestr i odmawiał pacierze. Upadłem do nóg jego, zmyłem je gorącemi łzami. Poznał mię, podniósł i przebaczył. Opowiedziałem mu wszystko. On także pobłogosławił moim przedsięwzięciom, mojéj drodze i puścił mię od siebie. Teraz jestem już blizkim mojego celu.

— Dokądże się chcesz udać, synu? — zapytała Apolonia, biorąc spokojnie i z ufnością jego rękę.

— Tu niedaleko! — rzekł Gabryel — widzisz, matko! to piękne miasteczko, te wioski umajone, ten kraj żyzny i bogaty. Tam są ludzie weseli i czujni, zdrowi duszą i ciałem, tam wszyscy zaczęli się uczyć i poznawać, ile warta każda godzina życia, jaką się zyskuje spokój serca i szacunek bliźnich, jak się dzień jutrzejszy zabezpiecza, aby go każdy z uśmiechem, jak upragnionego gościa, powitał. Tam jest człowiek znakomity, który gromadkę swą po téj zbawiennéj drodze prowadzi, który pojął, zrozumiał swój czas, a któregom ja nie pojmował i nie rozumiał, gdym był tam. Teraz stanę przed nim z pokorą, ale bez wstydu, żem bosy i ubogi; prosić go będę, aby mi dał do rąk najcięższy młot w swoich kuźniach, włożył na moje ramiona największą belkę w swoich budowlach, aby obfity pot zlewał moje czoło i zmył z niego haniebne piętno ostatnich lat mego żywota. Pierwszy dukat, który tam zarobię, prześlę tobie, droga matko; powiesisz go, jako wotum, na ołtarzu w naszym kościele, a wuj objaśni ludziom jego znaczenie i wagę. A teraz bądź zdrowa, dobra matko! Idź do domu sama — dodał ze łzą w oku — o mnie bądź spokojna, ze mną wasze błogosławieństwo i ojcowska przestroga.

Tak się z sobą rozstali. Gabryel uściskał kolana matki, która położyła dłonie swe na jego głowie i cichą modlitwą umacniała swe serce w nadziei i wytrwaniu; z bólem ucałował czoło Agaty, która, patrząc nań obłąkanym wzrokiem i podając mu polny kwiatek, rzekła: — Daj to odemnie Gabryelowi na pamiątkę. A niech wraca za trzy dni; ja zaczekam. — Wziął Gabryel dany sobie kwiatek, ze łzami spojrzał jeszcze na matkę i na biedną dziewczynę, i śpiesznie poszedł. Apolonia wyciągnęła za nim ręce i długo tak stała, a Agata znowu rwała kwiatki na polu i smutną śpiewała piosneczkę.

Czas niejaki upłynął, a rzeczy szły już prostym trybem, nie tak dziwaczną, jak dawniéj, i nienaturalną koleją.

Pan Strzembski został dziedzicem samego Dusanowa, kupił sobie tytuł barona, i herb swój, piękną armaturą ozdobiony, kazał przybić na pałacu, po którym pani Strzembska chodziła zawsze w piórach na głowie i gdzie na axamitnych rozlegała się kanapach. Resztę dóbr sprzedano przez subhastacyą, na zaspokojenie choć w części wielkiéj liczby kredytorów.

Imiennik zacnego niegdyś rządcy, znany nam szlachcic z Mylnéj, wypędzony z karczmy przez nowego nabywcę, poszedł na zakrystyana do jakiegoś kościołka i zrobił sobie wotum, że codzień, dzwoniąc na prymaryą, prosić będzie Pana Boga, aby ten niegodziwiec spanoszony, co imię jego szlacheckie ukradł, kiedykolwiek kark skręcił.

O Twardowskim, pod ogólném imieniem Firlejowskiego djabła tak znanym w okolicy, przestano mówić.

Wprawdzie nikt nie śmiał zajrzéć do zamku, który Firlej bronił jak mógł od upadku, chociaż go niczém nowém nie nalepiał i nie plamił: ale żaden ślad, żadne zdarzenie nie pokazywało, żeby tam zły duch przemieszkiwał i ztamtąd się na połów dusz ludzkich wyprawiał. Czy otrzymał nagrodę, którą mu szatan za trudy jego obiecał? czy ukarany został za upadek w tém ostatniém, zaiste bardzo trudném zadaniu, które mu przez ducha ciemności naznaczoném zostało, a na które tyle pracy i cierpliwości wyłożył? — któż na to odpowiedzieć zdoła? — Może ustąpił zupełnie z ziemi i, jako potępieniec za niezręczność swą, za ostatek tkwiącéj w nim szlacheckiéj natury, tak do djabelstwa niezdatnéj, przybitym znowu został na tym punkcie przestrzeni, gdzie atmosfera ziemska graniczy z innych planet atmosferami, — a może tylko przeniósł się gdzie indziéj z okolicy, w któréj tyle złego narobił, i dotąd jeszcze terminuje. Wszystko to być może, bo nie wszystko na ziemi jest tak oczywistém i widném, jak dwa a dwa, to cztery. Ile razy więc kto ponętą brylantów i pałaców odrywać zechce żonę od męża, niewinne i piękne dziewczę od igły i naparstka, aby je oddać w brudne ręce szczodrych zalotników; ile razy powabnym brzękiem niezapracowanych dochodów, bogatych partyi, wygranych w karty i na loteryą, spodziewanych sukcesyi, i tym podobnych sposobów łatwych i niemozolnych, których tak dziś łakniemy, odwoła od pracy, od służby krajowéj, od przemysłu, od gospodarstwa, a posadzi za zielonym stołem; przywiąże byt próżniacki do numeru, który ma wypaść z koła; poradzi pożyczać bez myśli i możności oddania, wyciągać ostatni grosz na pompę, na przepych dla odurzenia posażnéj panny i jéj rodziców; podszepnie młode-

mu hołyszowi sprzedać się staréj babie za jéj krocie; podsunie utratnym paniczom życzenie co najprędszéj śmierci ojca, stryja, bezdzietnéj ciotki lub babki: oglądajmy się, czy kusiciel taki nie jest to Twardowski, nie jest ów mistrz z Krzemionek, który terminuje na djabła? Niech wszystkie jego umizgi, łaszenia się i perswazye staną się bezskutecznemi; przypatrujmy się dobrze jego czarnym i magnetyzującym oczom, czy niéma tam piekielnych iskier, — jego brzydkim ustom, czy nie zakrzywiają się do szyderskiego uśmiechu, i poznawszy go, odżegnajmy go od siebie, mówiąc: — idź precz, kusicielu! wiem ja o tém dobrze, że wszelkie pieniądze bez pracy pochodzą od djabła.

Razem z Twardowskim przepadła także wieść i o Anastazyi, która mu widać wiernie służyła. Nikt jéj odtąd nie spotkał; w okolicach Pustki Djabelskiéj nikt więcéj nie zabłąkał się; krowy pasły się tam bezpiecznie i z pełnemi do domu wracały wymionami.

Karlina, opuszczona od swéj pani, przystała była z razu za pannę do pani Strzembskiéj. Ale wkrótce, poznawszy różnicę i wychowania, i obejścia się, sługa-arystokratka wzgardziła dorobkowiczową, i udawszy chorą, pojechała poradzić się pana Szmulickiego, który miał ogromną wziętość i którego brylanty coraz się mnożyły. Karlina dotąd jeszcze kuruje się, a znaczna część szpilek złotych i dewizek doktora leży w jéj tualecie.

O Helenie rozmaicie mówiono. Jedni utrzymywali, że wstąpiła do klasztoru i pokutuje; inni, że pojechała do Rzymu do matki; inni znowu, że wyjeżdżając, zabrała z sobą wszystkie brylanty, że się udała do Paryża i tam stroi się i kokietuje. Były nawet i krzywdzące jéj honor i obyczaje pogłoski. Widać, że Gabryel wiedział o jéj

lesach i kierunku, jaki wzięła. Nie wierzył on tym wszystkim wieściom, jeżeli jakim przypadkiem do niego dochodziły; uśmiechał się na to, co mówiono, a w oczach jego jaśniała dawniejsza miłość i nadzieja niezachwiana, że do niego oczyszczona, lepsza i bardziéj jeszcze kochająca powróci. My podzielamy jego wiarę w tę naturę piękną, w cudnéj osadzoną powierzchowności, która przeszła także przez ciężką próbę, a którą tylko złe wychowanie i złe przykłady tych, co młodością jéj kierowali, na zdrożnéj postawiły drodze.

Gabryel ciągle pracował, uczył się celów życia, wyrabiał nową dla siebie przyszłość. Stawał się on coraz milszym, coraz użyteczniejszym znakomitemu człowiekowi, który z początku udawał, że go nie poznał, ale patrząc na tę wytrzymałość w pracy, na ten hart woli, na to wzniosłe podniesienie się z tak haniebnego upadku, pokochał go, poprowadził i do swojéj przyjaźni i tajemnicy swéj wielkości przypuścił. Ksiądz Pilecki i Apolonia często od niego odbierali wiadomości, i za każdym razem szli do kościoła, a przed ołtarzem, na którym pierwszy jego zarobiony dukat dawno już wisiał, padali oboje krzyżem i dziękowali Bogu za jego łaskę i miłosierdzie.

Tak więc z osób téj powieści jedne otrzymały cel swych zabiegów i życzeń, owoc swéj pracy i prób ciężkich, na jakie wystawione zostały, — inne jeszcze się wyrabiają. Wszystkie żyją i każda w swoim kierunku działa i spodziewa się. — Jedna tylko Agata umarła.

KONIEC.

60

817 311/W278

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
120214

Biblioteka WSP Kielce
0158759